



ADAM **DZIERZEK**

NA BIAŁYM KONIU

Czasem, gdy do naszych drzwi puka przeszłość,
lepiej po prostu udawać, że nas nie ma.



ADAM DZIERŻEK

NA
BIAŁYM
KONIU



KRAKÓW 2023

Copyright © 2023 ADAM DZIERŻEK
All rights reserved / Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © 2023 WYDAWNICTWO INITIUM
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja: DAGMARA ŚLĘK-PAW

Korekta: KATARZYNA KUSOJC

Projekt okładki oraz DTP: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB

Fotografia wykorzystana na okładce:

DAVE WALL / ARCANGEL

WYDANIE I

ISBN 978-83-67545-53-2



Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: initium@initium.pl

facebook.com/wydawnictwo.initium

SPIS TREŚCI

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nikt, kto puka o tak późnej porze, nie przynosi dobrych wieści.

Matka zawsze mi to powtarzała.

Przecieram oczy i wlepiam wzrok w ciemny korytarz. Pukanie jest głośnie, natarczywe. Przypomina szturm antyterrorystów – choć tamci mieliby przynajmniej tyle przyzwoitości, by poczekać do szóstej rano. Ten ktoś na klatce najwyraźniej dobija się już od jakiegoś czasu.

Po krótkiej chwili dociera do mnie, że siedzę w fotelu przed telewizorem. Nie przeniosłem się do łóżka. Ostatnio zdarza mi się to coraz częściej. Szumi mi w głowie, ale gdy kątem oka zerkam na stojące na stoliku piwo, widzę, że nie wypilem nawet połowy.

Pukanie nie ustaje, zmienia tylko częstotliwość. Z walenia typu „Otwierać, policja!” przechodzi w tryb błagalny: „Proszę... Otwórz...”.

Podchodzę do drzwi. Najpierw zerkam przez judasza, ale to jakby spojrzeć w oczy ciemności we własnej osobie. Ktokolwiek był po drugiej stronie, stał tam wystarczająco długo, żeby aktywowane czujnikiem ruchu światło zdążyło już zgasnąć.

Serce bije coraz szybciej. Pamiętam słowa matki.

Krew odpływa z kończyn. Dłonie robią się chłodne jak dwa bloki lodu. Łapię za klamkę i zamieram w bezruchu. W końcu otwieram, choć zamontowany łańcuch sprawia, że moja gościnność ogranicza się do niewielkiej szpary, zza której wyglądam jednym okiem.

Wylana z mieszkania łuna niebieskiego światła wydobywa z ciemności sylwetkę mężczyzny w długim trenczu, który wygląda jak przybysz z lat czterdziestych ubiegłego stulecia. Ocieka wodą, musiało lać. Chwilę zajmuje mi zrozumienie, że szum, jaki nieustannie słyszę, nie pochodzi z mojej głowy – to szalejąca za oknem ulewa.

– Spałeś? – pyta mężczyzna. W tych ciemnościach nie jestem w stanie dostrzec jego twarzy. Błyszcząca kałuża wody pod nim wygląda, jakby się zeszczął. – Walę w drzwi od dobrych dziesięciu minut. Już myślałem, że cię nie ma.

– Oglądałem telewizję – odpowiadam, oglądając się za siebie, jakbym szukał potwierdzenia własnych słów.

– Mogę wejść?

Kojarzę ten głos. Mrużę oczy, żeby lepiej przyjrzeć się twarzy tego podróżnika w czasie. Cienkie siwe włosy kleją się do czoła. Krople wody spływają w dół policzków i wypełniają głębokie zmarszczki, wyglądając jak deszcz nawadniający wyschnięte koryta rzek. Z ostro zarysowanego podbródka kapie jak z nieszczelnego kranu.

Znam go. To Szeryf.

– Pan Makowski? – pytam chyba tylko dla formalności, gryząc się przy tym w język, żeby nie wymówić na głos jego ksywki. Wątpię, by ją znał.

– To jak będzie, młody? Wpuścisz mnie?

Nie odpowiadam, otwieram tylko szerzej drzwi i odsuwam się na bok. Szeryf słusznie bierze to za zaproszenie. Przez chwilę stoimy w ciszy, mierząc się wzrokiem jak dwa mijające się na ulicy psy. Z każdym kolejnym gorącym oddechem Szeryfa w moim mieszkaniu zaczyna cuchnąć jak w gorzelni. Gdybym teraz zapalił fajka, pewnie obaj wylecielibyśmy w powietrze, dając miastu przedwczesnego sylwestra. Szeryf ma mokre oczy, nie jestem pewien, czy to deszcz, czy łzy.

– Wiedziałaś? – pyta rozedrganym głosem, w taki sposób, że ze stresu aż skręca mnie w żołądku.

Udaję zaskoczonego, ale chyba domyślam się, o co chodzi. Nie odpowiadam. Przez chwilę patrzę, jak ciężkie krople wody kapią z płaszcza na posadzkę. Szeryf też to zauważa, nagle jakby trzeźwieje i robi się mu głupio.

– Sorry za to – rzuca zakłopotany. – Mogę gdzieś odwiesić płaszcz? Zaraz będziesz miał tu powódź.

Skinieniem wskazuję mu wieszak na korytarzu. Szeryf ściąga mokre ubranie i bez pytania wchodzi do pokoju. Chciałbym go powstrzymać, ale nie wiem, co powiedzieć, więc nie reaguję.

– Tak mieszkasz? – Rozgląda się po mojej trzydziestometrowej kawalerce. Wydaje się już trochę bardziej wyluzowany. Skacze wzrokiem po meblach, próbując wyłowić z ciemności jakieś szczegóły: goły materac na podłodze, skotłowana pościel, biurko, fotel i kiczowato wielki telewizor. – Brakuje tu kobiecej ręki – zauważa po chwili, siląc się na delikatny uśmiech. – Gdyby moja Krysia to zobaczyła... – Nagle milknie, nim głos na powrót zacznie się mu załamywać.

Wciąż pamiętam panią Krysę, choć z każdym kolejnym rokiem jej twarz przykrywa coraz gęstsza mgła. Zawsze kojarzyła mi się z czystością i potrafię sobie wyobrazić jej reakcję na widok mojego pokoju. Była jedną z tych osób zdolnych zamiatać nawet piasek na pustyni. Pochowali ją w śnieżnobiałej sukni. W trumnie wyglądała jak porcelanowa lalka.

Szeryf zerka na stojące na stoliku napoczęte piwo.

– Masz coś do picia? – pyta.

– W sensie, że...

– W sensie, że coś mocniejszego.

Kiwam głową i podchodzę do lodówki. Świeci pustkami. W środku tylko kilka piw i resztki wczorajszej pizzy. Odkapslowuję dwie butelki Corony, jedną podaje Szeryfowi, z drugiej biorę soczystego łyka. Zimny napój trochę mnie rozbudza.

– Tylko takie szczyzny? – pyta Szeryf. – W ogóle wolno ci już legalnie pić? Ile ty masz lat?

Nie odpowiadam, unoszę jedynie brew w akcie niedowierzania.

– No tak... Jesteś przecież w jej wieku. Wybacz, dla mnie już chyba zawsze będziecie tymi gnojkami ganiającymi po ulicy i wrzeszczącymi między podwórkami. – Bierze łyk piwa, po czym ogląda etykietę, jakby szukał informacji o procentach, zaskoczony niską mocą. – To skoroś taki już dorosły, to lekcja dorosłego życia numer jeden: przerzucić się na szlachetniejsze trunki. Piwo jest dobre dla licealistów albo roboli. Ty jesteś komputerowcem, na pewno stać cię na wino albo whisky. Od piwka tylko rośnie brzuch. Cholerstwo jest strasznie moczopędne, odwadnia, a źle to wpływa na trawienie.

Szeryf pije dalej, najwyraźniej nie przejmując się trawieniem, a ja zastanawiam się, jak doszło do tego, że stoi w moim mieszkaniu o tak późnej porze.

Chyba nie mogę mieć mu tego za złe. Za dzieciaka przebywałem w jego domu pewnie częściej niż we własnym. Ani razu nie poczułem się niemile widziany. Trochę tak, jakbym miał dwie rodziny. Może zaciągnąłem w ten sposób dług, który właśnie przychodzi mi spłacać?

Deszcz bębni o parapet, wiatr na zewnątrz wydaje się przybierać na sile. Zrywane z drzew liście przyklejają się do szyb, jakby desperacko próbowały dostać się do środka, nim natura rozpięta na zewnątrz prawdziwe piekło.

Szeryf wciąż rozgląda się po mieszkaniu, jakby czegoś szukał. W końcu zrezygnowany siada na materacu.

– Czemu tak żyjesz? – pyta, klepiąc w poźółkły mebel. W słoneczny dzień ujrzelibyśmy tumany kurzu wzbijające się w powietrze. – Myślałem, że ci się powodzi. Nie masz nawet ramy do łóżka, nie można tak spać.

Można. I mam ramę, tylko nigdy jej nie złożyłem. Fragmenty tkwiły wciśnięte gdzieś głęboko za szafę. Odpuściłem, gdy tylko zobaczyłem w instrukcji, że będzie mi potrzebny śrubokręt. Nie miałem w domu żadnych narzędzi ani umiejętności, żeby ich użyć. Dlatego nigdy nikogo tu nie zapraszałem. Ludzie zawsze oceniają cię już od momentu, jak postawią pierwszy krok na twojej ziemi. Szukają czegokolwiek, co sprawi, że poczują się lepsi. U mnie mogli tego czegoś znaleźć całe mnóstwo.

– Gdybyś miał tu kobietę – kontynuował – nie pozwoliłaby ci tak mieszkać, wiesz? Ech, Karol. Taki porządny z ciebie chłopak, nie wiem, czemu dalej mieszkasz sam...

Ale ja wiem. Ręka mimowolnie wędruje mi do prawego policzka. Wyczuwam zgrubienie pod opuszkami palców ciągnące się od powieki aż do kącika ust. Blizna wije się jak strumień. Chirurdzy zrobili, co mogli, ale policzek był tak poharatany, że nie udało się go w pełni zrekonstruować.

Do dziś pamiętam, jak zobaczyłem w lustrze zwisający mi z twarzy płat mięsa przypominający plaster szynki i to, jak na ten widok zemdlałem. Nóż przeciął mięśnie podtrzymujące usta, przez co prawy kącik nieco mi opada i wiecznie wyglądam na niezadowolonego. Przez uszkodzony kanalik łzowy mam do tego ciągle wilgotne oko.

Taki mój pełen obraz – wiecznie niezadowolony i zapłakany dwudziestoczworoletk. Kobiety to kochają.

– Panie Makowski, jutro idę do pracy. Będę musiał wcześniej się zerwać... – mówię, próbując zmusić Szeryfa do współczucia. Domyślam się, po co przyszedł, ale nie mam najmniejszej ochoty o tym gadać.

– Wiem, wiem... Ja przecież też. I nie panuj mi tu. Układ dorosły–dzieciak już się przeterminował. Teraz obaj jesteśmy dorośli. Ryszard jestem. Rysiek. – Wyciąga przed siebie dłoń, czekając, aż odwzajemnię uścisk. Odwzajemniam, ale czuję, że celowo ściska mnie mocniej, niż musi, więc sam też wkładam w to więcej siły. Niczym nie różnimy się od zwierząt. Ciągła walka o dominację w stadzie.

– Rysiek – wyduszam z siebie, choć wiem, że ciężko będzie mi się przyzwycząić do tej nowej rzeczywistości. – Coś się stało?

Szeryf zeruje piwo, po czym odkłada pustą butelkę na stolik, robiąc mi tam już zaczątki małej kolekcji. Grzebie w tylnej kieszeni spodni i wyciąga zwitek przemoczonego papieru.

– Włączysz laptopa? – pyta, podając mi miękką kartkę. – Muszę ci coś pokazać.

Kruchy świstek niemal rozpada mi się w dłoni. Zerkam na adres strony internetowej nabazgrany długopisem – dokładny adres, z masą cyfr i znaków. Dziwi mnie, że ktoś w ogóle fatygował się z przepisywaniem, zamiast po prostu skopiować link i wysłać, choćby mailem, ale Szeryf chyba nigdy nie zaprzyjaźnił się do końca z technologią.

Nazwa domeny mówi mi wystarczająco, żeby nagle zrobiło mi się bardzo głupio. Czuję przypływ gorąca na twarzy. Wszystkie obawy się potwierdziły. Sposób, w jaki spytał mnie, czy wiedziałem...

– Musisz to wklepać na komputerze. – Szeryf nie patrzy mi w oczy, błądzi wzrokiem po zatrzymanym na ekranie telewizora filmie. – To link czy jak wy to nazywacie.

Nie chcę tego robić, ale nie chcę się też przyznać, że wiem, do czego to wszystko prowadzi.

– Panie Ma... Rysiek – poprawiam się. – Jest już późno i jestem zmęczony. Czy musimy...

– Proszę, Karol. – Odwraca się na krótką chwilę. Widzę, jak łzy cieką mu po pomarszczonej twarzy. – Otwórz ten jebany link...

Odpalam laptop i starannie przepisuję do przeglądarki adres z kartki. Serce wali jak szalone, pocę się pomimo panującego w pokoju chłodu. Dookoła gęsta cisza. Jedyne szum deszczu za oknem i stukot klawiszy mojej wysłużonej klawiatury jakoś ją przełamują.

Zanim wcisnę *enter*, ostatni raz oglądam się przez ramię. Szeryf stoi odwrócony, sztywny i napięty jak struna. W ogóle nie patrzy na to, co robię. Cicho pociągając nosem, obserwuje krople deszczu sunące po szybie, jakby obstawiał, która dotrze do ramy pierwsza.

Otwieram link. Prowadzi do strony porno. Nie jest to żaden z popularnych portali. Strona wygląda tak, jakby samo nawigowanie po niej mogło zarazić maszynę jakimś paskudnym wirusem, a mi od jednego nieuwważnego kliknięcia przysporzyć żółtaczki. Ale żadnych wirusów tu nie ma...

Wiem, bo już tu kiedyś byłem.

Czuję się niezręcznie. Wszystko mnie swędzi i mam wrażenie, że zaraz spalę się ze wstydu.

– Rysiek... Wiesz, co to za link?

– Otwórz filmik. – Głos szeryfa jest bardzo cichy, jakby stopniowo zanikał. – Musisz sam to zobaczyć...

– Ale to porno...

– Wiem, do cholery. Po prostu to odtwórz, OK?

Chcę mieć to już za sobą. Nie zadaję więcej pytań, bo nie potrzebuję odpowiedzi. Wciskam *play*. Film automatycznie odpala się na pełnym ekranie, co sprawia, że czuję się dziwnie. Brak interfejsu przeglądarki, brak reklam po bokach. Przez panującą dookoła ciemność nie widzę nawet obudowy laptopa. Tylko świecący ekran ulokowany gdzieś w przestrzeni. Wszystko staje się nagle zbyt intymne. Tylko ja i film.

I Szeryf gdzieś za plecami...

Pokazuje się odliczanie. Ekran śnieży i faluje jak na starych filmach, potem wszystko ciemnieje, by w końcu zacząć się na dobre.

Początkowa scena ukazuje mi brudną piwnicę. W środku nie ma nic oprócz pojedynczego, wysłużonego łóżka, wyglądającego na coś, na czym mogliby zimować bezdomni. Mokre plamy na posadzce sugerują, że nie było to pierwsze ujęcie kręcone tego dnia. Nagle słychać szcęk zamka. Do środka wchodzi trzech mężczyzn, dwóch ma na sobie maski, trzeci pokazuje twarz. Ci w maskach wyglądają dziwnie, jakby

nosili na sobie pyski trudnych do zidentyfikowania zwierząt. Za to ten z odsłoniętą twarzą wygląda zwyczajnie niezdrowo, jakby cierpiał na jakąś chorobę skóry. Mimo mizernej jakości widzę masę krost pokrywających mu twarz. Całą trójką rozglądają się dookoła, jakby sprawdzali miejscówkę, po czym tych dwóch w maskach wychodzi. Wracają po chwili, tym razem ciągnąc za sobą kompletnie nagą dziewczynę. Jest bardzo chuda, blada i posiniaczona. Ma związane ręce i przepaskę na oczach. Mężczyźni nie obchodzą się z nią delikatnie, jeden ją policzkuje, gdy zaczyna się wyrywać.

Gdy patrzę, jak tak stoi boso na betonowej posadzce, robi mi się zimno. Wszystko, co widzę, ma w sobie jakiś plugawy posmak, sprawiający, że każda normalna jednostka szukałaby teraz właśnie telefonu, chcąc zgłosić na policję nagranie z gwałtu. Jednak jest coś w tej scenie, co sprawia, że nie czuję odtrącenia, które normalnie towarzyszyłoby patrzeniu na ludzką krzywdę. A przynajmniej tak mi się wydaje, że powinno mu towarzyszyć...

Dziewczyna nie trzęsie się ze strachu i z zimna, nie krzyczy, nie płacze, nie błaga. Jestem prawie pewien, że gdy się potyka, po jej twarzy przelatuje błyskawiczny uśmiezek, z rodzaju takich, jaki pojawiłby się u aktorki potykającej się w świetle fleszy na czerwonym dywanie. Facet bez maski ściąga jej opaskę. Chwyta ją za szyję i gwałtownie wpycha język do ust. Chybotliwa kamera robi zbliżenie na rozmazany na twarzy tusz do rzęs. Szafirowe oczy na bladej twarzy wyglądają jak dwa kawałki lodu wciśnięte w świeży śnieg.

Oczy, które poznam wszędzie. Zwłaszcza że pod jednym z nich ciągnie się blizna.

Blizna podobna do mojej...

Ekran nagle gaśnie, słyszę trzask. To szeryf zamyka laptop, nim akcja zdąży się rozkręcić. W pokoju robi się dużo ciemniej.

– Wiedziałeś? – pyta ponownie. Jego głos rezonuje w ciasnej kawalerce jak rozedrgana struna. Światło latarni zza okna, przebijające się przez żaluzje, rzuca mu na twarz pasiasty wzór.

Przez chwilę milczę. Nie mam pojęcia, co powiedzieć.

– Karol, do kurwy nędzy. Wiedziałeś czy nie?

– Chodziły plotki, ale nigdy ich nie sprawdzałem... – kłamię. Tych filmów było znacznie więcej, choć nie wszystkie były tak paskudne jak ten tutaj.

– Plotki... – Szeryf zaczyna nerwowo przechadzać się po pokoju. – Kurwa, w pracy już od jakiegoś czasu dziwnie na mnie patrzą. Śmieją się za plecami. – Wyrywa mi z rąk piwo i przywiera do butelki jak głodne niemowlę. Płacze.

Nie wiem, co powiedzieć. Sytuacja wydaje mi się tak abstrakcyjna, że przez chwilę mam wątpliwości, czy tak naprawdę nie zasnąłem na tym fotelu podczas filmu i to

wszystko tylko mi się nie śni.

– Byłem z tym na policji. Wiesz, co te skurwiele mi powiedziały?

Przez chwilę czeka na odpowiedź, ale skąd miałbym wiedzieć?

– Że nic nie mogą zrobić! Że jest pełnoletnia i nie ma dowodów, żeby ktoś ją do tego zmuszał. Jestem pewien, że jebaniec, któremu to zgłosiłem, brandzłował się do materiału dowodowego, jak tylko wyszedłem z jego biura.

– Po co mi pan to wszystko pokazał? – pytam w końcu. Nie mam pewności, czy po prostu przyszedł się wygadać i wypłakać, czy chce ode mnie czegoś konkretnego.

– Co ja mówiłem o panowaniu? Dwóch dorosłych, zapomniałeś? – Uśmiecha się przez łzy. Próbuje się ze mną stuknąć butelkami, ale gdy uświadamia sobie, że wziął moje piwo, spuszcza wzrok. – Musisz mi pomóc, Karol. Musimy sprowadzić ją do domu.

– My?

– Jesteś jedyną osobą, która przychodzi mi do głowy. Byliście najlepszymi przyjaciółmi przecież. Jak tylko sięgnę pamięcią, byliście nierozłączni. W liceum chyba nawet siedzieliście w jednej ławce, nie?

Dla niego wciąż jest tą samą słodką dziewczynką, którą była jako dziecko, widzę to bardzo wyraźnie. Jakby uciekło mu te kilkanaście lat, w których jego córka dojrzewała.

– Nie miałem z nią kontaktu od pięciu lat... – odpowiadam zgodnie z prawdą. Po zakończeniu szkoły nasze drogi się rozeszły, rozjechaliśmy się po świecie. Ja na gównie warte studia, ona w poszukiwaniu pracy... Którą, jak widać, znalazła.

– Kochałeś ją, Karol...

Patrzę Szeryfowi prosto w oczy. Chcę, żeby już wyszedł, nie grzebał w przeszłości.

– Kochałeś tak jak ja. Była dla ciebie jak siostra.

Nie była. Zawsze chciałem czegoś więcej.

Długo cierpiałem, gdy stary znajomy po raz pierwszy wysłał mi linki do tych filmów. Pamiętam, jak bardzo go to śmieszyło. Jego i wielu innych... Mnie nie było do śmiechu, choć wydaje mi się, że czułem tylko ułamek tego, co musi czuć teraz Szeryf. Mam mu za złe, że znowu to we mnie uruchomił. Wspomnienia zaczynają śwędzic jak stara rana.

– Niby jak miałbym tu pomóc? – pytam w końcu szorstko, żałując, że w ogóle otworzyłem te przeklęte drzwi. Czasem, gdy puka przeszłość, lepiej po prostu udawać, że nas nie ma.

– Jesteś komputerowcem. Możesz znaleźć nazwiska gości z filmu, adresy? Cokolwiek, co pozwoli nam skurwieli namierzyć.

To, że pracuję przed komputerem, nie czyni mnie „komputerowcem”, ale Szeryfowi zdaje się to nie robić żadnej różnicy. Całymi dniami przepisuję z umów i wklepuję do

tabelek dane klientów parabanku. Ludzi wystarczająco naiwnych, żeby dać się naciągnąć na nasze „okazyjne pożyczki”. Na podstawie danych z tych umów równie dobrze mógłbym sobie dorabiać na boku i pisać z wyprzedzeniem nekrologi przyszłych wisielców do gazet.

– Namierzyć? – pytam po chwili. – Po co chcesz ich namierzyć?

– Muszą wiedzieć, gdzie jest Natalka. Karol, czas zabrać ją do domu. – Szeryf nieustannie pociąga mnie za rękaw koszulki.

– I co potem?

– Co potem?

– Nawet gdyby udało się namierzyć autorów filmu. Co wtedy?

– Najpierw dowiemy się, gdzie jest moja córka. Potem ich pozwę, zaprowadzę na policję, nie wiem... Wymyślimy coś.

Ciągle używa tego „my”, co zaczyna działać mi na nerwy. Myśli, że już mnie w to wciągnął.

– Rysiek, jest już bardzo późno. Muszę... Obaj musimy rano wstać.

– Ja nie muszę. Nie wrócę tam. Nie wrócę do pracy.

– Jak to?

– Jak mam wrócić, Karol? Jak mam wrócić, mając świadomość, że wszyscy już to widzieli? – Szeryf patrzy na mnie zza tafli łzawego szkła pokrywającej właśnie jego oczy. Zachowuje się, jakby naprawdę oczekiwał odpowiedzi. – Widzieli ją... Widzieli całą...

– Ja...

– Masz rację, Karol. – Odchrząkuje, jakby nagle oprzytomniał. Zagląda do pustej butelki na biurku, po czym z rozczarowaniem przesuwa ją nieco dalej. Wreszcie wstaje. Nie patrzy mi w oczy. – Masz rację. Chyba powinienem się przespać. Ty... Ty też. Masz w końcu własne życie i nie możesz jutro zawalić pracy...

– Panie Ma... Rysiek. Chciałbym pomóc, ale nie wiem jak. Nie wiem, jak miałbym ich... Jakbym miał kogokolwiek namierzyć.

– Nie przejmuj się, Karol. Wybacz staremu sąsiadowi to całe nocne najście. Sam nie wiem, co we mnie wstąpiło. Musiałem... Musiałem za dużo sobie golnąć i... Kurwa, jako jedyny wpadłeś mi do głowy. Sam nie wiem, jak to tak wyszło... Przepraszam.

– Rysiek...

– Pójdę już.

Szeryf wstaje i pospiesznie wciska się w przemoczony płaszcz. Odprowadzam go do drzwi i po cichu naciskam na klamkę.

Nie patrzymy sobie w oczy. Robię przejście, pozwalając mu precyzyjnie się na klatkę. Pomarańczowe światło rzuca jego cień na odrapane, łuszczące się ściany. Szeryf stoi

tak przez chwilę plecami do mnie. Nie wiem, czy zaraz ruszy w dół schodów, czy będzie chciał jeszcze coś powiedzieć, więc nie zamykam drzwi, czując, że byłoby to nieuprzejme.

– Byłeś tym jedynym – odzywa się w końcu, odwracając się w moją stronę. Dopiero w pełnym świetle dostrzegam, jak bardzo jest pijany.

– Słucham?

– Zawsze myślałem, że wyjdzie za ciebie za męża, wiesz? Byłeś chyba jedynym chłopakiem w okolicy, co do którego dostałaby ode mnie pełne błogosławieństwo. Ja... Ja ci kibicowałem.

Czuję, jak olbrzymi gul staje mi w gardle. Nie wiem, co powiedzieć.

– Dobranoc, Karol.

– Dobranoc – odpowiadam w końcu, a moje spóźnione pożegnanie rezonuje po pustej klatce schodowej, odbijając się od ścian i docierając aż na sam dół jak upuszczona kauczukowa piłeczka. Słyszę oddalające się, alkoholowo-nieregularne kroki, później trzask, a potem już tylko ciszę.

Zamykam drzwi.

* * *

Kręcę się w łóżku już trzecią godzinę, nie mogąc zasnąć. Wizyta Szeryfa wywołała lawinę myśli. Odtwarzam ją w głowie jak film. Co kilka minut zerkam na leżący obok telefon i sprawdzam godzinę, po cichu licząc na to, że czas się zatrzymał i zdążę jeszcze wypocząć przed dźwiękiem budzika. Światło ekranu wypala mi gałki oczne. Dochodzi czwarta, a ja mam wrażenie, że jeśli nie prześpię kolejnej godziny, to dzisiejszy dzień będzie moim ostatnim. Padnę na zawał najpóźniej przed szesnastą.

Sen zdaje się wymykać za każdym razem, gdy czuję, że jestem już blisko i niemal mogę go uchwycić. Kształty i kolory wirują mi przed oczami. Otepienie rozlewa się po całym ciele, zalewając mnie uczuciem gorąca, jakby zamiast krwi w żyłach krążyła wrząca woda. Oddychanie przychodzi z coraz większym trudem.

Po chwili stoję w przedpokoju znanego mi dobrze domu. W powietrzu unosi się chemiczny zapach środków do czyszczenia. W środku jest tak czysto, że aż wręcz sterylność. Mam wrażenie, że jak zawsze wszedłem bez pukania. Przez chwilę czuję dziwną pustkę, nikt nie wyszedł mi na powitanie. Zaczynam się pocić, jakby ktoś podkręcił kaloryfery tak mocno, że aż urwały się gałki.

Na ścianie dostrzegam zdjęcie. Już je widziałem, wiele razy. Rodzina w parku. Matka, ojciec i córka. Kobiety ubrane w śnieżnobiałe suknie. Mocno się skupiam, starając się rozpoznać osoby na fotografii, ale im bardziej się staram, tym bardziej twarze się rozmazują.

Podchodzę, starając się dotknąć zdjęcia, ale wtedy dostrzegam coś dziwnego. Mały szarawy punkt na twarzy dziewczynki. Gdy przyglądam się mu bliżej, widzę, jak się żarzy. Niczym końcówka papierosa. Powoli rośnie, stopniowo zawłaszczając całą fotografię, która po chwili rozsypuje się po podłodze jak popiół.

W końcu czuję, jak coś pęka mi w głowie, więc odwracam wzrok od zdjęcia i zdaję sobie sprawę, że dookoła wszystko płonie. Ściany, podłoga, sufit – wszystko zalane ogniem. Mimo to nic się tak naprawdę nie pali. Ogień nie trawi mebli, nie rośnie w siłę. Wydaje się naturalną powłoką otaczającą wszystko dookoła.

Po chwili słyszę skrzypienie drzwi. Nagle zdaję sobie sprawę, że znalazłem się na piętrze. Jeden z pokoi przede mną powoli się otwiera, a w progu staje mała, może ośmioletnia dziewczynka.

Przestrzeń za nią wygląda tak znajomo. Plakaty na ścianach, olbrzymi miś wciśnięty w kąt i bijąca po oczach jaskraworóżowa pościel. Ogień zdaje się szaleć w pokoju za nią dużo mocniej niż tutaj. Mała przez chwilę patrzy w płomienie przed sobą, jakby zastanawiała się, czy może bezpiecznie wyjść na korytarz. W końcu daje krok do przodu. Panicznie rzucam się przed siebie, próbując ją przed tym powstrzymać, ale jest już za późno. Dziewczynka przechodzi przez ścianę ognia i jak gdyby nigdy nic staje przede mną.

Patrzę na dorosłą kobietę. Krwistoczerwone włosy opadają jej na barki, falując jak wzburzone morze. Szafirowe oczy i blizna, bliźniacza do mojej... Patrzy na mnie, jakby zobaczyła ducha.

Wciąż ma na sobie kolczyki, które jej kiedyś dałem. Dwa małe srebrne serca, puste w środku. Należały do mojej matki. Po jej śmierci podarowałem je Natalce. Miały ją pocieszyć, gdy zobaczyłem, jak smutna jest, gdy patrzy w lustro.

Gdy patrzy na swoją bliznę...

– Natalia... – rzucam szeptem.

– Karol? – pyta dziewczyna, mrużąc oczy. – Nie słyszałam, jak wchodzisz, wybacz.

Przez chwilę milczymy. Wokół nas szaleją płomienie.

– Po co przyszedłeś?

W jej głosie wyczuwam wyrzut.

– Chciałem... Chciałem cię stąd zabrać.

– Zabrać?

– Tak.

– Niby dokąd?

– Pójdiesz ze mną?

– Nie uważasz, że na to już za późno? Dokąd mielibyśmy pójść? Mamy tylko osiem lat... Nie mamy dokąd uciec.

– Nieprawda. Jesteśmy już dorośli. Możemy...

– Nic nie możemy. Nic się nie zmieniło.

Spuszczam głowę, nie potrafię dalej patrzeć w te chłodne jak lód oczy.

– Myślisz, że możesz mnie ocalić? – pyta po chwili z wyrzutem. – Co możesz mi dać, Karol? Miłość? Bezpieczeństwo?

– Ja... – Przez chwilę próbuję na nią spojrzeć, ale szalejące w korytarzu gorące powietrze bucha mi w oczy. Łzy ciekną mi po policzku, odwracam twarz, nie chcąc, żeby to zobaczyła i pomyślała, że płaczę.

– Tak myślałam...

Po chwili czuję uścisk. Natalia mnie obejmuje. Odczuwam ciężar jej głowy na barku. Gładzę ją po długich ognistych włosach. Są gładkie, przechodzą mi między palcami jak jedwab. W okolicy szyi coś wyczuwam. Jakieś zgrubienia pod opuszkami. Zagarniam na bok kosmyki włosów, gdy nagle słyszę, jak zaczyna szeptać:

– Nie jesteś bohaterem, Karol...

Przyglądam się jej długiej szyi. Coś jest na niej odcisnięte, głęboko jak ślady bieżnika w błocie. Fioletowo-czerwony krwihak okala jej kark jak naszyjnik – ślad po sznurze.

Czuję, jak zapiera mi dech w piersiach. Przerażony odpycham ją od siebie.

Natalia wygląda, jakby opadała z sił. Rzuca mi ostatnie spojrzenie, po czym odwraca się i rusza z powrotem w stronę pokoju. Ściana ognia zdaje się powoli za nią zamykać. Nie chcę, żeby odeszła, chcę powiedzieć coś, co zatrzyma ją jeszcze choć na chwilę.

– Wszystko płonie – stwierdzam, obserwując buchający ogień.

Dziewczyna przystaje, po czym zerka na mnie przez ramię. Wkłada dłoń w płomienie przed sobą. Przez chwilę jakby się nimi bawi.

– Też to widzisz, hm? Zawsze widziałeś... Chociaż udawałeś, że nie.

– Natalia, chodźmy stąd...

Natalia znika w płomieniach, które zaczynają wypełniać korytarz z coraz większą mocą. W końcu dostrzegam czerń na ścianach. Tapeta odchodzi zwęglonymi płatami. Popioły wirują w powietrzu jak śnieg. Przez chwilę zastanawiam się, czy biec za nią, czy uciekać, ale w koszmarze każdy wybór, jakiego dokonasz, jest zły. Odwracam się i biegnę w stronę drzwi wyjściowych, ale gdy łapię za klamkę, okazują się zamknięte. W końcu ogień dociera i do mnie. Skóra łuszczy się i czernieje, odchodząc od ciała. Gdy spoglądam na dłoń, dostrzegam biel kości, wystających spomiędzy stopionego mięsa.

Zaciskam pięść.

Czy mogłem ją ocalić?

ROZDZIAŁ DRUGI

Za oknem wciąż szumi.

Dzień jak zawsze zaczynam od solidnego kubka kawy. Dziś nie kończy się na jednym, potrzebuję dolewki. Mam wrażenie, że mózg przyćmiewa gęsta mgła. Najprostsze czynności przychodzą z dużym trudem. Ciągle myślę o tym, co wydarzyło się w nocy.

Zazwyczaj sen pozwala postawić kropkę na końcu zdania. Zasypiamy, kończymy rozdział, a gdy wstajemy, problemy wczorajszego dnia wydają się już takie odległe – jakby dotyczyły kogoś innego, nie nas.

Tylko że dziś mam wrażenie, że prawie wcale nie spałem. Wczorajszy dzień się nie skończył, zachował swoją ciągłość. Nocny odpoczynek był zaledwie przecinkiem, nie kropką.

Zanim zbiorę się do pracy i wyjdę na przystanek, zawsze siadam do komputera. Mój codzienny rytuał – przeglądam poranne newsy, pojąc mózg kofeiną, i z rozczarowaniem dowiaduję się, że świat wciąż stoi. Nie spłonął, chociaż nieustannie płonie.

Nie robię tego, żeby się czegoś dowiedzieć. Nie szukam też tematów do rozmów w pracy. Polityka, konflikty i pikantne szczegóły z życia celebrytów nigdy mnie jakoś szczególnie nie interesowały. Sprawdzając poranne wiadomości, po prostu upewniam się, czy jest sens wychodzić dziś z domu.

Ten dzień niczym się nie różni – muszę się upewnić. Biorę łyk kawy i siadam przy biurku. Rząd pustych butelek po piwie sprawia, że mam ochotę dolać do napoju trochę prądu. Jeszcze nigdy tego nie zrobiłem, za bardzo boję się, że mnie wyleją, jak tylko ktoś zauważy. Choć z drugiej strony o ile łatwiej byłoby znieść nadchodzące osiem godzin...

Otwieram laptop. Moim oczom nie ukazuje się pulpit, czego normalnie bym się spodziewał, tylko zapauzowany wczoraj film. Szeryf zatrzasnął klapę dokładnie w momencie, w którym padło zbliżenie na jej twarz. Natalia patrzy na mnie z ekranu, a ja uświadamiam sobie, że dokładnie taką widziałem ją we wczorajszym śnie. Czyli jednak udało mi się na chwilę zasnąć...

Za oknem grzmi. Mrok nocy nie zdążył jeszcze do końca się rozproszyć, przez co mój pokój jaśniej od błyskawic.

Serce gwałtownie przyspiesza, pobudzając mnie lepiej niż kawa. Drżącą dłonią staram się najechać myszką na czerwony krzyżyk w prawym górnym rogu ekranu, ale w ostatniej chwili coś mnie powstrzymuje. Biorę głęboki wdech i cofam filmik do początku. Przez krótki czas na ekranie miga plansza z nazwą wytwórni – Sliders Productions – po czym kamera znowu pokazuje mi brudną piwnicę. Patrząc na to z samego rana, przy pierwszej kawie, czuję się jak ostatni zbok, więc szybko zatrzaskuję klapę laptopa. Nie chcę widzieć, co przyniesie ciąg dalszy.

Przez chwilę gapię się w pustą przestrzeń przed sobą i odpływam myślami do wczorajszej wizyty Szeryfa. Chciał mojej pomocy. Wyglądał na ostatniego desperata – takiego, co dynda stopami, siedząc na krawędzi mostu. Nie mam pojęcia, czemu przyszedł z tym akurat do mnie. Czemu miałbym się w tym babrać, skoro nie miałem kontaktu z jego córką już tyle lat? Już nie jesteśmy przyjaciółmi, nie dzwonimy do siebie, nie spotykamy się na piwo... Normalnie powiedziałbym, że nie mam w tej sprawie najmniejszego interesu, ale to, co Szeryf powiedział tuż przed wyjściem. Sam nie wiem...

W końcu uznaję, że nie zaszkodzi trochę poszperać. Nic mnie to nie kosztuje – nic poza tymi trzydziestoma srebrnikami, które płacę miesięcznie za internet. Już zabieram się do odpalania przeglądarki, żeby wygooglować coś na temat tego całego Sliders Production, gdy mój wzrok przelotnie pada na komputerowy zegar.

Zrywam się z krzesła i pędzę na przystanek. Irytujący deszczyk siąpi z nieba jak tysiące drobnych szpilek uparcie próbujących wcisnąć mi się w każdą niezastłoniętą szczelinę ciała. Biegając, rozchlapuję kałuże na chodniku. Ołowiane niebo wisi nade mną tak nisko, że niemal czuję jego ciężar, i z trudem unoszę głowę, by spojrzeć na przystanek – transport odjechał. Cały ten sprint na nic. Tylko niepotrzebnie się upociłem.

Odczekuję swoje i wsiamam do kolejnego tramwaju. W oczach podróżujących o tej porze ludzi jest tyle życia, co w zużytej prezerwatywie. W powietrzu czuć wilgoć wnoszoną do środka na kurtkach i płaszczach. Nie ma mowy o tym, żeby usiąść. Na taki luksus musiałbym się pofatygować pewnie aż na samą pętlę, a i tak szybko uległbym presji wstających z pierwszym pianem koguta starszych pań, jadących Bóg wie gdzie i Bóg wie po co. Te kobiety są jak jakieś pieprzone mentalistki – wbijają w ciebie wzrok i już wiedzą, co zaraz zrobisz. Wiedzą, że wstaniesz i ustąpisz miejsca.

Przyciskam się do szyby, pchany coraz mocniej przez napierający na wejście tłum. Wagon pęka w szwach. Na kilka przystanków przed centrum nie wciśniesz między nas nawet żyłki. Nadludzkiem wysiłkiem wyciągam z kieszeni telefon i przyciskając go sobie do klatki, nadwyrężam szyję, żeby spojrzeć w ekran. Odpalam przeglądarkę

i ponownie wstukuję nazwę wytwórni w Google. Ku mojemu zdziwieniu Sliders Production ma nawet swoją stronę internetową.

Niewiele myśląc, klikam link i przenoszę się na zaprojektowaną po tanioci czarną stronę. Wśród rzucających się w oczy elementów króluje czerwony font i dziesiątki zdjęć promujących ich najnowsze filmy. Nigdzie nie widzę twarzy Natałki.

Zanim zdążę mocniej zgłębić zawartość strony, słyszę, jak ktoś za mną mocno odchrząkuje. Odwracam się i uderzam w spojrzenie jakiejś kobiety jak w betonowy mur. Ubrana w żakiet businesswoman ruga mnie wzrokiem i z niedowierzaniem kręci głową. To chyba przez tę spowodowaną niewyspaniem mgłę, ale chwilę zajmuje mi zrozumienie, o co jej chodzi. Jak rażony piorunem zdaję sobie sprawę, że przez cały czas gapiła mi się w telefon. Fala wstydu napiera mi na twarz wraz z krwią. Uszy robią się czerwone i gorące jak dwa kaloryfery. Upokorzony chowam telefon do kieszeni i wbijam wzrok w pędzące po szybie krople deszczu. Stoję tak sztywno aż do końca.

Tramwaj wymiotuje masą ludzką w samym centrum – mój przystanek. Naciągam kaptur kurtki niemal na same oczy i pędzę w stronę wyrastającego przede mną wieżowca. Jestem już spóźniony.

Wtaczam się do środka. Zimnoniebieskie futurystyczne lobby co rano przypomina mi, czemu nienawidzę tej pracy. Wszystko w środku wyprane jest z kolorów, jakby ktoś wysłał stąd całe życie i zostawił tylko jałową pustkę. Stal i szkło – jak cokolwiek mogłoby żyć w takich warunkach?

Przeciskam się przez masę identycznie ubranych ludzi do bramek bezpieczeństwa prowadzących do wind. Niewyspanie i ta cholerna mgła znów dają o sobie znać. Jak ostatni idiota ładuję się na zamkniętą bramkę, zapominając o przyłożeniu do czytnika karty. Gdy tak desperacko grzebię w plecaku, szukając przepustki, czuję na sobie oddech kolejnych nieszczęśników spieszących się do pracy.

– Jakiś problem? – Słyszę głęboki chrypliwy głos dochodzący mnie gdzieś z boku. Podnoszę głowę. To ochroniarz.

– Nie mogę znaleźć karty – odpowiadam, przekładając w plecaku masę gratów, co do których nie mam pojęcia, po co je w ogóle ze sobą noszę. Uderza mnie wspomnienie kawałka plastiku ze zdjęciem mojej gęby leżącego na szafce przy drzwiach. Jak mogłem jej zapomnieć? Jeszcze mi się to nigdy nie zdarzyło.

– Bez karty pan nie przejdzie.

– Wiem o tym, ale...

Facet patrzy na mnie, jakbym coś kombinował. Jakbym pchał się do tego przekłętego biura z innego powodu niż praca. Po co miałbym się włamywać? Żeby pozwedzać? Przebieram rękami coraz bardziej nerwowo, ale nigdzie nie widzę karty...

– Proszę się zgłosić do stanowiska ochrony z dokumentem tożsamości. Moi koledzy potwierdzą, że może pan wejść, i dostanie pan jednorazową przepustkę.

Zerkam na kolejkę do stanowiska ochrony. Podobnych mnie jest dziś widać znacznie więcej. Jeśli mam stać dwadzieścia minut po jednorazówkę, to równie dobrze mogę wrócić się do domu. Szef jest bezlitosny w kwestiach spóźnień.

– Widzi pan, jaka tam kolejka? – pytam, przyjmując błagalny ton. – Pracuję tu. Chyba mnie pan kojarzy, co? Mijamy się co rano. Nie dałoby się po prostu otworzyć bramki? Jestem już spóźniony.

Ochroniarz napina się jak struna – włączony tryb służbisty. Już wiem, że na nic moje prośby.

– Zdaje pan sobie sprawę, ile osób mijają mnie tu co rano? Myśli pan, że was wszystkich spamiętuje? Jakbym miał tak niesamowitą pamięć, nie pracowałbym w ochronie.

– Ja jakoś pana zapamiętałem.

– Ale ja jestem tylko jeden, was tu pracuje tysiące. Wszyscy wyglądacie tak samo. Macie nawet ten sam wyraz twarzy. Proszę nie blokować przejścia, tylko udać się do stanowiska ochrony. W przeciwnym razie...

– Daj spokój, Gieniu! – Słyszę głos nadchodzący z drugiej strony. Znajomy głos... – Puść chłopaka. Na moją odpowiedzialność.

Odwracam się w kierunku niespodziewanego sprzymierzeńca. To Szeryf. Stoi tuż przy windach w pozie, której zawdzięcza całą tę ksywę. Dumnie przeży pierś z naszywką z logo firmy ochroniarskiej i wciska kciuki za pas z okazałą kłamrą, na którym zamiast kabury z rewolwerem wisi mu jedynie krótkofalówka. Wygląda, jakby szykował się na pojedynek w samo południe. Puszczają mi oko, gdy nasze spojrzenia się spotykają.

– To wbrew regulaminowi! – odpowiada mu służbista, krzycząc przez ramię.

– Będziesz dyskutował z dowódcą zmiany?! Puść chłopaka, mówię!

Służbista wzdycha, po czym wciska przycisk zwalniający kontrolę dostępu. Pędzę w stronę wind, ale żeby wjechać na swoje piętro, muszę jeszcze minąć Szeryfa. I w normalnych warunkach byłoby niezręcznie, a teraz jeszcze spieszy mi się do pracy.

– Kiedyś nie byłoby dyskusji. Chłopaki tracą do mnie szacunek... – wzdycha Szeryf cicho, patrząc surowo wokół.

Muszę przyznać, że jestem w niemałym szoku. Kompletnie nie widać po nim wczorajszej nocy. W czujnych oczach nie dźwięczą echa wypitej wódki. Miałem poważne wątpliwości, czy w ogóle pokaże się dziś w pracy, a ten sukinsyn stoi przede mną świeży jak skowronek.

– Panie Mako... Rysiek. – Wzywam windę, wbijając wzrok w posadzkę. – Co do wczorajszej nocy...

– Zapomnij, młody. Chwila słabości, to tyle. Leć na górę. – Rzuca mi serdeczny uśmiech, ale widzę, ile wysiłku go kosztował. – Spóźnisz się, to będziesz miał kłopoty.

Donośny brzdęk zwiastuje otwarcie windy. Z szacunkiem pozdrawiam Szeryfa skinieniem głowy, zadowolony, że udało mi się uniknąć niezręcznej konwersacji, po czym ładuję się do środka, mijając wysiadających na parterze ochroniarzy. Tuż przed zamknięciem drzwi słyszę jeszcze, jak chichoczą, mijając swojego dowódcę. Robota w takich warunkach musi go kosztować wiele sił. Chyba serio robi mi się go żal...

Wypadam z windy jak oparzony i ruszam w stronę open space'u. Otaczające mnie szklane ściany całe spływają deszczem, sprawiając, że czuję się trochę jak w akwarium. W środku panuje absolutna cisza. Co jakiś czas ktoś jedynie postuka w klawiaturę albo w oddali zabrzączy drukarka. Nie pracuje nas tu wielu, więc nie ma szans, żeby moje spóźnienie przeszło niezauważone.

Przemykam, podnosząc wysoko barki, jakbym myślał, że będę przez to mniej widoczny. Niepotrzebnie – nikt nawet nie patrzy w moją stronę. Siadam do biurka i jak najszybciej dobieram się do klawiatury, żeby wyglądać na zmotywowanego do szybkiego nadrobienia zaległości. Samego czytania maili, które wpadły na moją skrzynkę przez weekend, wystarczyłoby na kilka godzin ciężkiej harówki. Czy ci ludzie nie mają życia poza pracą? Kto wysyła maile w weekend?

Odhaczam wszystkie jako przeczytane, głównie po to, żeby nie słyszeć narzekań szefa, gdy stanie mi za plecami i zobaczy te wszystkie wiadomości. Zajmę się nimi potem, teraz co innego zajmuje mi myśli. Zresztą jestem tak niewyspany, że przed trzecią kawą i tak czytałbym to samo zdanie w kółko i w kółko, nie rozumiejąc ani słowa.

Sam nie jestem pewien, jak do tego doszło, ale znowu ładuję na tej czarnej stronie z obrzydliwym czerwonym fontem, który dziwnie kojarzy mi się z przesadnie wymalowanymi szminką ustami. Może taki był zamysł grafika. Rozglądam się nerwowo dookoła, tym razem przytomnie sprawdzając, czy nikt nie zerka mi w ekran, i gdy mam pewność, zaczynam przeglądać dalej.

Skroluję w dół strony, szukając jakichkolwiek informacji o producentach albo aktorkach. Staram się nie zatrzymywać wzroku na fotografiach naplutyh wszędzie dookoła. Gwiazdy porno ze zrobionymi piersiami i ustami, jakby przyssały się do odkurzaczy. Albo strona nie była aktualizowana od zarania dziejów, albo ktoś tu przegapił moment, w którym facetom zmienił się gust. Nie wiedzą, że teraz w modzie są dziewczyny z sąsiedztwa?

W końcu na samym dole zdającej się ciągnąć w nieskończoność strony znajduję informacje o stojącej za tym wszystkim firmie. Pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to po prostu skopiowanie jej w przeglądarkę i zobaczenie, co ma mi do powiedzenia KRS. Gdy dowiaduję się, że jest zarejestrowana w Stanach Zjednoczonych, nie jestem nawet rozczarowany. To nie mogło pójść tak łatwo.

Wracam na stronę i szukam dalej. Ze swojego biurka, przez przeszklone drzwi do jego biura, widzę kręcącego się niespokojnie w fotelu szefa. Wiem, że to oznacza tylko jedno – zauważył, że się spóźniłem, i aż go świerzbi, żeby wstać i zapytać mnie o przyczynę. Najwyraźniej teraz próbuje zmotywować się do działania i układa sobie w głowie scenariusz rozmowy. Przez ostatnie dwa lata wyryłem sobie w mózgu jego mowę ciała na tyle dobrze, że jestem w stanie przewidzieć każdy ruch tego czepliwego gnoja.

Najwyraźniej jestem nieomylny, bo widzę w odbiciach jego za dużych okularów, że wygasił ekran monitora. Szybko zamykam stronę Sliders Production i odpalam maile. Nie mija chwila, a czuję mieszanek potu z Dior Sauvage wirującą w powietrzu gdzieś nad moją głową. Przez chwilę staram się go ignorować, ale zaczyna irytująco odchrząkiwać.

– Tak? – Podnoszę głowę.

– Coś się stało? – pyta pryszczaty dwudziestoparolatek, utrzymując dziwnie nienaturalny kontakt wzrokowy.

Dobrze wiem, co myśli, że robi. Myśli, że ustanawia dominację na linii szef-podwładny. Widziałem na jego biurku książki z mowy ciała w biznesie. Efekt sprawia niestety wrażenie ofiary nagłego ataku ostrej biegunki.

– Uciekł mi tramwaj – odpowiadam, ponownie kładąc wzrok na ekranie monitora. Wiem, że go to irytuje, bo znowu zaczyna niespokojnie odchrząkiwać.

– Może warto przemyśleć wstawanie na wcześniejszy?

– Może warto.

– Karol, mam wrażenie, że jesteś dzisiaj jakiś wrogi. Nie odbieraj tego jako czepianie się. Muszę dbać o to, żeby wszyscy przychodzili na czas. Jak poczują się twoje koleżanki i koledzy, jeśli dowiedzą się, że Karol mógł sobie dziś pospać dłużej niż oni i nie poniósł z tego powodu żadnych konsekwencji, co? Zaraz będę miał tu falę spóźnień, bo ludzie zaczną to uważać za naturalny stan rzeczy. Nie możemy się spóźniać, Karol.

– Już się stało, nie za bardzo wiem, co teraz mógłbym z tym zrobić. Postaram się, żeby to się więcej nie powtórzyło.

– Dziękuję. Dokładnie o to chodzi. Oprócz tego zostaniesz dziś po godzinach. Piętnastominutowe spóźnienie odpracujemy jako pełną godzinę.

– Od kiedy?

– Od dziś. Karol, skup się, proszę. Pracujesz tu najdłużej. Góra poprosiła, żebym wyznaczył kogoś do awansu. Jesteś naturalnym wyborem, ale z takim podejściem... Jak mam wybronić tę decyzję, co?

– To się już nie powtórzy, szefie. Słowo honoru. A teraz, jeśli szef pozwoli, chciałbym już wrócić do pracy...

– Naturalnie... Oczekuję, że do śniadania zamkniesz przynajmniej trzy case'y. Nie zawieź mnie, Karol. Potrzebuję tu zmotywowanych ludzi.

Nie odpowiadam, tylko kiwam delikatnie głową. Dyskusja byłaby tu bezcelowa. I tak w końcu wyszłoby na jego. Szef patrzy na mnie jeszcze przez chwilę z jakimś dziwnym rozczarowaniem w oczach, po czym odchodzi pozagadywać do pozostałych.

Wracam na pornostronkę. Żadnych więcej odnośników, żadnej zakładki do kontaktu. Nie mam wyjścia – muszę przebrnąć przez tę ścianę czerwonego tekstu. Nic interesującego, jedynie kilkudzaniowe opisy filmów i dane do wykupienia abonamentu premium... Ale na samym dole jest coś jeszcze... Adres mailowy i zachęta do kontaktu w sprawie pracy.

Domyślam się, że nie szukają specjalisty od bezmyślnego przepisywania danych z fizycznych kartek do systemu. Nieco niżej jest dopisek, że nie odpowiadają na zapytania bez załączonych zdjęć. To niemal na starcie zabija pomysł, jaki wykiełkował mi w zaćmionym brakiem snu umyśle. Chciałem zgłosić się do pracy, licząc, że dostanę jakieś dane kontaktowe dla Szeryfa. Adres, numer telefonu, cokolwiek... Cokolwiek, co da mi poczucie, że nie zostawiłem człowieka na lodzie... Poczucie, że pomogłem. W końcu stwierdzam, że co mi tam. Wysyłam maila bez zdjęć, najwyżej nie odpiszą. Po wszystkim wracam na stronę i przyglądam się pozostałym fotosom. Staram się znaleźć na nich Natalię.

– Hej, Scarface! – Czuję klepięcie w bark i towarzyszący mu głos jednego z moich współpracowników. Choć on pewnie użyłby określenia „kolega”.

Sytuacja, w jakiej mnie zastał, sprawia, że ze strachu aż podskakuję. Drżącą dłonią staram się najechać na czerwony krzyżyk w prawym górnym rogu. Odwracam się, gdy ekran znowu wypełniają nieodczytane maile.

– Krzysiek... – Zdaję sobie sprawę, że robię minę, jakbym właśnie przegryzł ćwiartkę cytryny. Zastanawiam się, czy widział...

– Chłopie, co ty taki nerwowo? W tej robocie na spokojnie trzeba! – Ulizany jakąś tanią pomadą, współpracownik ponownie klepie mnie w ramię. – Widziałem, że przyszczaty cię odwiedził. Co mówił? Ojebał cię za to spóźnienie, co?

Nie odpowiadam, robię jedynie niewiele mówiący grymas.

– Dobra, wiesz co, opowiesz przy kawie. Lecę na śniadanie. Idziesz ze mną?

– Nie wiem... Powiedział, że do śniadania mam klepnąć trzy case’y.

– Chłopie, chcesz, żebym jadł sam? Nie słyszałeś, że jedzenie w samotności to prosta droga do depresji? Poza tym mając widownię, mniejsza szansa, że wybiorę coś obrzydliwie tłustego i niezdrowego. – Krzysiek gładzi się po brzuchu, jakby był w zaawansowanej ciąży. – Bo będzie mi wstyd przed tobą, Karol. Jak pójde sam, to pewnie skończy się na śniadaniowym burrito. A ja chcę czegoś zdrowego! Chcę czuć wstyd, Scarface!

Zaczyna trząść moim krzesłem, zwracając na nas uwagę całego biura. Całe to zachowanie i robienie z siebie debila działa mi na nerwy, ale faktycznie jestem już cholernie głodny i przydałby mi się kolejny kubek mocnej kawy – czegoś, co powstrzyma opadającą głowę jeszcze przez kilka godzin.

– To jak będzie?

– Chodźmy.

* * *

Nie musimy iść daleko. Na parterze naszego wieżowca jest sieciowa kawiarnia, o tej porze pękająca w szwach, ale mało kto je w środku – większość przychodzi po prostu napełnić tekturowy kubek kawą i czym prędzej ucieka na górę.

Po odstaniu swojego w kolejce zamawiamy dwa śniadania i po kubku gorącej kawy. Biorę śniadaniowe burrito i flat white, bo jedyna kawa, jaką uznaję, to ta na podwójnym espresso. Krzysiek poprzestaje na americano i jakiejś bagietce z warzywami. Bez trudu znajdujemy wolny stolik, stukamy się tekturowymi kubeczkami, jakbyśmy wznosili toast, po czym wgryzamy się w nasze kanapki jak wygłodniałe bestie.

– To o co z tym chodziło? – pyta Krzysiek, mieląc w ustach suchą bagietkę. Patrzy na moje śniadanie niemal ze zwierzęcym pożądaniami. Nie rozumiem czemu, przecież mógł zamówić to samo...

– W sensie?

– Co chciał pryszczaty?

– Muszę dziś zostać godzinę dłużej. Nowa polityka firmy, podobno wszystkie spóźnienia powyżej piętnastu minut odpracowujemy teraz jako pełną godzinę.

Krzysiek kiwa głową, zwieszając usta w podkowę, ale w oczach nie widzę współczucia.

– Pojebało ich już do reszty? Przecież spóźniłeś się tylko szesnaście minut.

– Szesnaście?! Co ty, liczyłeś?

– No, zerknąłem na zegarek, zaraz po tym, jak wszedłeś... I tyle, nic więcej nie mówił? Chwilę tam nad tobą stał...

– Nic więcej.

– Wiesz, że niedługo przenoszą go wyżej? Zostanie prawą ręką ojca.

– No, słyszałem.

– Będzie wakat na jego stanowisko. Ciekawe, czy już kogoś wybrali. Ty pracujesz najdłużej. Pewnie byś chciał...

Kiwam przecząco głową, siorbiąc kawę.

– Co? – pyta Krzysiek, wyraźnie ożywiony.

– Nie zależy mi.

– Serio? Ja tam jestem zdania, że skoro siedzę tu już ponad rok, to teraz już tylko wóz albo przewóz. Albo spierdalać w inne miejsce, albo się piąć. Jeśli mi zaoferują, to nie odmówię.

– Skoro tak mówisz. Ale faktycznie coś wspomniał, że pracuję tu najdłużej i że to mnie poleci na swoje stanowisko.

– Serio?! – Krzysiek zachłysnął się kawą. Barista ścina nasz stolik wzrokiem, jakby zastanawiał się, czy będzie potrzebna pomoc medyczna. Daję mu znak dłonią, że wszystko jest OK. – Ja... Ja myślałem, że sprawa jest ciągle otwarta i że teraz non stop nas oceniają. Dlatego patrzyłem w zegarek na twoje spóźnienie, bo bałem się, że zaspasłeś czy coś i zaraz miałem po ciebie dzwonić. Wiesz... Bałem się, że stracisz przez to jakieś punkty.

– Dzięki, stary. Zwyczajnie się zasiedziałem rano, potem uciekł mi tramwaj.

Krzysiek nachyla się bliżej mnie, zaczyna szeptać.

– Ale co... Mówisz, że nie wezmiesz?

– Nic nie mówię.

– No, ale powiedziałaś, że ci nie zależy.

– Bo nie zależy. Ale jak zaoferują, to pewnie wezmę. Zawsze uważałem, że więcej pieniędzy jest lepsze niż mniej pieniędzy.

– Taa... Też tak sędzę.

Zapada chwila ciszy. Obaj sączymy swoje kawy, wyglądając przez szybę na lobby wieżowca. Widzę Szeryfa patrolującego budynek. Przechadza się powoli, ale w jakiś nietypowy dla siebie sposób. Zawsze krążył w okolicach recepcji z dumą, jak gospodarz... Dziś tylko przemyka jak cień ze spuszczoną głową.

– Mijałem się z nim w kiblu – rzuca Krzysiek, przerywając ciszę.

– Z kim? Z Szeryfem?

– Noo. W ogóle pojebana sprawa. Zamknął się w kabinie i wydawał z siebie jakieś dziwne dźwięki.

– Dziwne dźwięki? – Ściszam głos do szeptu. – Może wstąpił tu rano na burrito?

– Nieee, stary. To było coś innego. Mówię ci. Sam nie wiem... Fakt, że jęczał, ale w dziwny sposób. Jakby... Jakby płakał.

– Płakał?

– Mówię ci. Wydaje mi się, że zamknął się w klopie, żeby trochę sobie pobeczeć. Mało tego, jak już wyszedł, to strasznie dawało od niego wódą. Myślę, że dziś pracuje na rauszu. Sam zobacz. – Kiwa głową za szybę, mając wyraźny ubaw. – Widziałeś?! Jakby się zataczał. Pojebana akcja, stary...

– Tak... Pojebana...

– I nawet nie wiem, czy na tyra naskarżyć, czy mu zazdrościć. Niby odpowiada tu za bezpieczeństwo i w ogóle, więc jakby frontowymi drzwiami wpadło tu zaraz komando terrorystów, to mielibyśmy przejebane jak w ruskim banku... Ale z drugiej strony kto nie marzy o tym, żeby w poniedziałek rano trochę sobie popłakać w kiblu albo trochę sobie golnąć, nie?

– Myślisz, że trzeźwy Szeryf uratowałby nas przed komandem terrorystów?

– To nie wiesz? Nasz Clint Eastwood był kiedyś w jednostkach specjalnych. Wiem, bo mi kiedyś opowiadał. W windzie...

Ta część życiorysu Szeryfa musiała mi gdzieś umknąć. Wiem jedynie, że kiedyś starał się dostać do policji... Z marnym skutkiem. Wycieram usta w serwetkę, po czym patrzę na zegarek. Czas wracać do pracy. Krzysiek chyba się zawiesił, cały czas gapi się na główne wejście do wieżowca.

– Ja spadam na górę – oznajmiam, wstając z krzesła. – Idziesz?

Krzysiek dyga, jakby ocknął się z transu.

– Wyobrażałem sobie, co by się działo, gdyby faktycznie doszło tu do ataku. Wiesz, jakiś aktywny strzelec czy coś. Jak myślisz, jak byś zareagował? Bohaterzyłbyś?

Nie odpowiadam. Unoszę jedynie brew w akcie niedowierzania.

– Gdzieś czytałem, że w sytuacji zagrożenia powinniśmy kierować się trzema prostymi zasadami – kontynuuje, powoli przygotowując się do wyjścia. – Po pierwsze: spierdalaj. Jak najszybciej i jak najdalej. Według tej zasady powinniśmy nie oglądać się na innych ani na swoją godność, tylko po prostu ratować własne dupska w stylu Usaina Bolta. Druga zasada jest taka, że jak nie możesz uciec, to najlepiej się schować. Trząść się sobie gdzieś cichutko w kącie i czekać, aż zagrożenie minie i potwory wpełzną z powrotem pod łóżko. A gdy pierwsze dwie zasady zawiodą, zostaje ci już tylko jedno...

Nic nie mówię. Ponownie unoszę brew, w spokoju dając mu dokończyć.

– Walka.

Obaj wstajemy i ruszamy w kierunku wyjścia. Krzysiek na pożegnanie uśmiecha się jeszcze zalotnie w stronę ładnej baristki.

– Zabawne – śmieje się Krzysiek. – Kobiety miałyby nas za wariatów, gdyby wiedziały, jak często fantazjujemy o tym, że ratujemy ludzi przed jakimś atakiem terrorystycznym czy czymś w tym rodzaju. Też tak pewnie masz, co? Gdzieś czytałem, że wszyscy faceci tak mają.

– Dużo czytasz...

– No, ale coś w tym jest, mówię ci. Wiesz, w tej chwili jestem święcie przekonany, że od razu przeszedłbym do trzeciego kroku i z gołą klatką nakurwiałbym się tu na środku recepcji z tabunem terrorystów, a na końcu te chodzące na szpilach recepcjonistki wpadłyby mi w ramiona, dziękując za ratunek... A prawda jest taka, że pewnie ścigałbym się z tobą, kto pierwszy do wyjścia ewakuacyjnego. – Klepie mnie w ramię, śmiejąc się na całe lobby. – Ech, Karol... Co to Hollywood z nami zrobiło? Pieprzony syndrom rycerza na białym koniu... Jak mamy się poczuć spełnieni jako mężczyźni, wklepując dane w jakieś cholerne tabelki? To wbrew naszej naturze...

Winda zatrzymuje się na naszym piętrze. Biuro wydaje się teraz nieco jaśniejsze, niż gdy wchodziłem do niego dwie godziny temu. Słońce zaczęło powoli wyłaniać się zza burzowych chmur. Burrito i mocna kawa sprawiły, że poczułem się już nieco lepiej. To może być jeszcze dobry dzień.

– Wiesz, co nam pozostało? Co jeszcze może dać spełnienie mężczyźnie w naszym świecie? – Słyszę głos Krzyśka, który najwyraźniej wciąż się za mną włóczy. Byłem przekonany, że już skręcił do swojego biurka.

Siadam przy klawiaturze i znowu czuję to pieprzone klepięcie w ramię. Mam ochotę mu oddać.

– Władza, przyjacielu – odpowiada na zadane przez siebie pytanie, szepcząc mi na ucho i kiwając w stronę przeszklonych drzwi managerskiego biura przed nami.

Obaj przyglądamy się, jak szef wklepuje coś na komputerze i walczy z okularami, próbując jakoś usadowić je na swoim miniaturowym nosie.

– Władza...

* * *

Świat za oknem znów ciemnieje. Słońce opada trochę niżej za każdym razem, gdy oderwę oczy od komputera i spojrzę na panoramę miasta. Dobrze, że przestało padać.

Powoli zbliżam się do końca zmiany, biuro opustoszało jakieś pół godziny temu. Zostałem sam. No, chyba że liczyć szefa wciąż tkwiącego w swoim biurze. Strasznie się wierci, ciągle się drapie i odchrząkuje. Jest bardzo nerwowy, co uznaję za dziwne zachowanie – odstępstwo od normy.

Zazwyczaj im bliżej końca zmiany, tym robi się luźniejszy. Czasem nawet zapuszcza sobie jakąś rockową muzykę. W normalnych warunkach, w ciągu dnia, pewnie bym się

nad tym zastanawiał. Miałbym jakiś temat do plotek z Krzyśkiem. Ale nie teraz. Teraz jestem już zbyt zmęczony. Zbyt senny.

Zamykam ostatni case tego dnia. Myślami jestem już w swoim ciasnym mieszkaniu. Rozsiadając się wygodnie w fotelu, odkapslowuję pierwsze piwo i odpalam jakiś stary film – coś w klimatach neo-noir, może *Chinatown* z Jackiem Nicholsonem?

Pakuje manatki do plecaka i wkładam płaszcz, wciąż wilgotny od przebieżki w porannej ulewie. Mogłem się o niego nie opierać cały dzień, może wtedy by wysechł. Przez moment zastanawiam się, czy pójść pożegnać się z szefem, ale najwyraźniej postanawia mnie wyręczyć. Widzę, jak podnosi się z fotela. Po chwili staje w drzwiach swojego gabinetu i mierzy mnie wzrokiem.

– Ruszam do domu, szefie – rzucam z wymuszonym uśmiechem. – Jest siedemnasta. – Stukam palcem w noszony na nadgarstku czasomierz. – Dodatkowa godzina, co do minuty. Kara to kara. Case’y zamknięte.

Pryszczaty nie odpowiada. Rozgląda się po biurze, jakby dopiero się obudził i nie bardzo wiedział, gdzie się znalazł.

– Wszystko w porządku? Błado szef wygląda.

– Karol, pozwól, proszę, do mojego gabinetu – rzuca cierpko, nie patrząc mi w oczy, po czym obraca się na pięcie i na powrót siada za biurkiem, jakby chował się w fortecy.

Sytuacja jest co najmniej dziwna, ale chyba wiem, o co mu chodzi. To stąd to zdenerwowanie, pewnie znowu ćwiczył w myślach scenariusz rozmowy i wyzuło go to psychicznie. Strzelam, że chce mnie oficjalnie poinformować o awansie.

Odkładam na chwilę plecak i nie ściągając płaszcza, ruszam w stronę gabinetu. Wciąż nie wiem, jak to rozegrać. Myślałem nad tym, żeby grać niedostępnego. Trochę ich przestraszyć, sprawić, żeby sięgnęli nieco głębiej do kieszeni, próbując mnie przekonać. Jak by nie było, jestem ich najlepszym pracownikiem. Nikt nie wie o tej robocie tyle, co ja, za dużą mamy tu rotację. Tak się złożyło, że tylko ja zapaściłem tu korzenie na dłużej niż kilka miesięcy. Czas w końcu coś na tym ugrać.

Wchodzę do środka. O tej porze światła w całym biurze są już przygaszone – oszczędności. Nie ma sensu marnować prądu na jednego pracownika. Pryszczaty siedzi sztywno za biurkiem, oświetlając je sobie niewielką biurową lampką. Nic nie mówi. Patrzy na mnie w jakiś dziwny sposób, który nie wygląda jak coś, czego mógłby się nauczyć z leżącego wciąż na biurku podręcznika. Tym razem nie przypomina klauna, emocje komunikowane przez mięśnie jego twarzy są prawdziwe. Jest zestresowany.

Boi się.

– Usiądź, Karol – rzuca w końcu, poluzowując krawat.

Posłusznie siadam. Nic nie mówię. Daję mu przejąć stery.

– Karol... Czy... – Słyszę, jak słowa grzęzną mu w gardle. – Czy masz mi coś do powiedzenia?

Nie bardzo wiem, co mu odpowiedzieć. Zbity z tropu, rzucam mu po prostu pytający wzrok.

– Doszły mnie słuchy... – Pryszczały wierci się tak mocno, że mam poważne obawy, czy zaraz nie rozmontuje krzesła, na którym siedzi. – Doszły mnie słuchy, że nie wykonujesz należycie swoich obowiązków.

– Słucham? Że co? Nie wykonuję? – pytam kompletnie zaskoczony. Rozmowa nie idzie w kierunku, na który liczyłem. O czym on...

– Wykorzystujesz służbowy sprzęt...

– Przecież zrobiłem dziś całą swoją robotę. Przez tę dodatkową godzinę nawet z nawiązką. Więc jak możesz w ogóle mówić, że...

– Cholera jasna, Karol... – Pryszczały chowa twarz w dłoniach i pozwala łokciom opaść na biurko. Pot na jego czole błyszczy w słabym świetle lampy. Głęboko wzdycha.

– Nie da się tego jakoś delikatnie ująć, więc powiem wprost...

– Czego nie da się ująć?

– Porno. Oglądałeś w robocie porno.

Zatyka mnie. Czuję, jakby całe zgromadzone w płucach powietrze wyleciało jakimś bocznym wyjściem.

– Już sam fakt jest dla mnie zwyczajnie chory, Karol. Do tego twoi współpracownicy czują się z tym bardzo niekomfortowo. Dostałem skargę.

– S-skargę?

– Nie chcę o tym dyskutować. Nie przedłużajmy tej rozmowy bardziej, niż trzeba. Wezwałem cię, bo musimy się pożegnać. Proszę. – Podsuwa mi pod nos jakąś kartkę. – Podpisz.

Zerkam na świstek, ale wzrok mam jakby zamglony. Dostrzegam tylko napis „Wypowiedzenie” walnięty na środku. Serce wali mi jak oszalałe. Mam wrażenie, że nie czuję gruntu pod stopami. Jakbym w ogóle nie miał ciężaru i lewitował razem z krzesłem. Jest mi wstyd i jednocześnie nie mogę uwierzyć, że uczestniczę w tej rozmowie.

Przecież szedłem już do domu...

– Karol, podpisz to, proszę. Chyba rozumiesz...

– Chcesz mnie zwolnić, bo ktoś nakłamał na mój temat?

– Karol...

– No co? Przecież to zwykłe kłamstwa! Nie przeglądałem w pracy żadnego... Żadnego porno!

– Wiesz, że mogę sprawdzać, na jakie strony logują się pracownicy, prawda? Zazwyczaj tego nie robię. Pozwalam wam siedzieć i robić na tych kompach, co tylko chcecie, ale tak jak mówię... Tym razem zostałem poproszony o interwencję. Takie strony to przesada, Karol. Ludzie w biurze czują się mocno urażeni, że robisz coś takiego.

– Ja...

– Do tego to spóźnienie.

– To było piętnaście minut, do cholery. – Chowam twarz w dłoniach. Nie mogę uwierzyć, że sprawdzałem, na jakie strony wchodziłem. Myślałem, że nikt nie obserwuje. Byłem pewien...

– Trochę dłużej...

– Co?

– Trochę dłużej niż piętnaście. I w ogóle zjawiasz się w pracy jakiś wczorajszy. Nie wiem, co się z tobą dzieje, ale może potrzebujesz z kimś pogadać. Z kimś spoza pracy w sensie...

– Nie jestem wczorajszy. Ja... Ja po prostu słabo spałem.

– Karol, proszę. Podpisz to cholerstwo i miejmy to już za sobą. Stało się. W takich wypadkach mam związane ręce. Wiem, że pewnie w obliczu konsekwencji drugi raz zachowałbyś się inaczej, ale, tak jak powiedziałeś rano, to już się stało. Nikt z nas czasu nie cofnie.

Ma rację. Jedyne, co mogę teraz zrobić, to wyjść stąd z podniesionym czołem.

Przysuwam kartkę bliżej siebie i drżącą ręką składam podpis. Gdy na niego spoglądam, wygląda jak pierwsze próby pisarskie czterolatka. Wstaję. Chciałbym jeszcze coś powiedzieć, ale słowa po prostu nie przychodzą, zresztą pryszczaty i tak ucieka wzrokiem. Widzę, że chciałby mieć to już za sobą. Chyba obu nam jest wstyd. Założę się, że wcale nie chciał przeprowadzać tej rozmowy, ale zlecił mu ją ojciec. Ostatni test przed objęciem poważniejszego stanowiska. Ostatni test przed dorosłością.

Wychodzę. Gdy czekam na windę, czuję, jak wilgotnieją mi oczy. Poczucie niesprawiedliwości narasta we mnie tak mocno, że mam ochotę tam wrócić i walczyć o swoje, ale w ostatniej chwili melodyjny dzwonek windy sprowadza mnie na ziemię.

Wsiadam do środka i nie oglądam się za siebie.

* * *

Niebo ma podobną barwę do zalanego deszczem chodnika. Zdaję sobie sprawę, że wcale nie przestało padać, chociaż widok z okien wieżowca sugerował coś innego.

Chyba że to po prostu tylko nade mną wisi burzowa chmura, podążająca za swoją ofiarą krok w krok, gdziekolwiek by się nie ruszyła.

Biorę głęboki wdech i zastanawiam się, co dalej. W normalnych okolicznościach właśnie pędziłbym na przystanek. Chciałbym jak najszybciej znaleźć się w domu, wziąć prysznic i rozsiąść się w fotelu. Chciałbym wyciągnąć jak najwięcej z wolnego czasu, jaki pozostał mi przed następną zmianą. Cieszyłbym się, patrząc na zegarek o osiemnastej, i smucił o dwudziestej drugiej, świadomy, że czas iść spać i powtórzyć jutro wszystko od początku.

Od dwóch lat każdy dzień wyglądał tak samo.

Poczucie przełamanej rutyny sprawia, że skręca mnie w żołądku. Stoję pod głównym wejściem, obserwując ostatnich niedobitków opuszczających swoje biura, i nie wiem, dokąd iść. W lewo? W prawo? Każdy kierunek wydaje się tak samo dobry.

Albo tak samo zły.

Nagle zdaję sobie sprawę, że nigdy nie przyglądałem się okolicy, w której przyszło mi pracować przez ostatnie dwa lata. Przystanek i prosta droga do wieżowca, potem przystanek i prosta droga do mieszkania – to wszystko, co znam. Widzenie tunelowe. Cała okolica była do tej pory po prostu rozmazaną plamą, jakby to miasto w większości nie istniało.

Muszę się przejść. Przemyśleć to wszystko.

W głowie pustka. Odszedłem już naprawdę spory kawał od wieżowca. Mijam kolejne ulice i skrzyżowania, niemal dostrzegając linię graniczną oddzielającą wymuskane i lśniące centrum od reszty miasta – brudnej i biednej. Mam dziwne wrażenie, że ludzie patrzą na mnie wrogo, jakbym tu nie pasował. Ich świat odrzuca mnie i ten mój będący zwykłą podróbką płaszcz od Armaniego jak źle przyjęty przeszczep. A może to tylko paranoja? Z drugiej strony uderza mnie to, że w ogóle na mnie patrzą. Tam, w centrum, pośród szkła i betonu, nikt na nikogo nie spoglądał.

Najwyraźniej ludzie dostrzegają cię tylko, gdy odstajesz.

Mam wrażenie, że cały ten spacer prowadzi donikąd, i chcę zawrócić, wrócić już do domu, gdy w jednej z bocznych uliczek dostrzegam ruch. Ludzie kłębią się pod niewielkim sklepem jak rój owadów. Wielki różowy neon „Alkohole 24” wali mi po oczach. Coś podpowiada mi, że tak właśnie trzeba. Że lekarstwo na smutki może być tylko jedno.

Nie widzę powodu, by nie wejść do środka.

Mijam gromadkę popijających pod sklepem żuli. Ostry zapach spirytusu wbija mi się w nozdrza. W głowie dźwięczą słowa Szeryfa o tym, że dorosłem już do szlachetniejszych trunków, i myślę, że warto spróbować, dopóki wciąż mam jakąś kasę, a bezrobocie nie zaczęło odciskać swojego piętna na portfelu.

Radio zagłusza wszystkie myśli. Jakieś nieznane mi popowe hity, od których całkowicie się odciąłem, zamknięty w mojej muzycznej bańce na Spotify. Młoda dziewczyna podaje mi butelkę Four Roses. Początkowo uśmiechnięta, krzywi się, gdy odwracam się do niej policzkiem z blizną. Płacę i chowam alkohol do wewnętrznej kieszeni płaszcza, jednak zanim zdążę wyjść, czuję, jak ktoś łapie mnie za rękaw.

– Koleżka, widzę, przy kasie, a mi trochę brakuje nawet do taniej wody – zagaduje do mnie jeden z przedstawicieli gromadki, którą mijałem pod sklepem. Czuć od niego moczem i chyba nie ma większości zębów.

– Nie mam – rzucam cierpko i próbuję wyrwać ramię z uścisku.

– No, tak rozmawiać nie będziemy. Ja tu się otwieram, szczerze mówię, że mam problem finansowy, a ty znajomość kłamstwem zaczynasz? Widziałem, jak chowasz do portfela setkę. – Facet szarpie coraz mocniej, mam wrażenie, że zaraz rozerwie mi płaszcz.

– Ej, załatwcie to na zewnątrz, dobra?! – krzyczy kasjerka, sprawiając, że wnętrze wywracają mi się na drugą stronę. Jak to mamy to załatwić na zewnątrz?

– Powywracacie mi butelki i potrącają mi z wypłaty!

– Na zewnątrz? Co na zewnątrz? – odpowiadam, wciąż próbując się wyszarpnąć. Czuję, jak miękną mi nogi. – Nie mamy czego załatwiać.

– Powiedziała, że macie wyjść na zewnątrz! Mirek! – zwraca się do menela. – Zabierz go, bo nic ci już dziś więcej nie sprzedam.

– Słyszałeś panią. – Gość chwytą mnie za kołnierz i wypycha na ulicę.

Nagle uderza mnie wszechobecna cisza, stanowiąca niepokojący kontrast dla grającego w sklepie radia. Przestrzeń dookoła oświetla jedynie bzygający neon. Pozostali członkowie klubu białej myszki podbiegają do nas, pytając, co się stało.

– Gość zaczął mnie obrażać – odpowiada ten bez zębów.

– Nic do ciebie nie mówiłem! Panowie, ja chcę tylko iść do domu.

– To w ramach przeprosin możesz dać nam tę flaszkę, co ją chowasz za pazuchą.

Gość ciągle trzyma mnie za rękaw, pozostali zdążyli rozstawić się już tak, że ucieczka nie wchodzi w grę. Schować też się raczej nie dam rady. Co mi zostaje? Zerkam w bok, szukając ratunku.

– Co się, kurwa, rozglądasz?! Ktoś ci krzywdę robi?!

– Panowie, ja...

– Flaszka!

Wyciągam butelkę spod płaszcza i przekazuję ją temu najbardziej nabuzowanemu. Pozostali rozluźniają krąg, wyraźnie usatysfakcjonowani moim gestem.

– No. – Facet oddał prezent jednemu ze swoich kolegów. – A teraz przeproś.

– Nic ci nie zrobiłem. Daj mi spokój.

– Skłamałeś, to wystarczy. Matka cię nie uczyła, czym jest kłamstwo? Przeprós.

– Pierdol się – rzucam w końcu przez zaciśnięte zęby, choć samo wypowiedzenie tych słów sprawia, że nogi mam jak z waty. Czy jest sens zgrywać twarziela, jeśli nikt nie patrzy?

Nawet nie dostrzegłem pięści przecinającej powietrze przede mną głuchym świstem. Odrzuca mnie na kilka kroków. Czuję metaliczny posmak w ustach. Facet rozorał mi wargę, z której kapie teraz na chodnik jak z pękniętej rury. Krew przeciska się przez zęby. Podnoszę wzrok i zaciskam pięści. Kątem oka spoglądam na dziewczynę za witryną monopolowego.

Może jednak ktoś patrzy?

Już biorę zamach, gdy nagle padam na podłogę, kopnięty w plecy przez kogoś z tyłu. Słyszę śmiechy i oddalające się w pośpiechu kroki, kałuże rozchłapywane obutymi stopami.

Leżę twarzą na chodniku. Pod prawym policzkiem czuję piasek i wilgoć wdzierające się w świeżą ranę. Przekłęty neon bzyczy mi nad głową jak natrętna mucha.

Z trudem staję na nogi i zerkam w witrynę sklepu. Dziewczyna chyba nawet nie widziała albo nie chciała widzieć. Znużona przegląda coś w telefonie. Dotykam wargi i czuję, jak ciepło przelewa mi się przez palce.

Czas wracać do domu. Chcę już tylko spać.

ROZDZIAŁ TRZECI

Budzę się kilka minut przed budzikiem, który dziś i tak by nie zadzwonił, bo nie było sensu go nastawiać. Najwyraźniej organizm nie zrozumiał, co się wczoraj stało, tak dobrze jak ja i gotów jest zrywać się do pracy.

Przez chwilę leżę w kompletnych ciemnościach, wpatrując się w sufit.

Brak celu to cholernie dziwne uczucie. Jakikolwiek by nie był, sprawia, że wstajemy rano z łóżka i przez resztę dnia marzymy, by móc już do niego wrócić. Dziś, po raz pierwszy od dawna, nie muszę tego robić. Czy tak wygląda codzienność ludzi na emeryturze? Czują, że fakt postawienia stopy na podłodze nie ma żadnego znaczenia?

Jakkolwiek beznadziejnie nie wyglądałaby teraz sytuacja, nie mam zamiaru jeszcze bardziej jej pogarszać. Jeśli zaraz nie wypiję kawy, nadejdzie ból głowy. Ból, którego nie pozbędę się już przez resztę dnia. Wiem, bo kilka razy przechodziłem już kofeinowy detoks.

Siadam na krawędzi łóżka i zrzucam nogi na podłogę. Na chwilę zamieram w bezruchu. Kłujący ból promieniuje od lędźwi aż po kark, sygnalizując mi, że wczorajsze przeciwbólowe działanie najsilniejszego znanego ludzkości środka – adrenaliny – właśnie się zakończyło.

Poczłapuję do łazienki i w strugach gorącej wody zmywam z dłoni zeschniętą krew. Do łóżka padłem tak, jak stałem, nawet nie zdjąłem z siebie ubrań.

Gdy przecieram zaparowane lustro, dostrzegam nabrzmiałą i fioletową wargę. Zabawne, teraz, gdy tak spuchła, wyglądam nieco weselej. Kącik ust trochę się uniośł przez wpompowaną w wargę krew, co sprawia wrażenie, jakbym... Jakbym się uśmiechał?

Wygląda na to, że osiedlowy żul za darmo dokonał czegoś, z czym nie poradzili sobie warszawscy chirurdzy.

Kawa w kawiarni zaczyna charakterystycznie bulgotać, a kuchnię wypełnia pobudzający zapach. Nalewam sobie duży kubek i siadam do laptopa. Dziś nie mam zamiaru przeglądać wiadomości ze świata. I bez tego wiem, że nie ma sensu wychodzić z domu. Zamiast tego zabieram się do szukania pracy. Oszczędności, które zgromadziłem, wystarczą może na miesiąc, góra dwa. Nie chciałbym pewnego dnia obudzić się z pustym portfelem...

Niewiele myśląc, aplikuję na kilka ofert do miejsc podobnych temu, w którym pracowałem. Wszystkie ogłoszenia wyglądają tak samo: „Zapewniamy narzędzia do

pracy” – chwalmy Pana. W pracy umożliwią mi pracę czy można oczekiwać czegoś więcej? Dodajcie do tego świeże owoce w każdą środę i jestem wasz.

Zrezygnowany wciskam swoje niezbyt imponujące CV gdzie popadnie, licząc na jakikolwiek odzew, tym bardziej zaskakuje mnie, że pierwszy dźwięk nadchodzącego maila wybrzmiewa z mojego telefonu zaledwie po kilkadziesiąt minutach. Chyba trafiłem na jakąś zdesperowaną, wstającą wcześniej rekruterkę albo przez przypadek posłałem CV na jakiś scam oferujący „Zagraniczne pensje bez wychodzenia z domu!”.

Otwieram maila i przez chwilę przetwarzam otrzymaną właśnie wiadomość.

„Pani Karolino, prosimy o zdjęcia. Pozdrawiamy”.

Przecieram oczy i biorę potężny łyk kawy. Jeszcze raz czytam tę enigmatyczną odpowiedź, po czym rzucam okiem na nadawcę.

Sliders Production.

Kompletnie o tym zapomniałem. W mailu podałem się przecież za osiemnastoletnią Karolinę i byłem zainteresowany pracą na planie filmowym. Mieli nie odpowiadać na oferty bez zdjęć, ale najwyraźniej nie przejmują się zbyt mocno własnymi zasadami...

Od chodzenia od ściany do ściany na panelach podłogowych zaczyna wycierać się ścieżka. Zastanawiam się, jak to rozegrać. Pierwszy pomysł szybko wleciał do kosza. Chciałem po prostu załączyć ogólnodostępne zdjęcia jakiejś losowej laski z internetu, ale dziś bardzo łatwo jest wyszukać źródło takiej foty. Po czymś takim szybko odkryliby, że urocza Karolina to w rzeczywistości jakaś internetowa modelka.

Potrzebowałem czegoś innego – zdjęć, których nie znajdziesz w przeglądarce tak po prostu.

Prywatnych zdjęć.

Nie widzę innego wyjścia, jak po prostu przejrzeć instagramowe profile moich koleżanek, takie, do których dostęp ma się tylko, gdy właścicielka profilu zaakceptuje prośbę o obserwowanie. Przecież musi być tam coś, co się nada.

Przebijam się przez stosy kolejnych profili niespełnionych modelek, trenerek fitness z dwumiesięcznym stażem na siłowni czy innych szafiarek, szukając tej jedynej. Skłamałbym, mówiąc, że nie czuję się z tym dziwnie. Prowadzę swój casting na aktorkę porno, niczym nie różniąc się od śmieci, którzy zrobili z Natalki osobę, którą jest dzisiaj.

Oceniam niczego nieświadome dziewczyny, nie mając do tego żadnego prawa. To która zostanie gwiazdą? Wybór nie jest prosty. Odrzucam za zbyt małe piersi, za niekształtny tyłek albo blizny...

Odrzucam za blizny...

Zaglądam na dno pustego kubka. Nie widzę powodu, dla którego dziś miałbym nie wypełnić go whisky kupioną wczoraj w drugim sklepie, tuż pod blokiem, choć po

przyjściu do domu nie miałem ochoty nawet jej otwierać. Potrzebuję czegoś, co przytłumi poczucie obrzydzenia do siebie. Przecież dziś nikt nie będzie mnie oceniał. Nie muszę iść do pracy...

Biorę łyk. Płynny ogień spopiela tkanki przełyku. Zastanawiam się, co Szeryf widzi w tym gównie, ale szybki przypływ endorfin skutecznie powstrzymuje początkowe zniechęcenie. Wypijam cały kubek i wracam do poszukiwań. Wmawiam sobie, że to dla wyższego dobra, że dziewczyna, której fotki pójdą w mailu, nawet się o tym nie dowie, ale każde kolejne zdjęcie, które odrzucam, sprawia, że robi mi się coraz bardziej niedobrze.

W końcu się decyduję. Jedna znajoma ze studiów pewnego dnia zdecydowała się na artystyczną sesję w bieliźnie.

To moja Karolina.

Zapewne zrobiła to, by poczuć się lepiej. Pokazać światu swoje piękno i pewność siebie, w najgorszych snach nie myśląc o tym, gdzie te fotki zaraz wylądują.

Ale stało się. Mail wysłany.

Nalewam sobie kolejny kubek. Powoli sącząc czystą whisky, zastanawiam się, czy dobrze wybrałem. Czy jeśli odpowiedź nie nadejdzie, poczuję się odrzucony, jakby była to moja własna aplikacja o pracę? Jak poczułaby się ta znajoma, wiedząc, że ją odrzucili? Ucieszyłaby się, że producenci takich śliskich filmów nie widzą w jej urodzie potencjału? Czy naruszyłoby to jej pewność siebie?

Tylko jedna z odpowiedzi przychodzi do mnie tego dnia – odpowiedź na maila.

„Pani Karolino, zapraszamy na rozmowę rekrutacyjną jutro o godzinie 18.00”.

Pod spodem był jeszcze adres.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tkwią w kawiarni dokładnie naprzeciwko wieżowca, w którym pracowałem. Wysysając z kubka ostatnie krople brunatnego napoju, obserwuję ruch za oknem.

Zdecydowanie więcej osób wychodzi, niż wchodzi, na twarzach ludzi pojawiają się też pierwsze dziś uśmiechy – dla mnie to znak, że zbliża się szesnasta.

Męczy mnie obrzydliwy kac. Żyły na skroniach pulsują, przynosząc ze sobą przyływy i odpływy potwornego bólu. Strzępki wspomnień z wczoraj wirują mi w głowie. Whisky, wymioty i płacz. Wszystko powtarzane w różnych konfiguracjach i natężeniach, do momentu, w którym mózg postanowił ograniczyć straty i odciąć prąd, chroniąc mnie przed autodestrukcją. I choć wiem, że nikt nie musiał tego wszystkiego oglądać – jest mi wstyd.

Może i niewiele pamiętam z tego, co wczoraj robiłem, ale za to zdecydowanie pamiętam, jak się czułem. A czułem się cholernie zmotywowany. Gotowy do działania tu i teraz. Wyobrażałem sobie dzisiejszy dzień, jak ociekając wkurwieniem, wparowujemy z Szeryfem do siedziby producentów porno i robimy im taki show, że przeprasząc za wszystko, podają nam aktualny adres Natalii i obiecują, że już nigdy nie nagrają żadnego filmu. Nie skrzywdzą kolejnej dziewczyny. Może nawet natknęlibyśmy się na nią w biurze, skąd wynieśliśmy ją na rękach jak z płonącego budynku... Tak to wczoraj wyglądało w mojej głowie.

Dziś mam już tylko ochotę o wszystkim zapomnieć.

Dopijam kawę. Kelnerzy krążą nade mną jak sępy, zastanawiając się, czy zamówię coś jeszcze. Pod wejściem zbierają się tłumy klientów liczących na wolny stolik. Głównie pary twierdzące zapewne, że taki samotnik jak ja mógł wypić sobie kawę w domu, zamiast zabierać im miejsce na sekretną quasi-randkę z kolegą lub koleżanką z biura, o której nie powiedzą drugiej połowce oczekującej w domu.

Zbliża się godzina rozmowy kwalifikacyjnej. Mam adres, ale wciąż nie wiem, czy cokolwiek z nim zrobię. Szala myśli przechyła się raz na jedną, raz na drugą stronę i już mam zamiar wracać do domu, gdy za oknem miga mi znajoma sylwetka. Szeryf, już w cywilnych ciuchach – swoim nieśmiertelnym prochowcu – stoi pod wejściem do wieżowca i odpala papierosa. Obserwuję, jak powoli się zaciąga i wciąż tkwi pod obrotowymi drzwiami, jakby był niezdolny do jakiegokolwiek ruchu. Rozgląda się w lewo i w prawo, jakby... Jakby każdy kierunek był tak samo dobry. Nie ma dokąd iść, a do domu pewnie wracać nie chce. Nagle robi mi się go potwornie żal.

W końcu wyławia mnie spojrzeniem. Mruży oczy, niepewny, czy ten gość gapiący się na niego przez kawiarniane okno to rzeczywiście ja. Daję mu znak dłonią, żeby poczekał i stał, gdzie stoi, po czym w pośpiechu ruszam na zewnątrz i przebiegam przez ulicę. Dopiero salwa głośnych klaksonów uświadamia mi, że nawet nie spojrzałem, czy mam zielone.

– Życie ci niemiłe, młody? – pyta Szeryf, pstrykając petem w stronę stojącego nieopodal śmietnika.

– Ostatnio chodzę jakiś zamyślony.

– Kawy nie masz w biurze, że po pracy chodzisz do tych przybytków? – Kiwa głową w stronę kawiarni. – Wiesz, jak tam skubią ludzi? Marża kilkaset procent na filizance...

– Nie byłem dziś w biurze.

– Chory jesteś?

Kręcę głową, że nie. Milczę.

– To co jest?

– Mam adres.

– Adres?

Wzdycham i rozglądam się dookoła. Nagle dociera do mnie, jak głupie jest to, co robię. Mam ochotę już tylko zapaść się pod ziemię, wrócić do domu i...

– Ocknij się, młody. – Szeryf pstryka mi palcami przed oczami. – Jaki adres?

– Tych od filmu.

Tym razem to Szeryf rozgląda się dookoła. Nerwowo, jakbym powiedział coś zakazanego. Łapie mnie za rękaw i ciągnie nieco dalej od wejścia.

– O czym ty mówisz? – zaczyna szeptać.

– Mam adres. O to prosiłeś, tak? Żeby namierzyć tych skurwieli.

– Tak... Tylko nie sądziłem...

– Co?

– Nie sądziłem, że to zrobisz... Jak go zdobyłeś?

– To nieważne. Chcesz go czy nie?

Widzę, jak się zastanawia. Wygląda jak pies, który obszczekiwał pędzący samochód i zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, co z nim zrobić, gdy go w końcu dogonił.

– Rysiek?

– Pewnie. Daj mi go.

– Słuchaj... Tak się zastanawiałem. Czemu nie wynająłeś na przykład prywatnego detektywa? Kogoś, kto specjalizuje się w poszukiwaniu zaginionych osób.

– Natalia nie zaginęła, młody. Po prostu zaszła się gdzieś i zerwała ze mną kontakt.

– Tak czy owak, detektyw mógłby ją odnaleźć.

– Znasz jakichś prywatnych detektywów?

– Nie.

– A ja znam. I powiem ci, że ci ludzie do niczego się nie nadają. Kilku dorabia sobie w ochronie wieżowca, na który właśnie patrzysz. I jestem ich przełożonym...

– I co z tego?

– Myślisz, że gdyby byli dobrzy w tym, co robią, to musieliby dorabiać w ochronie? Sam lepiej zatroszczę się o moją córkę. Nie pozwolę, żeby ktoś zdierał ze mnie kasę.

– Ale mojej pomocy potrzebowałeś...

– Bo nie znam się na komputerach. Teraz wszystko jest w internecie. Zresztą, żeby poprosić kogoś o pomoc, musiałbym powiedzieć, jaka jest sytuacja... Pokazać film... Zapomnij, młody. Nikogo więcej w to nie wciągnę. Wystarczy, że pokazałem to policji...

– I co zamierzasz z nim zrobić?

– Z czym?

– Z tym adresem, jeśli ci go dam...

– Jak to co? Pojadę tam i dowiem się, gdzie jest moja córka.

– Myślisz, że tak po prostu ci powiedzą?

– Nie pozwolę im nie powiedzieć...

Nie bardzo wiem, co ma na myśli. Patrzę, jak sięga po kolejnego papierosa. Drżące dłonie dzierżące zapalniczkę sprawiają, że nie może trafić płomieniem w końcówkę szluga. W końcu zirytowany wyciąga go z ust.

– To dasz mi ten adres czy nie? Na co czekasz?

– Chcę tam jechać z tobą.

– Co? Po co?

– Wiem, że dziś o osiemnastej ci ludzie na pewno będą na miejscu...

– Skąd?

– I pomyślałem, że mi łatwiej będzie coś od nich wyciągnąć. Pewnie nie udzielają za wielu informacji wkurwionym ojcom.

– A tobie niby coś powiedzą? Mógłbyś być jej bratem...

– Coś wymyślę.

Szeryf patrzy na mnie przez chwilę, a bardziej przeze mnie, jakbym był przezroczysty. Dopiero dostrzegam, jak bardzo pomarszczone jest jego czoło. Mam wrażenie, że starzeje się w przyspieszonym tempie, od kiedy Natalka wyjechała. A gdy dowiedział się, co robi, to tempo musiało nabrać prędkości japońskiej kolei.

– Pewnie masz rację... – rzuca w końcu. – O osiemnastej mówisz? Dziś?

Kiwam głową.

– To gdzie to jest?

Pokazuję mu adres na telefonie.

– To jakieś mieszkanie?

– Na to wygląda. Google Maps pokazało mi, że stoi tam tylko jakiś blok.

– Może to tylko ściema? Ktoś robi sobie z nas jaja?

– Nigdy nie wiadomo...

– Tak czy siak, musimy sprawdzić, nie?

Nie odpowiadam. Szeryf wzdycha, jakby był potwornie zmęczony, po czym znów wciska sobie fajka w usta.

– No dobra, to chodź do auta. Pojedziemy razem.

* * *

Blok naprzeciwko powoli wypełnia się świetlistymi punktami. Na zewnątrz zmierzcha. Słucham bębnienia deszczu o dach zdezelowanej skody octavii i kątem oka obserwuję dłonie Szeryfa zaciskające się nerwowo na kierownicy.

– Chyba już czas, żebym poszedł na górę – rzucam, przerywając stresującą ciszę.

Sam fakt, że coś powiedziałem, sprawia, że mój puls nieco zwalnia. Parking, na którym tkwimy, otacza niepokój, jakby w każdej chwili jakiś kij baseballowy albo zabłąkana cegła mogły wybić nam szyby tylko przez to, że okoliczni mieszkańcy nie rozpoznają naszych numerów rejestracyjnych.

– Na pewno chcesz wejść tam sam? – Szeryf nie patrzy mi w oczy. Cały czas wlepia wzrok w jedno z rozświetlonych okien. Policzył sobie piętra i jest przekonany, że to właśnie tam wykiełkowało całe zło, które go spotyka.

– Taki jest plan.

– Gdyby twoja matka dowiedziała się, że puszczam cię samego w takie miejsce...

Nie dowie się. Nie żyje. Szeryf dobrze znał moich rodziców. Ojca zapewne lepiej niż ja sam.

– Jak wyczuję, że coś jest nie tak, to zadzwonię – uspokajam. – Wszystko tak, jak ustaliliśmy.

– Młody?

– Hm?

– Jakoś nie jestem przekonany... Co do tego wszystkiego.

– Wiem, ja też... Ale trzymajmy się ustaleń. Nie możesz tam ze mną wejść. Leżysz w szpitalu, umierasz... Ostatnie, czego chcesz przed śmiercią, to pogodzić się z córką. Weźmiemy ich na litość, tak jak mówiliśmy.

– Nie sądzę, że ta bajka na nich podziała.

– Czemu?

– Te skurwysyny nie są zdolne do współczucia.

Jeszcze przez moment tkwimy w ciszy. Szeryf zaczyna się wiercić i sięga po rzuconą na tylne siedzenie torbę, po chwili wyciąga z niej coś podłużnego w skórzanym pokrowcu.

– Weź to – mówi.

– Co to jest?

Szeryf rozpiną pokrowiec. Ostrze błyska mi po oczach w słabym świetle stojącej obok latarni. Czuję, jak serce znowu przyspiesza. Klatka piersiowa robi się ciężka, jakby ktoś upuścił mi na nią sztangę.

– Nóż? – Konspiracyjnie ściszam głos do szeptu.

– Dobry. Wojskowy.

– Nie wezmę ze sobą cholernego noża. Co miałbym z nim niby zrobić?

– To tylko do ochrony. Weź. – Szeryf przyciska mi rękę do klatki piersiowej. Instynktownie chronię twarz, przyciskając dłoń do blizny, i roztrzęsiony odsuwam się pod samą szybę, szybko ją opuszczając. Biorę kilka głębokich wdechów i z całych sił staram się nie zemdleć. Szeryf chyba to dostrzega i z dziwnym wyrazem współczucia na twarzy zabiera ostrze.

– Przepraszam, Karol. Ja... Ja zapomniałem.

– Nic nie szkodzi – rzucam, łapiąc głębokie wdechy. – Ale nie chcę noża, dobra?

Przez chwilę milczymy. Szeryf odlatuje gdzieś myślami, oklepując płaszcz w poszukiwaniu paczki fajek, a ja zastanawiam się, czy już zawsze będę tak panikował na widok ostrych przedmiotów. Rana na twarzy zabiłiła się już dwadzieścia lat temu, ale ta na psychice zdaje się nadal krwawić.

– Ale wciąż uważam, że potrzebujesz czegoś do ochrony – odzywa się ponownie Szeryf. – Dałbym ci pistolet, gdybym miał.

– Przed czym? Nie wezmę tego, koniec tematu. Czemu w ogóle wozisz w torbie wojskowy nóż?

– Zawsze go mam ze sobą. Przecież wiesz, gdzie pracuję.

– Tak, wiem. W ochronie biurowca, do cholery. Możecie nosić przy sobie broń?

– Nie, ale różne świry próbują dostać się do środka. Lepiej mieć, niż potem żałować, że się nie miało.

– Nie wezmę go.

– Jak sobie chcesz.

Nóż ponownie ląduje w torbie, co sprawia mi olbrzymią ulgę. Nie mogę uwierzyć, że Szeryf zawsze ma go ze sobą w pracy. Wiem, że jest nieco zakręcony na punkcie broni, ale to uznaję za przesadę.

– Idę. – Chwytam za kławkę.

– Piętnaście minut. Tak jak ustaliliśmy. Jak do tego czasu nie będzie cię z powrotem, wchodzę.

Wysiadam z samochodu i pędzę do klatki schodowej, starając się nie zmoknąć. Mam szczęście, że ktoś uznał, że taka pogoda jest idealna na spacer z psem, i nie muszę dzwonić po mieszkaniach z jakąś ściemą i tłumaczyć się przed losową babcią, że zapomniałem klucza.

Ostatni raz oglądam się na siedzącego w aucie Szeryfa. Zdążył już zapalić papierosa. W ogóle nie patrzy w moją stronę. Ciągłe wbija wzrok w to nieszczęsne okno. Bóg jeden wie, o czym teraz myśli.

Na klatce jest zimno i ciemno. Winda nie działa, więc muszę tłuc się po schodach aż na jedenaste piętro. Mam wrażenie, że im wyżej, tym bardziej cuchnie. Coś jak mieszanka moczu i niewyrzuconych śmieci. Jakby bezdomni uwili sobie gdzieś w pobliżu gniazdo.

Docieram pod wskazany w mailu numer mieszkania. Serce wali mi jak oszalałe, nie wiem, czy to przez moją beznadziejną kondycję i te jedenaście pięter, które musiałem pokonać, czy to najzwyklejszy w świecie strach. Poranne, spowodowane kacem obrzydzenie do alkoholu minęło i teraz żałuję, że przed wyjściem nie łyknałem nic na odwagę.

Postanawiam nie myśleć zbyt wiele i po prostu pukam do drzwi. Nie słyszę nikogo po drugiej stronie. Kończyny mam chłodne i bezsilne. Stres wykręca mi żołądek. Na klatce głucha cisza. Nie zapukam ponownie, wiem o tym. Już mam zamiar się odwrócić i jak najszybciej zbiec na dół, gdy ktoś przekręca zamek.

W wejściu staje młody chłopak. Może nieco po dwudziestce. Ma bardzo łagodny wyraz twarzy i bujne gęste loki, wygląda wręcz jak model z okładki jakiegoś magazynu dla facetów. Sam nie wiem, kogo spodziewałem się zobaczyć, ale na pewno nie jego. Chyba po prostu liczyłem na to, że ujrzę potwora.

– Proszę – rzuca uprzejmie chłopak, po czym robi mi miejsce w drzwiach.

Nieśmiało zaglądam do środka. Widzę coś... coś à la recepcję. Na korytarzu stoi spore biurko, za którym siedzi młoda blondwłosa dziewczyna. Spogląda na mnie i macha zapraszająco dłonią.

– Pan wchodzi, bo przeciąg!

Przekraczam próg. Blondynka dziękuje chłopakowi za to, że mnie wpuścił, a ten siada na jednym z ustawionych wzdłuż ściany krzeseł.

– Pan zamyka!

Postępuję zgodnie z prośbą i rozglądam się dookoła. Miejsce nie wygląda jak melina, którą spodziewałem się ujrzeć – coś jak jedna z tych obrzydliwych piwnic, które widziałem na filmie. Wnętrze przypomina bardziej biuro. Recepcyjny korytarz

prowadzi do dwóch pokoi, jednego na lewo, drugiego na prawo, jest też mała kuchnia z ekspresem do kawy i łazienka.

– Słucham pana – odzywa się domniemana recepcjonistka, obdarowując mnie zdawkowym spojrzeniem. Po jej twarzy przelatuje uśmiezek politowania.

– Ja... – Słowa stają mi w gardle. Mam wrażenie, że od stresu zardzewiały mi struny głosowe. – Ja przyszedłem porozmawiać z...

– Jak na rozmowę, to proszę sobie klapnąć na krzeselku i cierpliwie poczekać. – Dziewczyna wcina mi się w pół zdania, w ogóle na mnie nie patrząc, po czym ze znużeniem przelatuje palcem po telefonie. – Niedługo ktoś do panów wyjdzie. W kuchni jest kawa, jakby pan chciał, a w lodówce coś mocniejszego. Niektórzy tego potrzebują... Toaleta za mną i na lewo.

– Ale...

– Poczekałnia jest za panem. – Recepcjonistka ucina wszelką dyskusję.

Spoglądam na gościa na krześle. Model obraca telefon w dłoniach i postukuje stopą o parkiet. Wygląda, jakby stresował się nie mniej niż ja. Domyślam się, po co tu przyszedł.

Wychodzi na to, że nie mam wyjścia i muszę poczekać. Siadam obok chłopaka i ukradkiem zerkam na recepcjonistkę. Gdzie ja widziałem tę twarz?

Nagle słyszę, jak drzwi jednego z pokoi się otwierają. Korytarzem przechodzi niski typ w okularach. Jest łyсы i ubrany w proste džinsy, sandały i T-shirt, twarz ma trochę ulaną. Przelatuje wzrokiem po mnie i modelu, po czym nachyla się nad recepcjonistką i szepcze jej coś do ucha. Dziewczyna chichocze, jakby usłyszała naprawdę dobry dowcip. Po chwili łyсы odwraca się w naszą stronę i w milczeniu mierzy nas wzrokiem.

– Dwóch facetów dziś? – Znowu kieruje się do recepcjonistki. Ta tylko wzrusza ramionami. – A gdzie dziewczyna? Ta Karolina. Panowie? – Odwraca się i znowu patrzy na nas. – Nie widzieliście gdzieś na dole takiej blondi? Metr siedemdziesiąt, może więcej. Chuda jak szkap, ale ładne oczka. W dzisiejszych czasach oczy są cholernie ważne. Może kręci się gdzieś pod klatką i nie wie, jak się tu dostać?

Przez chwilę wymieniamy z modelem milczące spojrzenia. Z nas dwóch tylko ja wiem, że żadna Karolina się tu dzisiaj nie pojawi. No, przynajmniej nie ta, pod którą się podszyłem.

Kręcimy przecząco głowami.

– Zawsze to samo. – Wzdycha łysol. – Wszystkie takie odważne i pewne siebie, dopóki do nich nie dotrze, że to na serio. I weź tu daj komuś szansę... Dobra! – Wskazuje na mnie palcem. – Ty z bliźną. Dawaj pierwszy. Miejmy to z głowy.

Łysol odwraca się na pięcie i rusza w stronę pokoju, z którego przyszedł. Nie bardzo wiem, co robić. Zerkam na modela. W jego oczach nie znajduję nawet cienia refleksji,

a co dopiero oparcia. Blondynka macha mi ręką, zachęcając do ruszenia za facetem w dzinsach. Najwyraźniej zostałem wezwany na audiencję.

Wstaję i niepewnie kroczę korytarzem, powtarzając w myślach, co za chwilę powiem. Całą tę bajeczkę o umierającym ojcu leżącym pod kroplówką w szpitalu i o tym, że ostatnim przyływym sił poprosił mnie, bym odnalazł jego córkę. Wiem, że nie będę musiał wzbijać się na wyżyny aktorstwa. Dramatyzm sam aż bije z mojej zestresowanej twarzy.

Zamykamy się w pokoju. Łysy wskakuje na fotel za niewielkim biurkiem i przerzuca stos papierków, jakby czegoś szukał. Po chwili otwierające się gwałtownie drzwi uderzają mnie w ramię. Do środka wchodzi dziewczyna z recepcji.

– Przepraszam, kochany. – Kładzie mi dłoń na barku, delikatnie go rozmasowując.
– Nic ci nie jest? Co tak stoisz w przejściu? Usiądź sobie. – Wskazuje mi kanapę.

Kręcę odmownie głową, przepuszczając dziewczynę w stronę biurka. Gdy tak rozglądam się dookoła, mam wrażenie, jakbym trafił do pokoju nastolatka – takiego w zaawansowanej fazie dojrzewania. Na wszystkich ścianach porzklejane plakaty z aktorkami porno. Plakat na plakacie, jak na jakimś słupie ogłoszeniowym. Wśród tych umazanych tuszem do rzęs twarzy szukam tej jedynej.

W końcu znajduję...

Ognistoczerwone włosy i zielone oczy. Na twarzy blizna, ale nie taka, jaką ją zapamiętałem. Mam wrażenie, że jest prostsza, wygładzona, jakby pochylił się nad nią specjalista od operacji plastycznych. Mimo to nie mam żadnych wątpliwości.

To ona.

Napis na plakacie przedstawia ją jako SCARlet. Ciężko o lepiej dobrany pseudonim artystyczny.

Kątem oka dostrzegam, że łysy zaczyna się irytować. Dokumenty fruują wszędzie dookoła. Słyszę, jak szepczą między sobą coś o moim CV i tym, gdzie recepcjonistka mogła je wpieprzyć. W końcu łysy podnosi głowę i świdruje mnie wzrokiem.

– No dobra. – Rozsiada się wygodnie na krześle i sięga po stojącą obok papierową torbę. – Mamy tu problem z uporządkowaniem dokumentów, ale nie ma co zwlekać. Jak masz na imię?

– Marek.

– Marek. – Łysy wyciąga z torby burgera i frytki z McDonald's. – Krótka piłka z mojej strony: walisz gruchę, aż nie powiem, że masz dojść. Jak rzucę sygnał, to masz trzydzieści sekund na postawienie armaty w stan pełnej gotowości. Z zegarkiem w rękę. Jak powiem, że kończymy, to masz minutę na doprowadzenie do happy endu. Strzelasz na rozkaz jak w wojsku. Aktorka może ci pomóc... – Zerka na dziewczynę, o której myślałem, że jest recepcjonistką, ale już chyba wiem, gdzie widziałem tę

twarz. Na zdjęciach promocyjnych na tej czarnej stronie ze szkarłatnymi literami... W trakcie przemowy łysego zaczyna się zmysłowo dotykać. – Ale nie musi. Jak potrzebujesz bodźców, to wszędzie dookoła masz plakaty... No, i to będzie runda pierwsza. Potem będzie już trochę trudniej... Bo będziesz musiał operację powtórzyć, tylko że tym razem na finisz będziesz miał już trzydzieści sekund. Jasne? Przejdziesz ten etap kwalifikacji, to rozmawiamy dalej.

Nic nie odpowiadam. Zatyka mnie.

– Ale zanim zaczniemy, to w ogóle pokaż, z czym do nas przyszedłeś. – Wskazuje zwiędłą frytką na moje krocze. – Wybacz, ale twoje CV ze zdjęciem gdzieś się nam zapodziało. Uwierz mi, że mało która laska na Instagramie dostaje tyle dick picków, co ja. Zdarza się, że coś się gdzieś czasem zagubi.

Łysy i aktorka wbijają we mnie wzrok, niemal przygwożdżając mnie do ściany. Zalewa mnie pot, twarz robi się coraz bardziej gorąca i ukrwiona.

– No dalej – zachęca mnie producent, kręcąc frytką. – Nie mamy całego dnia. Patrząc na twoją buźkę i muskulaturę, zakładam, że masz coś innego, co podbija ci pewność siebie na tyle, żeby do nas aplikować. No, na co czekasz?

– Ja...

– Żartuję, młody. Zbijam się. Blizny dodają charakteru. Szukamy kogoś, kto wyróżni się z tłumu... No, zdejmiesz wreszcie te spodnie?

Nagle z korytarza dobiegają nas odgłosy kłótni i huk przewracanych krzeseł. Ile czasu już tu siedzę? Spoglądam na zegarek. Cholera jasna... Poznaję ten głos. Szeryf musiał wdrzeć się do środka.

Łysy wstaje z krzesła jak oparzony.

– Co się dzieje?! – rzuca do równie zdezorientowanej dziewczyny.

Po chwili drzwi do pokoju się otwierają i do środka, niczym rozpędzony byk, wparowuje Szeryf. Ciężko dyszy, skacząc po nas wzrokiem jak psychopata. Wystrój wnętrza chyba zaskoczył go równie mocno jak mnie. Momentalnie dostrzega plakat z Natalią i na moment go zatyka, jakby dostał w przeponę.

– Gdzie ona jest, skurwielu?! – rzuca do producenta. – Gdzie moja córka?!

Szybko doskakuję do Szeryfa, próbując powstrzymać go przed szarżą, ale to jak czołówka z pędzącym pociągiem. Kątem oka dostrzegam rękojeść noża wystającą mu z kieszeni. Moje serce wali jak wojenne bębny.

– Co, do kurwy?! – krzyczy producent, tuląc się do wystraszonej aktorki.

– Ja wytłumaczę! – próbuję zabrać głos.

– Gdzie ona jest?! – Szeryf wygląda na gotowego, by zabić.

– On chce tylko wiedzieć, gdzie jest jego córka! – wyjaśniam nerwowo, cały czas starając się odciągnąć rozwścieczonego Szeryfa od producenta. – Ten człowiek jest

śmiertelnie chory... Przed śmiercią chciałby ostatni raz zobaczyć córkę. Myśleliśmy, że może...

– Jaja se robicie?! – krzyczy łysy. – Jaką córkę?!

– Chodzi o nią. – Wskazuję palcem na plakat z Natałką. – Gra w waszych filmach.

– Co?! Kto?! – Producent ogłąda się na afisz. – Mówisz o SCARlet? Znacie ją?

– Mówię o Natalce. To Natałka, a to... To jej ojciec.

– Co? Ojciec?! A ty, kurwa, kto?! Jej brat?!

– Znajomy.

– Znajomy?! Nie no, to jakieś jaja są. Magda, dzwoń po policję. – Kieruje się w stronę dziewczyny.

– Proszę nas tylko wysłuchać. Potrzebny nam adres... Albo numer telefonu. Cokolwiek, co pozwoli nam się z nią skontaktować.

– Nie podajemy takich informacji! Popierdoliło was?! Tym bardziej rodzinom. Radzę ci stąd wypierdalać, staruchu, i to już! – Celuje palcem w stronę Szeryfa. – Chuja wam podam! Wyjdźcie, bo wezwę policję! Nie będę powtarzał! – Łysy wyciąga z kieszeni telefon, który podziałał na Szeryfa jak płachta na byka. Próbuje go powstrzymać, ale w ułamku sekundy ojciec Natałki dosięga noża i zaczyna drżącą dłonią wymachiwać nim przed oczami producenta i aktorki.

– Adres, skurwielu! To ja nie będę powtarzał!

Przecinające powietrze ostrze sprawia, że ciemnieje mi przed oczami. Zamieram w bezruchu, mięśnie mam jak zalane betonem.

Dziewczyna drze się jak oparzona, łysy wypuszcza telefon na blat i unosi dłonie w poddańczym geście. Coś mamrocze, jakby błagał o litość.

– Adres!

Z oddali słycać wycie syreny policyjnej, które na moment wyrywa mnie z paraliżu. Zerkam przez otwarte drzwi na poczekalnię. Model zwiął. Nie wiem, ile zdążył zobaczyć albo usłyszeć, ale możliwe, że wezwał pomoc.

– Rysiek, chodźmy stąd! – Łapię Szeryfa za bark.

– Nie wyjdę bez adresu! Te skurwiele nie wezwą policji, zaufaj mi. Nie do takiego miejsca!

– To legalnie działająca firma! – krzyczy producent. – Wszystko zgodnie z prawem! Naoglądaliście się za dużo filmów i wam odjechało!

Odgłosy syren przybierają na sile. Chyba się zbliżają. Próbuje pociągnąć Szeryfa w stronę korytarza, ale ten wyrywa się i doskakuje do łysiego. Łapie go za kołnierz i przeciąga przez biurko jak szmacianą lalkę, po czym obala i przyciska do podłogi. Przez chwilę obaj się szamoczą, ale to Szeryf ostatecznie ląduje na górze. Ostrze noża dotyka miękkiej tkanki na szyi producenta. Słyszę krzyk recepcjonistki.

– Oddaj mi moją córkę... – rzuca Szeryf przez zaciśnięte zęby, coraz mocniej dociskając nóż.

– Proszę... – charczy producent. – Nie zabijaj...

– Gdzie ona jest? – Głos Szeryfa przechodzi w łkanie.

Widzę kroplę krwi ściekającą w dół szyi łysego. Bordowa posoka wsiąka w bawełniany kołnierz koszulki. Nóż jest taki ostry...

Ciemne plamy przed oczami zasłaniają mi prawie cały widok. Czuję, jak uginają się pode mną nogi. Opadam, łapiąc się za krawędź biurka. Pusty wazon uderza o posadzkę, rozsypując się na dziesiątki kawałków.

– Młody, wszystko w porządku? – Szeryf przekręca głowę w moją stronę.

Słyszę go jakby spod wody. Policyjne syreny gdzieś w oddali... Najpierw melodyjne, potem zlewają się w przeciągły pisk...

– Młody? Młody!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Chłodny wiatr chłozczy mi twarz. Czuję, jak pojedyncze krople deszczu rozbijają się o czoło i powieki. Otwieram oczy.

Leżę na tylnym siedzeniu auta Szeryfa, pod opuszczoną szybą. Nie wiem, jak się tu znalazłem. Pamięć w tej chwili to wielka czarna dziura, do której wpada każda przelotna myśl, każdy urywek wspomnień. Czuję się jak wybudzony nagle z głębokiego snu.

Podnoszę się i spoglądam za okno. Migoczące światło latarni pada na dobrze mi znaną elewację. Wiem, gdzie jestem.

To mój blok.

– Napędziłeś mi stracha. – Słyszę głos Szeryfa dochodzący do mnie z przedniego fotela. Sylwetka skryta w mroku. Gęsty papierosowy dym unosi się obłokiem do nieba z każdym wypowiedzianym słowem. – Niby czułem, że to zwykłe omdlenie, ale jeszcze chwila, a wiozłbym cię na pogotowie. Po omdleniu ludzie zazwyczaj zaraz wstają, a ty chyba postanowiłeś sobie jeszcze chwilę pospać.

– Co się stało?

– Nie pamiętasz?

Kręcę przecząco głową.

– Zszedłeś mi tam. Zrobiłeś się blady, zacząłeś się zataczać... Aż w końcu padłeś.

– Ja?

– Przedtem się jeszcze zrzygałeś na posadzkę. Trochę nawet chlapnęło na tego łysego skurwiela. Nie będę ukrywał... Cieszy mnie to.

– Fajnie, że mogłem zapewnić ci trochę rozrywki...

– Daj spokój, młody. Zdarza się. Wciąż to masz, prawda? Miałem nadzieję, że z wiekiem ci przejdzie...

Nie odpowiadam. Wystawiam głowę za okno, próbując się docucić. Czuję, jak mgła przykrywająca umysł powoli się rozwiewa.

– Przyniosłeś mnie do samochodu?

– Pewnie, że tak. Przecież bym cię tam nie zostawił.

– Widziałem krew... Przyciskałeś mu nóż do gardła... Jak... Jak to się skończyło?

– Pytasz, czy go zabiłem?

Nie odpowiadam. Przełykam jedynie głośno ślinę.

– Nie. Nie zabiłem. Choć powinienem. Nic się nawet nie dowiedziałem. Gdy padłeś na ziemię, wziąłem cię na plecy i uciekłem. Te syreny policyjne wpompowały mi w żyły tyle adrenaliny, że nawet nie czułem twojego ciężaru.

– I udało się nam zwać przed policją?

– Nie. Znaczący tak. W pewnym sensie. Nie jechali po nas, chyba... Widziałem, jak wbiegali do klatki obok. Zwyczajnie ich wyminąłem. Nie wiem, może się pomylili.

– To zaszło trochę za daleko, Rysiek. Nie tak się umawialiśmy.

– Umawialiśmy się, że jak nie dasz znaku życia w piętnaście minut, to wbijam na górę. Tam mogło się dziać wszystko, Karol... Musiałem wziąć nóż. Nie planowałem go wyciągać, ale gdy zobaczyłem ten plakat na ścianie... Kurwa mać.

Głos Szeryfa się załamuje. Słyszę, jak desperacko próbuje powstrzymać płacz. Wyrzuca papierosa i momentalnie sięga po kolejnego, chyba tylko po to, żeby odciągnąć na chwilę myśli.

– No, ale nic – kontynuuje. – Nie udało się nam.

– Przykro mi. To chyba też trochę przeze mnie.

– Daj spokój, młody. Twój plan był dobry. Pewnie jakbym dał ci z nimi pogadać, to kto wie, może mielibyśmy już jej adres. To ja wszystko spieprzyłem. Dodatkowo doprowadziłem cię do tego stanu. Mało nie wyrzuciłeś głową o biurko... Jak się w ogóle czujesz?

– Lepiej.

– Możesz zamknąć sobie okno, jak na ciebie pada. Chciałem po prostu, żebyś się dotlenił.

– Co chcesz dalej robić?

– W sensie?

– Z tą sprawą.

– Coś wymyślę. Daj staremu Makowskiemu trochę pokombinować. A co, ty masz jakiś pomysł?

Nie odpowiadam. Nie chcę już chyba mieć z tym nic wspólnego. Już nie w głowie mi bycie rycerzem w lśniącej zbroi. Czuję się, jakbym spadł z białego konia...

...prosto w jego łajno.

– Chyba pójdę już do siebie. Na dziś mam dość wszystkiego.

– Bez urazy, co, młody?

Chwytam za kłamkę i wysiadam. Nogi wciąż mi lekko dygocą, ale umysł mam jasny.

– Dasz radę wejść po schodach? Nie potrzebujesz pomocy?

– Dam radę, dzięki.

– To co, do zobaczenia jutro w pracy?

– Raczej nie.

– Co? Czemu?

– Wylali mnie.

Odwracam się i powoli człapię w stronę klatki. Mam wrażenie, że dopiero uczę się chodzić, mięśnie nie do końca chcą współpracować. Nie słyszę szumu silnika, Szeryf najwyraźniej ciągle odprowadza mnie wzrokiem. Odjeżdża dopiero, gdy wstukuję kod na klawiaturze domofonu.

Mozolnie brnąc po schodach, myślę o Natalce. Czy też musiała przez to przechodzić? Rozbierać się w tym oślizgłym pokoju i robić wszystko, co kazał jej ten łyśy? Co czuła, ściągając bluzkę przed obiektywem aparatu? Czemu w ogóle odpowiedziała na ogłoszenie o pracę? Co, do cholery, pchnęło ją w tę stronę...

Wsuwam klucz i otwieram drzwi. W środku przekłuwa mnie nagle poczucie wstydu. Widok, jaki się przede mną rozpościera, jest żałosny. Wyszedłem zaraz po przebudzeniu i nie kłopotalem się sprzątaniami. Nawet niespecjalnie rozejrzałem się po mieszkaniu. Dopiero teraz widzę poprzewracane meble, potłuczone szkło i zacieki z wymiotów na ścianach. Mam dziwne wrażenie, że całego tego burdelu dokonał ktoś inny, nie ja. Gdy zaglądam do łazienki, widzę, że stłukłem lustro. Pajęczyna pęknięć, w której centrum goreje krwawa plama.

Dziś już nie mam na to siły. Zrzucam buty i resztę ubrań na podłogę, tworząc z nich ścieżkę prowadzącą do materaca. Padam na twarz, ciało mam tak odrętwiałe, że w ogóle nie czuję pod sobą pościeli. Jakbym cały czas lewitował... Albo spadał.

Wprost do głębokiej studni snu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wskazówki zegara spotkały się na dwunastej. Południe.

Pobudka bez kaca to wspaniałe uczucie, nawet mimo potwornego głodu dającego o sobie znać złowrogim burczeniem w brzuchu. Mam wrażenie, że jeszcze chwila, a żołądek zacznie trawić sam siebie.

Wypijam chyba z galon wody i zjadam śniadanie. Kilka czerstwych bułek przełożonych twarogowym serkiem. Sprzątam mieszkanie, po czym nagradzam się kubkiem świeżo zaparzonej kawy. Za oknem słońce. Rozsiadam się w fotelu z laptopem na kolanach i przez moment czuję, że życie wraca na właściwe tory. Z każdej porażki można się otrząsnąć, trzeba jedynie dać sobie trochę czasu.

Otwieram maila – żadnych odpowiedzi na wysłane wcześniej CV, żadnych zaproszeń na rozmowę o pracę. Jak mało sobą reprezentuję?

Staram się nie zrażać i z marszu przechodzę na stronę z ogłoszeniami. Nie ustawiam żadnych preferencji, obniżam oczekiwania, przez co wyświetla mi się chyba wszystko, co mają. Od sprzątania mieszkań aż po zarządzanie firmą transportową. Jest też oferta pracy w ochronie wieżowca, w którym spędziłem ostatnich kilka lat. Klikam z ciekawości. Nigdy nie zastanawiałem się, ile może zarabiać Szeryf, ale patrząc na to, co oferuje jego firma, robi mi się go żal. Nie wiem, jak wiąże koniec z końcem, choć dla samotnego faceta to pewnie nie taki duży problem. W końcu nie ma już rodziny na utrzymaniu.

Nagle przesywa mnie uczucie ogromnej pustki. Zaczynam zdawać sobie sprawę, jak cicho jest w pokoju. Nie gra muzyka, telewizor jest wyłączony. Nawet za oknem nie dzieje się nic specjalnego. Deszcz nie bębni o parapet, samochody nie przejeżdżają, nie słychać rozmów na ulicy. Wszyscy są w tej chwili w pracy.

I ja bym był, gdyby wszystko było tak jak dawniej.

Nie miałem pojęcia, że aż tak bardzo byłem od tego uzależniony. Trudno jest usiedzieć w miejscu przez godzinę. Nie potrafię spędzać czasu sam ze sobą.

Wnętrze mojej głowy to bardzo wrogie terytorium.

Zamykam laptop i przez chwilę przechadzam się po pokoju. Krążę od ściany do ściany, przeglądam rzeczy na półkach. Kilka pierdół, które trzymam z sentymentu – książki, komiksy i mały żeliwny krzyż. Wszystko pod grubą pierzyną kurzu. Wszystko tylko po to, by pokój choć trochę przypominał ten z dzieciństwa.

W końcu otwieram lodówkę i z nadzieją szukam resztek wczorajszej whisky. Pierwszego drinka wypijam na miejscu, drugiego zabieram ze sobą na fotel. Alkohol momentalnie uderza do głowy i czuję się już nieco lepiej. Nagle przestaje mi być nudno, nie czuję się źle ze sobą.

Zerkam na otwartą na ekranie stronę. Praca w ochronie. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie zaaplikować. Każde zajęcie będzie dobre, jeśli tylko pozwoli nie zżerać tak szybko zasobów oszczędności i da czas na znalezienie czegoś lepszego. Powód, żeby nie tkwić w mieszkaniu za dnia w środku tygodnia, też by się przydał. Nie mają wygórowanych oczekiwań co do kandydatów, wystarczy, że szybko się uczysz.

Zanim kliknę „aplikuj”, wyobrażam sobie reakcję ludzi z biura. Czy poradziłbym sobie ze wstydem? Czy potrafiłbym sprawdzać karty i otwierać windę ludziom, z którymi do niedawna jadałem lunch? Przecież miałem być ich szefem...

Nagle uderza mnie fakt, że nikt z nich się do mnie nie odezwał. Nikt nie zastanawia się, dlaczego nie ma mnie w pracy. Nikt nie chce usłyszeć mojej wersji wydarzeń. Dowiedzieć się, czemu wyleciałem. Może pryszczaty rozpowiedział wszystkim, co znalazł w historii mojej przeglądarki, i stałem się biurowym żartem?

Milczą nawet ci, od których telefonu bym się spodziewał.

Milczy nawet Krzysiek.

Drugi drink szybko doprowadza do trzeciego, a trzeci do wizyty w sklepie i czwartego. Nawet nie wiem, kiedy telefon znalazł się w mojej dłoni. Nasłuchuję sygnału, ale Krzysiek nie odbiera. Próbuję jeszcze kilka razy. W końcu słyszę ludzki głos po drugiej stronie.

– Karol, Jezus Maria, stało się coś? – pyta głos w słuchawce. – Czemu tak wydzwaniasz?

– Pomyślałem, że masz teraz przerwę. Pewnie siedzisz w kawiarni...

– Nie, nie mam przerwy. Zmieniły mi się godziny pracy. To coś ważnego? Mam kupić roboty...

– Jak to?

– Co?

– Jak zmieniły ci się godziny?

– Awansowali mnie. Przejąłem stanowisko pryszczatego.

Ta wiadomość uderza mnie mocniej, niż myślałem. Wyłączający zmysły cios prosto w śledzionę. Przez chwilę milczę.

– Karol?

– Gratuluję...

– Dzięki.

– Albo wiesz co? Wcale ci nie gratuluję.

– Słucham?

– To ty, prawda?

– Co ja?

– Ty mnie wkopałeś. Stałeś mi za plecami, gdy przeglądałem tę stronę. Nawet nie spytałeś, czego tam szukam...

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Chciałeś tylko stanowiska... Wiedziałeś, że normalnie nie masz ze mną szans.

– Pierdol się, Karol! Przez chwilę nawet było mi żal, że cię zwolnili, ale skoro tak podchodzisz do sprawy, to...

– Módl się, żebyśmy już nigdy nie weszli sobie w drogę, skurwielu.

Rozłączam się. Wcale nie mam ochoty słuchać tłumaczeń. Wystarczy mi, że teraz ma świadomość, jak jest naprawdę. Ciskam telefonem o łóżko, zanim pijany mózg podsunie mi kolejne nazwiska z listy kontaktów do wydzwonienia. Muszę się odlać. Gdy wstaję z fotela, świat wiruje jak na karuzeli. Próbuję się skupić, myślę, że mogę to zwalczyć, ale lepiej będzie chyba po prostu się położyć.

Padam na łóżko. Kątem oka dostrzegam ścienny zegar – piętnasta. Tak mają mi teraz mijać dni?

Sen przychodzi szybko, świadomość kłania się i znika za opuszczoną kurtyną.

Tylko oklasków brak.

* * *

Pukanie do drzwi jest tak głośne, że boję się, że zaraz wypadną z zawiasów. Opadam z łóżka na podłogę. Przez chwilę staram się rozeznąć w otoczeniu. Jest już ciemno, nie widzę zegara. Nie wiem, ile przespałem. W gardle mam żyletki, w ustach ze dwie garści żwiru. Ciężko dyszę, serce wali jak oszalałe, z trudem przepompowując gęstą krew. Odwodnienie daje o sobie znać potwornym bólem głowy przy każdym najmniejszym ruchu.

Walenie nie ustaje. Podczołguję się na środek pokoju i dopadam do leżącej tam butelki wody. Wypijam, ile mogę, jak pustelnik, po czym podchodzę do drzwi.

Nikt, kto puka w środku nocy, nie przynosi dobrych wieści.

– Kto tam?! – krzyczę, nie patrząc nawet przez judasza, ale mój głos sprawia jedynie, że pukanie się nasila.

W końcu otwieram. Jestem w takim stanie, że jest mi wszystko jedno, mogę tam zastać nawet i samego diabła.

Na klatce stoi Szeryf, a ja mam wrażenie lekkiego *déjà vu*. Nic nie mówi, jedynie patrzy na mnie śmiertelnie poważnym wzrokiem. Zaciągam się powietrzem z korytarza, nie wyczuwam alkoholu.

- Rysiek?
- Ubierz się i chodź ze mną.
- Gdzie?
- Pojedziemy do mnie.
- Do ciebie? Po co?

Szeryf ma niewielki domek za miastem. Ostatni raz byłem tam, gdy Natałka jeszcze okupowała swój pokój i wciąż byliśmy sąsiadami.

Lata temu.

- Powiem ci na miejscu. Chodź, będę czekał w aucie.

Szeryf zawraca się na pięcie i zbiega w dół schodów, nie czekając nawet na moją reakcję. Jakby za oczywiste uznał to, że zaraz do niego zejdę, w środku nocy...

I chyba ma rację, bo właśnie nerwowo wciskam się w dzinsy. Myślę, że fakt, że nie do końca jeszcze przetrzeźwiałem, ma tu spore znaczenie. Po cichu liczę, że nocne pukanie w końcu przyniosło coś więcej niż złe wieści.

Schodzę pod blok. Chłodne powietrze jest jak balsam dla mojej napuchniętej krwią twarzy. Martwa cisza wszędzie dookoła. W całym budynku pogaszone światła. Prawdziwie spokojna noc. Chcę wierzyć, że taką nocą wszyscy śpią spokojnie. Nieważne, czyś dobry, czy zły – tej nocy śpisz jak dziecko. Nikomu nie dzieje się krzywda.

Zauważam Szeryfa. Stoi przed zaparkowanym autem i nerwowo wypuszcza nosem papierosowy dym, roztaczając wokół siebie upiorną mgłę. Gdy mnie dostrzega, strzela petem w stronę śmietnika, siada za kółkiem i odpala silnik.

Biorę to za zaproszenie. Wciskam się na miejsce pasażera i zapinam pas.

- Powiesz mi, o co chodzi? – pytam, czując dziwną mieszankę strachu i podniecenia. Nie lubię niespodzianek, mimo to czuję się jak dziecko wyczekujące pierwszej gwiazdki przy zastawionym wigilijnym stole, jednocześnie mając za plecami zapłakaną, odchodzącą od zmysłów matkę, bo ojciec nie wraca z pracy...

- Dowiesz się na miejscu.

Powoli toczymy się pustymi ulicami. Nie rozmawiamy. W powietrzu czuć dziwne napięcie i teraz mam wrażenie, że stało się coś złego. Już nie chcę wiedzieć, co nas czeka.

Gdy mijają nas patrol policji, dłonie Szeryfa kurczowo zaciskają się na kierownicy. Rzucam mu podejrzliwe spojrzenie. Wiem, że je wyczuł, ale wciąż twardo gapi się na drogę przed sobą.

- Możemy zatrzymać się na stacji? – pytam. Alkohol powoli puszcza i zaczynam robić się głodny. Zabiłbym za hot doga.

- Żadnych przystanków. Jedziemy prosto do mnie.

– Jestem głodny.

– Zjesz u mnie.

– Rysiek?

– Co?

– Coś się stało?

Nie odpowiada.

– Chodzi o Natalkę?

Tym razem potwierdza skinieniem głowy.

– Wróciła do domu?

– Nie. Ale wróci. Porozmawiamy na miejscu, okej?

Jałowość tej dyskusji nie pozostawia mi nic innego, jak czekać. Kulę się w pozycji embrionalnej i przywieram do bocznej szyby. Próbuję zasnąć, ale dziury na jezdni co i raz wrywają mnie z objęć snu. Za oknem rozpościera się znajoma okolica. Nic się nie zmieniło, odkąd wyjechałem. O ile samo miasto wydaje się rozwijać i rozrastać wszerek i wzwyż, tak przedmieścia nic na tym nie korzystają. Zdają się być jedynie wypychane coraz dalej od centrum i pieniędzy.

– Słuchaj, młody, wiem, że może to nie moja sprawa, ale dlaczego wylali cię z pracy?

– Czy to ważne?

– Nie mów, jak nie chcesz.

– Ktoś, kogo miałem za kumpla, wbił mi nóż w plecy. Mieli mnie awansować i bardzo mu się to nie spodobało.

– Co się stało?

– Nagadał szefowi głupot na mój temat, ot co.

– Kumpla, mówisz? Od kiedy tam pracujesz, widuję cię, jak trzymasz się tylko z jednym gościem... Jak mu było? Krzysiek?

Kiwam głową.

– I co takiego nagadał?

– Że przeglądam w pracy porno.

– Co? Przecież to niedorzeczne...

Nie komentuję.

– Czekaj... Ty... Ty sprawdzałeś w sieci to, o co cię prosiłem, tak? Szukałeś informacji o tej wytwórni?

– To już nieważne. Zapomnij.

– Kurwa, przykro mi, młody. Teraz czuję się winny...

– Niepotrzebnie. Tak jak mówię, zapomnij.

W końcu wjeżdżamy na dobrze znaną mi ulicę – sto metrów dzieciństwa. Mijamy mój rodzinny dom, dziś zamieszkały przez jakichś obcych ludzi. Naprzeciwko mieszka Szeryf. Dawny sąsiad...

Widzę zapalone światło w oknie mojego dawnego pokoju i nagle uświadamiam sobie, że cały czas wstrzymuję oddech. Palce prawej dłoni odruchowo przejeżdżają po bliźnie na policzku. Pojedyncze klisze wspomnień przelatują przed oczami. Ostrze scyzoryka, krew wsiąkająca w koszulkę, zalewająca dziób nadrukowanego na niej Kaczora Donalda, i obłąkany uśmiech na twarzy ojca.

Chciał tylko wypuścić karaluchy pełzające mi pod skórą.

Szeryf skręca pod swój dom. Poznaję tu każdy kąt, wiem, w którym momencie rzuci autem na podjeździe, wiem, kiedy brama się zatnie, sprawiając wrażenie, że nie ruszy dalej. Są takie miejsca, w których czas nie płynie, a to jest bez wątpienia jedno z nich.

Zatrzymujemy się. Silnik gaśnie i generowany przed chwilą szum powoli zestraja się z wszechobecną ciszą. Szeryf jeszcze przez chwilę patrzy przed siebie, jakby gdzieś odleciał.

Wykonuję pierwszy ruch, chwytam za klamkę i już chcę wysiąść, gdy czuję, jak łapie mnie za rękaw. Rzuca mi bardzo dziwne spojrzenie, jakby bardzo chciał mi coś powiedzieć, ale nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Po chwili zwalnia uścisk i sam też postanawia wysiąść.

Robi się chłodno. Zaczyna wiać nieprzyjemny wiatr, a ja zaczynam żałować, że ubrałem się tak lekko.

Szeryf bez słowa obchodzi auto i staje naprzeciwko bagażnika. Słyszę, jak otwiera klapę, sam w międzyczasie rozglądam się po podwórzu. Poprzewracane meble ogrodowe z taniego plastiku, wyschnięta sadzawka i pojedyncze kępki trawy na ubitej ziemi, jakby ktoś wypasał tu wcześniej stado kóz. Nie tak zapamiętałem to podwórko.

Kiedyś było tu życie.

– Pomożesz mi? – słyszę po chwili.

Obchodzę auto, wciskając dłonie pod pachy i dygocąc z zimna. Staję naprzeciwko Szeryfa i rzucam mu pytające spojrzenie. W odpowiedzi kiwa jedynie głową w stronę otwartego bagażnika.

Jest ciemno. Nachyliam się, badając wnętrze. Nagle zamieram. Mam wrażenie, że ktoś szarpnięciem wyrwał mi grunt spod nóg.

Nie... To nie może być...

Jest ciemno, czy na pewno widzę to, co widzę?

Drżącymi dłońmi wyciągam z kieszeni telefon i dla pewności przyświecam sobie rozjarzonym ekranem.

Plama krwi błyszczy w bladym świetle. Łysy mężczyzna w okularach o ulanej twarzy leżący w bagażniku wygląda na pogrążonego w głębokim śnie, a ja mam wrażenie, że cały mój dotychczasowy świat właśnie się zawalił.

Że od tej pory nic już nie będzie takie samo.

– Musimy go przenieść do piwnicy – rzuca Szeryf.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Strome i wąskie schody zdają się prowadzić prosto do piekła.

Szeryf pstryka przełącznikiem, ale goła żarówka wisząca na kablu nie robi wielkiej różnicy. Wciąż ledwie widać poszczególne stopnie.

Patrzę w dół. Nasze umysły nie radzą sobie z ciemnością. Widzimy, nawet jeśli nie ma nic do zobaczenia, słyszymy, nawet gdy panuje głucha cisza. Mam wrażenie, że z tej mrocznej otchłani ktoś na mnie spogląda.

– Ja wezmę go za nogi i będę szedł tyłem – instruuje mnie Szeryf. – Ty go chwyć za ręce.

Patrzę na rzuconego na ziemię producenta porno. Facet żyje, oddycha, ale chyba mocno oberwał. Cała gładko ogolona potylicą aż lepi się od krwi. Skóra okalająca czaszkę pękła i rozeszła się jak zamek błyskawiczny.

– Szybko, zanim się obudzi.

Niewiele myśląc, chwytam łysego pod pachy. Zastanawiam się, gdzie w tak małym ciele udało mu się upchnąć tyle wagi. Gdy Szeryf unosi mu też nogi, robi się już nieco lżej.

Schodzimy, uważnie stawiając stopy, stopień po stopniu. Gdyby gość postanowił się teraz przebudzić, to ewentualna szamotanina skończyłaby się trzema złamanymi karkami.

Moje ręce zaczynają drętwieć, mięśnie palą żywym ogniem. Kompletnie nie widzę schodków pod sobą i muszę iść na wycucie. Łysa czaszka ociera mi się o bluzę, rozmazując lepłą krew na włóknach. Zastanawiam się, czym go Szeryf tak urządził. Wygląda bardziej na coś, co zostawiłoby tępe narzędzie, jakiś młotek, na pewno nie wożony w samochodzie wojskowy nóż.

Myślenie o przecinającym skórę nożu sprawia, że nie do końca trafiam w stopień. But ześlizguje się po betonowym schodku i rzuca nami tak mocno, że gdyby nie Szeryf, leżelibyśmy już na dole. W najlepszym wypadku jako dożywotnie kaleki. W najgorszym...

– Chcesz nas zabić?! – ruga mnie Szeryf.

– Przepraszam, potknąłem się.

– Uważaj, do kurwy nędzy.

Resztę drogi przemierzamy już bez wpadek. Gdy docieramy na dół, Szeryf odpala kolejne źródło światła, równie słabe, co poprzednie, wydobywając z mroku

spróchniałe półki z narzędziami, słoiki z przetworami, wyglądającymi, jakby ktoś próbował zapeklować pleśniowe grzyby, i morze pustych butelek po piwach. Piwnica jest dość spora, tylko niesamowicie brudna i zagracona. W środku unosi się zapach wilgoci.

Mam wrażenie, że zaraz odpadną mi ramiona. Taszczymy ciało jeszcze kilka metrów, po czym opieramy je pod jedną ze ścian, wzdłuż której ciągnie się metalowa rura. Krew powoli wraca do odrętwiałych palców, które szczypią mnie teraz jak diabli.

– Nie spuszczaaj z niego oka – rozkazuje Szeryf, po czym zaczyna krzątać się po piwnicy, jakby czegoś szukał.

Łysy marszczy brwi i cicho pojękuje, jakby śniło mu się coś złego. Chyba powoli się rozbudza i nie ma pojęcia, że prawdziwy koszmar czeka go dopiero, gdy otworzy oczy. Za plecami słyszę trzaski przewracanych gratów.

Po chwili Szeryf wraca i szybkim ruchem nakłada łysemu kajdanki. Najpierw na jeden nadgarstek, potem przeciąga kajdanki wokół rury i zapina drugie kółko. Dociska je tak mocno, że na sam widok drętwieją mi ręce. Producent wygląda bezbronnie. Mam tylko nadzieję, że nie uda mu się wyrwać tej rury razem ze ścianą...

Szeryf znowu się rozgląda, po czym chwyta za srebrną taśmę i nachyla się nad nieprzytomnym gościem.

– Co robisz? – pytam szeptem.

– Nie można pozwolić im gadać. Jak tylko zaczną gadać, to koniec. – Próbuje znaleźć końcówkę taśmy paznokciem.

– Im?

– W sensie więźniom.

Rozwijana taśma wydaje z siebie dźwięk rozdieranego materiału. Szeryf owija ją kilkukrotnie wokół ust producenta, po czym przygląda się mu przez moment, jakby podziwiał swoje dzieło. Po chwili postanawia zdjąć mu okulary i odejść.

– Chodź – rzuca szorstko, stając przy schodach. Palec trzyma na przełączniku światła.

Ostatni raz patrzę na obejmującego rurę faceta. W tym świetle krew na jego głowie przypomina zużyty olej napędowy. Zastanawiam się, czy gdy już się wybudzi, będzie w stanie skleić choć jedno sensowne zdanie. O ile w ogóle się wybudzi...

Cholera, powinienem był odejść, gdy był na to czas. Przynosząc go tu, stałem się współwinny. Jak mogłem być tak głupi... Dlaczego ta owijająca umysł mgła katuje każdą głębszą myśl? Nie myślę racjonalnie...

– Chodź, zanim wstanie! Chcesz, żeby zobaczył twoją twarz? Zdjąłem mu okulary, ale nie mam pojęcia, jaką skurwiel ma wadę. Może to zerówki.

Odchodzę. Światło gaśnie.

Po chwili słycać już tylko ciężki oddech skryty w mroku.
Wracamy na górę.

* * *

– To chore! – krzyczę, spacerując nerwowo od ściany do ściany w dobrze znanym mi salonie. – Wracam do domu! Nigdy mnie tu nie było, rozumiesz?!

– Karol...

– Jak mogłeś mnie w to wciągnąć?!

– Uspokój się. – Szeryf z przerażeniem patrzy na moje drgające dłonie. Szybko dopada do barku i nalewa nam dwie szklanki whisky. – Jest środek nocy. Chcesz obudzić całą ulicę?

– Oj nie. Byłem spokojny, do kurwy nędzy... Wystarczająco długo, żeby pomóc ci schować uprowadzonego faceta w piwnicy! I co mi z tego przyszło?! – Demonstruję ubrudzony sweter. – Mam krew na rękach! Nie pójdę za ciebie siedzieć!

– Uspokój się. Ja też się do więzienia nie wybieram.

– Oszalałeś... Teraz już to widzę. Wtedy z tym nożem... Myślałem, że cię poniosło, potrafiłem zrozumieć... Ale to?! Jak mogłeś w ogóle, kurwa, uprowadzić człowieka?!

– On zrobił Natalce dużo gorsze rzeczy, Karol... Myślałem, że jesteśmy po tej samej stronie.

– Po tej samej stronie?! A co to w ogóle za strona?! Chcesz go teraz za to zabić czy o co ci chodzi?!

– Nikt nikogo nie zabije. Uspokój się! – Chwyta mnie za fraki i przyciska do ściany.

– Przestań się drzeć, bo ktoś wezwie policję i serio pójdziemy siedzieć. Tego chcesz?

Biorę głęboki wdech. Szeryf puszcza moją bluzę, po czym odgarnia palcami weneckie żaluzje i wygląda na podwórko, jakby kogoś tam dostrzegł. Światło latarni rzuca mu na twarz podłużne pasy.

– To co planujesz? – pytam już nieco spokojniej, patrząc, jak Szeryf z ulgą odchodzi od okna. Od stresu zawraca mi się w głowie, więc siadam na kanapę. Czuję wciskane mi w dłoń szkło i biorę szybki łyk.

– Chcę go trochę nastraszyć, to wszystko.

– Po co?

– Jak to po co? Żeby zaczął gadać. Powie nam, gdzie jest Natalka.

– Powie? Przecież zakleiliśmy mu usta. Powiedziałeś, że jak zacznie mówić, to koniec.

– Pozwolę mu mówić dopiero, gdy będę miał pewność, że nie skłamię. A nie skłamię, gdy będzie się naprawdę bał. Gdybyśmy pozwolili mu gadać teraz, urobiliby nas tak, że pewnie puścilibyśmy go wolno. Jesteśmy tylko ludźmi, mamy sumienie, które można zmiękczyć.

– Boisz się, że gdy przez jego gadanie dotrze do ciebie, co naprawdę zrobiłeś, to się rozmyślisz...

– Tak... Skoro tak to przedstawiasz, to tak. Więc jak już to zrobiłem, to przynajmniej dowiedzmy się, gdzie jest Natałka.

– I co potem? Nawet jeśli powie nam wszystko? Po prostu puścisz go do domu?

– To przestępca, Karol. Nie pójdzie na policję.

– Ostatnio nie miał oporów, żeby ich wezwać. Zarzekał się, że to legalny biznes.

– Blefował.

– To zemści się w inny sposób. Widział nasze twarze. Twoje nazwisko pewnie też już zna, o ile Natałka podała mu swoje prawdziwe dane. Myślisz, że zwyczajnie nam to odpuści?

– Nie dbam o to. Słuchaj, Karol, potrzebuję cię. Sam nie dam rady.

– Ale ja o to dbam. Nie wezmę w tym udziału, Rysiek. Przykro mi...

– Masz ze sobą telefon?

– Co?

– Telefon, smartfon... Masz?

– Mam, a co?

Szeryf sięga do kieszeni spodni. Wyciąga kawałek zmiętej kartki, po czym wciska mi go w dłoń.

– Wpisz to.

Kolejny dziwnie wyglądający adres strony internetowej. Domyślam się, co tam znajdę.

– Rysiek, to nie będzie potrzebne... Nie chcę więcej tego oglądać.

– Wpisz to, może wtedy zrozumiesz. Może wtedy będziesz chciał mi pomóc. To zaszło za daleko, Karol. Kurwa... Nie rozumiesz?

– Skąd w ogóle bierzesz te linki? Nie masz tu komputera ani nic.

– Dostaję od kolegi. Zbieram materiał dowodowy. On się ze mnie śmieje i gdy mi je przekazuje, ma ten wyraz twarzy, jakby miał mnie za debila, ale... Potrzebuję ich.

– Same linki nic ci nie dadzą. Takie filmiki można szybko usunąć. Musiałbyś je pobrać...

– Po prostu sobie to włącz, OK?

Odpalam przeglądarkę i wpisuję adres. Znowu jakaś paskudnie wyglądająca strona. Rzucam okiem na Szeryfa – wlepia wzrok gdzieś za okno i widać, że nie ma najmniejszej ochoty na to patrzeć. Znowu zostaję ze wszystkim sam.

Film zaczyna się podobnie, tylko tym razem Natałka od razu siedzi na łóżku w jakiejś piwnicy.

Sama.

Całość kręcona jest sprzętem gorszej jakości. Wygląda jak obraz z kamery monitoringu zamocowanego gdzieś przy suficie, wyprany z kolorów, królują odcienie szarości. Całość ma jakiś niepokojący wydźwięk, przez co czuję się, jakbym ją podglądał bez jej wiedzy.

Zaczynam mieć wątpliwości, czy to w ogóle film porno.

Natalka siedzi na łóżku w samej bieliźnie, podwija nogi, mocno obejmując kolana, i wpatruje się pustym spojrzeniem w ścianę, jakby wyświetlała tam sobie jakiś mentalny pokaz slajdów. Kiwa się to w przód, to w tył, jak kołyska.

Nagle drzwi się otwierają i do środka wpada facet w rzeźnickim fartuchu i masce świni. Pod spodem jest całkowicie nagi. Fałdy tłuszczu falują na jego spuchniętym cielsku przy każdym ruchu. Kurwa mać... To, co ma na twarzy, nawet nie wygląda jak maska, tylko jak skóra zdjęta wprost ze świńskiego ryja...

Natalka zrywa się i umyka w kąt pokoju. W jej ruchach widać autentyczny strach. Chce uciec. Zaczyna drapać paznokciami o betonową ścianę, jakby z nadzieją, że uda się jej przebić na drugą stronę... Paznokcie muszą pękać, krwawić i okrutnie boleć...

Ale jest już za późno.

Facet w masce dopada ją i rzuca ponownie na łóżko. Nie widzę zbyt dokładnie, ale Natalka wygląda, jakby uderzyła się głową o ścianę. Próbuje walczyć, ale człowiek ze świńskim łbem jest silniejszy. Rozdarta bielizna ląduje na podłodze.

W końcu Natalka się poddaje, a ja pauzuję filmik. Dość widziałem. Przeklikuję kawałek do przodu. Na nieruchomych obrazach widzę, że trwało to naprawdę bardzo długo, a facetów było więcej. Gdy jeden skończył, zaraz wchodził kolejny.

Przewijam do końca w nadziei, że zobaczę tam scenę utwierdzającą mnie w tym, że to tylko gra. Że to, co widzę na ekranie, to tylko tak na niby, a aktorzy zaraz ukłonią się widowni w pas, czekając na oklaski.

Tylko że dalej już nic nie ma.

Natalka siada z powrotem na krawędzi łóżka, naga, wyczerpana, i na powrót wlepia wzrok w ścianę. Wtedy film się urywa.

Wnętrznoci wywracają mi się na drugą stronę. Ledwo powstrzymuję odruch cofania.

– Teraz już rozumiesz? – pyta Szeryf.

Milczę. Nie przychodzi mi na myśl żadne słowo, którego mógłbym teraz użyć.

– Karol?

– Pokazywałeś to policji? To... Nie będą mogli zignorować czegoś takiego. Kurwa, przecież to...

– Skończyłem z policją. Mamy skurwiela tutaj, w piwnicy.

– Musimy pójść z tym na policję! – Łapię szeryfa za fraki. – Oni mają możliwość coś z tym zrobić. Może Natałka dalej tkwi tam... W tej piwnicy... Musimy szybko coś zrobić, Rysiek, ona...

– Ten film ma kilka miesięcy, Karol...

Zatyka mnie. Bezsilnie opadam na mebel. Kilka miesięcy temu chodziłem do pracy, wracałem wieczorami do domu i zasypiałem na fotelu, oglądając stare filmy. W tym czasie z Natałką działo się...

...to.

– Mamy go tutaj, nie oddam go nikomu innemu. Ci z policji tylko by wszystko spierdolili, rozumiesz?

– To sam do nich pójde. – Wstaję z fotela, ale Szeryf przyciska mnie do niego z powrotem.

– I co im powiesz, co? Że zdzieliłem podejrzanego młotkiem i zawlekliśmy go razem do piwnicy?!

– Ja...

– Mówię ci, że już za późno na policję. Skurwiele miały okazję się tym zająć, gdy sytuacja nie wyglądała jeszcze tak źle. W ogóle się nie dziwię, skoro zatrudniają tam same miernoty, a jak zgłosi się ktoś, kto zna się na robocie, to... Jebać ich! Karol, teraz nasza kolej. Sami go przesłuchamy. Tylko najpierw trochę pocierpi.

– Chcesz go torturować?

– A co? Szkoda ci go? To ludzki śmieć.

– Nie ma mowy. Beze mnie. Ja idę na policję.

– Przecież już ci powiedziałem. Naprawdę nie rozumiesz, że...

Naszą kłótnię przerywa jakiś hałas. Głuchy stukot, jakby ktoś uderzał kijem w...

Obaj oglądamy się na drgający kaloryfer. Dźwięk rozchodzi się echem po całym pomieszczeniu.

Zamieram w bezruchu, mam wrażenie, że nawet serce na chwilę przerywa pracę, nie zagłuszając hałasu swoim biciem. Jakby pozwalało mi się skupić...

– Obudził się...

ROZDZIAŁ ÓSMY

Stoimy sztywno, jak dwa wystawowe manekiny na środku salonu, gapiąc się na siebie. Każdy z nas czeka na ruch tego drugiego. Ciężar decyzji wisi nad nami jak burzowa chmura i chyba nie zdołamy uciec przed tym deszczem.

– Musimy zejść – powtarzam już chyba trzeci raz. Szeryf nawet nie chce o tym słyszeć. Chyba sam nie jest gotów zmierzyć się z tym, co zrobił.

– Po co? Niech tam siedzi, dopóki nie wymyślimy, co z nim zrobić.

– Myślałem, że chcesz go torturować. Teraz boisz się nawet na niego spojrzeć?

– Przecież nie ucieknie.

– Może potrzebować pomocy.

– Pomocy? Oszalałeś? Chcesz mu pomagać?

– Dostał mocno w głowę...

– Nic mu nie jest. Nie słyszysz, jak stuka w te rury? Najwyraźniej ma mnóstwo sił.

– Rysiek... Jak facet zejdzie ci w tej piwnicy, to dopiero zaczniesz się robić nieciekawie. Musimy tam zajrzeć i zobaczyć, co się dzieje.

Szeryf z przerażeniem wpatruje się w drgający kaloryfer. Uderzenia dochodzące z dołu przepełnione są paniką. Gwałtowne wybuchy hałasu przerywane krótkimi chwilami ciszy, pewnie na odpoczynek. Gość na dole musi srać ze strachu... Co ja bym zrobił, gdybym pewnego dnia ocknął się w czyjejs piwnicy?

Pewnie próbuje się wyrwać, gotów odgryźć sobie kończynę, jak złapane we wnyki zwierzę.

– Dobra – rzuca w końcu Szeryf.

– Co dobra?

– Idziemy. Zobaczymy, czy nie umiera, i dasz mi potem spokój. Kolejny raz zejdziemy już z konkretnym planem. Na chłодно...

Potwierdzam skinieniem głowy. Otwieramy drzwi i ponownie stajemy naprzeciwko długich schodów. Patrzymy w dół, nasłuchując huków. Robią się coraz bardziej regularne, rytmiczne, coś jak uderzenia dzwonu.

Zerkam na Szeryfa, na jego powoli przesuwającą się grdykę i skupiony wzrok. Mam ochotę po prostu odejść. Odwrócić się i wrócić do łóżka, ale coś nie pozwala mi zostawić go teraz z tym samego. Jest przerażony. Wszedł na ścieżkę, z której się nie zawraca. A nikt nie powinien nią iść samotnie.

Kto pomoże mu wstać, jeśli upadnie?

– Masz jakieś kominiarki? – pytam w końcu, nie odwracając wzroku od ziejącej otchłani w dole.

Szeryf nie odpowiada. Patrzy w ciemność, a każde uderzenie w rurę sprawia, że się wzdryga. Jakby tam w dole szalała jakaś bestia.

– Rysiek?

– Hm?

– Pytałem, czy masz jakieś kominiarki.

– Kominiarki? Po co?

– Musimy zakryć twarze.

– Mówiłeś, że to bez znaczenia. Że będzie wiedział, kim jesteśmy, jak tylko zapytamy o Natalkę.

– Na razie nie musimy o nic pytać. Zobaczmy tylko, czy nie potrzebuje pomocy.

– On by nam nie pomógł.

– Nie jesteśmy tacy jak on. To masz coś?

– Nie. – Rozgląda się po korytarzu, po czym wręcza mi jakiś czarny szalik, a sam przepasa twarz chustą i naciąga na oczy czapkę z daszkiem.

Owijam twarz szalikiem, po same oczy, jak jakaś halloweenowa mumia. Zapalamy żarówkę i bez słowa schodzimy w dół. Opieram się dłońmi o zimny mur, starając się nie przewrócić. Od stresu ciemnieje mi w oczach. Zamiast mięśni mam rozmokłe gazety. Walczę o każdy krok i cały drzę na myśl o spotkaniu z facetem, którego porwaliśmy.

Zaraz. Porwaliśmy? Sama myśl wydaje mi się abstrakcyjna. Czy ja naprawdę biorę w tym wszystkim udział? Minąłem już moment, w którym mogłem się od tego odciąć? Siedzimy w tym razem?

Kroczyliśmy drogą bez odwrotu?

Docieramy na dół. Łysy musiał usłyszeć nasze kroki, bo odgłosy walenia ucichły. W piwnicy panuje absolutna ciemność. Czarna dziura bez ładu i kształtu. Bez światła nie byłbym w stanie postawić nawet kolejnego kroku w obawie, że po prostu do niej wpadnę.

Szeryf zapala kolejną gołą żarówkę wiszącą w kącie. Wraz ze światłem pojawia się zduszony krzyk.

Skąpane w mroku ciało producenta przyciska się do ściany. Żałosne zawrodoenie przeplata się z klekotem łańcucha walącego o rurę. Na widok dwóch ciemnych sylwetek w wejściu wstąpiły w niego nowe siły. Robi, co może, żeby się wyswobodzić.

Bardzo dziwne uczucie, chyba pierwszy raz moja obecność wzbudza w kimś strach. Niebezpieczne poczucie władzy nad drugim człowiekiem. Próbuję przyjrzeć się

szeryfowi, ale cień padający mu na twarz nie pozwala oszacować, czy to uczucie przeraża go tak jak mnie, czy wręcz przeciwnie...

Powoli podchodzimy bliżej, z rozwagą stawiając kolejne kroki. Jakbyśmy zblizali się do bezpańskiego psa, niepewni, czy da się pogłaskać, czy ugryzie. Producent ciągle stara się wyrwać. Próbuje nie patrzeć w naszą stronę, jak dziecko myślące, że świat zniknie, jeśli tylko zamknie oczy. Sam najchętniej zrobiłbym to samo.

W końcu odgłosy szamotania cichną. Łysy podnosi głowę, stawiając czoła temu, co go czeka. Ciężko dyszy, mrużąc oczy. Stara się wyciągnąć cokolwiek z tej rozmazanej plamy przed sobą, jaką musi teraz widzieć bez okularów.

Podchodzę tak blisko, jak to tylko możliwe bez ryzyka, że dosięgnie mnie któraś z jego nóg. Wybite jedyńki są ostatnim, czego mi teraz trzeba. Pobieźnie rzucam okiem na rozoraną skórę na łysej głowie producenta. Żaden ze mnie lekarz, ale widzę to, co widzę. Krew wydaje się zasklepiac, robi się brudna, a rana czernieje. Najważniejsze, że już nie krwawi.

– Widzisz? Nic mu nie będzie – odzywa się w końcu Szeryf. Jego głos drga jak kamerton. – Wracajmy na górę.

Producent patrzy na nas przez chwilę, po czym chyba zdaje sobie sprawę, że ma do czynienia ze zwykłymi ludźmi. Równie przestraszonymi, co on sam. Przestaje widzieć potwory. Jego jęki zmieniają ton. Z panicznych stają się błagalne. Co i raz zerka na skute dłonie, jakby prosił, żeby go odczepić.

Patrzę na Szeryfa i kiwam twierdząco głową. Facet nie umrze. Dziwne, ale ta świadomość uspokaja mnie na tyle, że przestaję dostrzegać całą resztę otaczającego nas gówna.

Łysy milknie, jakby czekał na naszą decyzję, ale już ją podjęliśmy. Odwracamy się i ruszamy z powrotem w stronę wyjścia. Światło gaśnie, a wraz z nim nadzieja dla łysego. Pozostawione z tyłu jęki robią się coraz bardziej intensywne, by w końcu zamilknąć. Ostatni raz zerkamy w ciemność...

Ciemność, która nagle się rozprasza.

Strumień niebieskiego światła strzela gwałtownie z uda producenta, na powrót rozświetlając pomieszczenie. Przytłumiony dźwięk wibracji przebija się przez cienki dżins, dochodząc do nas z kieszeni uprowadzonego. Zatrzymujemy się w pół kroku.

– Kurwa mać – rzuca szeptem Szeryf, w panice szybko włączając światło.

– Co to jest?

– Kurwa, nie wiem, chyba telefon.

– Telefon? Nie przeszukałeś go?

– Chodź! – Ciągnie mnie za rękaw na środek pomieszczenia.

Targany, staram się nie potknąć o własne nogi. W tej ciemności wpadnięcie na któryś z zagraconych regałów mogłoby skończyć się tragicznie, wystarczyłaby spadająca z góry skrzynka z narzędziami, a resztę życia spędziłbym karmiony przez rurkę.

Ponownie stajemy naprzeciwko producenta. Ten tylko wybałusza oczy, patrząc raz na mnie, raz na Szeryfa. Telefon w jego kieszeni wciąż wibruje, rozświetlając całe udo. Łysy macha przecząco głową. Nie do końca wiem, co chce nam przekazać. Chyba nie chce, żebyśmy zabrali mu ostatnią szansę na ratunek. Szybko dociera do mnie, że wcześniejsze uderzenia w rurę były panicznymi próbami wykręcenia się w taki sposób, by móc dosięgnąć telefonu.

– Trzeba mu go zabrać – rzuca Szeryf, patrząc na wciskającego się w ścianę producenta. Gość chyba nie rozumie, że dalej już się od nas nie odsunie.

Nie odpowiadam.

– Ja go przytrzymam za nogi, ty wyciągniesz telefon. – Szeryf stara się obejść wierzgające dookoła nogi producenta, ale wydaje się to niemal niemożliwe. W łysego wstąpiły nowe siły. Teraz walczy o ostatnią deskę ratunku. Po zebraniu kilku kopniaków Szeryfowi puszczają nerwy. Postanawia się odgryźć. Wymierza potężne kopnięcie wprost w kolano łysego, po czym rzuca się na niego i chwyta za nogi, złączając je razem w ciasnym uścisku. Przerazający jęk wypełnia pomieszczenie.

– Teraz! – krzyczy. – Wyciągnij mu telefon!

Niewiele myśląc, dopadam do producenta. Cały się rzuca, ale w tej pozycji niewiele jest już w stanie zrobić. W końcu wyławiam aparat z ciasnej kieszeni i obaj odskakujemy na bezpieczną odległość, niemal pod samo wyjście. Wszyscy dyszą ze zmęczenia i wściekłości, a ja zerkam na wibrujące mi w dłoni urządzenie. Mam nadzieję, że przypadkowo nie odebrałem.

Nieznany numer wyświetlający się na ekranie uświadamia mi, że nie działamy w próżni.

Zniknął człowiek. Ktoś to zauważy.

Ktoś będzie szukał...

Po chwili ekran gaśnie, a ja doznaję olśnienia. Być może wcale nie będziemy musieli przesłuchiwać producenta. Być może nigdy nie zobaczy naszych twarzy...

– Może znajdziemy wszystko w telefonie? – pytam, targając ciężko dyszącego Szeryfa za rękaw.

– Co?

– Może mieć tu wszystko. Adresy, kontakty...

Łysy znowu zaczyna jęczeć pod taśmą. Wydaje mi się, że teraz już nas nie błaga, tylko wyzywa.

- No to zobacz, czy coś tam jest.
- Nie mogę, jest zablokowany.
- To odblokuj.
- Jest na odcisk palca.

Spoglądamy najpierw na siebie, potem na łysego. Wydaje mi się, że całą trójką rozumiemy się bez słów. Producent znowu wciska się w ścianę, coraz mocniej się szamocze, próbując wyrwać rurę razem z kawałkiem ściany, ale to na nic. Dopadamy do niego z Szeryfem. Rysiek przytrzymuje mu nogi, podczas gdy ja z całych sił próbuję odgiąć jeden z palców zaciśniętych na rurze.

– Szybciej, kurwa! – krzyczy Szeryf, tuląc się do nóg porwanego. – Długo go nie utrzymam!

- Czemu nie związałeś mu nóg?!
- Teraz, kurwa, o to pytasz?!

Staram się dobrać do palca. Robię, co mogę, ale dłonie za nic nie chcą puścić rury. Bezradnie patrzę na Szeryfa.

- Walnij, to puści!

Uderzam w pięści producenta, nieomal samemu trafiając w rurę. Najpierw raz, potem drugi. Coraz mocniej i mocniej. Nie jest jak na filmach. Boli mnie jak diabli, mam wrażenie, że delikatne kości dłoni rozsypują mi się w środku.

Uderzam jeszcze raz. Tym razem łokciem.

W końcu chwyt się luzuje.

Szybko łapię za palec wskazujący i odginam go tak, że towarzyszący temu krzyk mówi mi, że staw osiągnął swój limit. Odciskam palec na czytniku linii papilarnych. Ekran telefonu rozświetla się chłodnym blaskiem.

Odblokowany.

Szybko odskakujemy ponownie na środek pomieszczenia. Zziajani i upoceni jak po walce. Łysy żałośnie pojękuje, nie wiem, czy z bólu, czy ze zwykłej bezsilności. Patrzę na odblokowany telefon.

- Masz tam coś? – pyta Szeryf.

– Czekaj, muszę go ustawić tak, żeby się znowu nie wygasił. Inaczej przy każdej próbie odblokowania będziemy musieli się tu szarpać.

- Możesz zrobić to na górze?

Kiwam twierdząco głową.

- To wynośmy się stąd.

Czym prędzej udajemy się do wyjścia. Tym razem już nie spoglądamy w tył. Uderzenia łańcucha o rurę ustają, gdy tylko docieramy do drzwi.

Światło gaśnie.

W mroku słycać tylko płacz.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Pierwsza w nocy. W pokoju aż gęsto od strachu.

Siedzimy na kanapie, wpatrując się w stłuczony ekran telefonu, jakby za tą pajęczą siecią pęknięć miały kryć się wszystkie odpowiedzi. Nerwowo przesuwam palcem po liście kontaktów – nic niemówiące mi imiona, nazwiska, ksywy. Reszta pamięci urządzenia jest pusta. Żadnych zdjęć, żadnych wiadomości.

– I co tam masz? – pyta Szeryf, spoglądając mi przez ramię.

– Sam nie wiem. Są jakieś numery, nazwiska.

– Znasz jakieś?

– Nie.

– Może mógłbyś poszukać w internecie, co?

– Mógłbym, ale nie wiem, czy...

– Ja muszę wyjść na kilka godzin.

– Nie wiem, czy coś znajdę... Zaraz. Co? Jak to wyjść?

– Muszę iść do pracy.

– Do pracy?! W środku nocy?!

– Kolega zmienił mnie na kilka godzin, żebym mógł zająć się... Zająć się tym. Oczywiście nie mówiłem, o co chodzi. Powiedziałem, że sprawy rodzinne, i na dobrą sprawę nie skłamałem... Teraz muszę wrócić, zmienić go, jak obiecałem. – Szeryf narzuca na siebie płaszcz, niespecjalnie chyba czekając na moją opinię. – Pierwsza lekcja dorosłego życia, młody, dotrzytuj danego słowa. Zresztą muszę tam wrócić, to... to bardzo ważne, żebym był dziś w pracy.

– Co, co jest aż tak ważne? – Patrzę, jak Szeryf ucieka wzrokiem. Jest zawstydzony. Nagle dociera do mnie, czemu musi być dziś w pracy. – Alibi... Jeśli coś pójdzie nie tak... Chcesz mieć alibi...

– Nic nie pójdzie nie tak. Zaufaj mi.

– I co, chcesz zostawić gościa w piwnicy tutaj samego? Co, jeśli się uwolni albo się coś stanie? Nie możesz...

– Właśnie dlatego pojechałem po ciebie...

– Co?

– Chciałbym, żebyś tu został.

– Zapomnij.

– To tylko kilka godzin. Wracam o szóstej rano.

– Nie ma mowy. Martwisz się o siebie, a pomyślałeś o mnie? Ja nie będę miał dowodu, że mnie tu nie było!

– Uspokój się, nikt nie widział, że wychodzisz z mieszkania. Nikt by tego z tobą nie połączył. Zaufaj mi... Karol, nic nie musisz robić. Po prostu zostań w mieszkaniu, nikomu nie otwieraj i informuj mnie, jeśli się coś stanie. Wtedy przyjadę. Rzucę wszystko i przyjadę. Obiecuję. W tym czasie mógłbyś przejrzeć ten telefon, poszukać w internecie nazwisk. Może na coś trafimy.

– A jak nie trafimy?

– To będziemy myśleć dalej. W końcu mamy w piwnicy wszystkie odpowiedzi. Grunt to tylko zręcznie je wydobyć. Karol, mogę na ciebie liczyć?

Podchodzę do uchylonego okna. Chłodne powietrze wtacza się w nozdrza, dając poczucie jasności umysłu. Widzę stąd swój stary dom. Pogaszone światła mówią mi, że wszyscy domownicy smacznie śpią. Czas zastyga w bezruchu. Mam wrażenie, że jeśli pomacham sobie przed twarzą dłonią, ta poruszać się będzie w zwolnionym tempie.

Spokój.

Ile takich spokojnych nocy przerwały paniczne krzyki ojca, gdy znowu zobaczył coś w mroku? Błagalny płacz matki, próbującej wcisnąć w niego leki.

Gwałt na ciszy. Strach i czuwanie pod kołdrą do samego rana, w nadziei, że ojciec w końcu zaśnie.

Czy mieszkający tam dziś chłopak miewa podobne noce? Czy tylko ja, nawet po tylu latach, wciąż czuję niepokój po zmroku? Każdej nocy boję się tego, co dzieje się na dole.

Dzisiejsza nie jest wyjątkiem.

– Karol?

– Hm?

– Zostaniesz?

– A mam wybór?

– Zawsze jakiś jest. Będę miał u ciebie dług. Już go mam. Pamiętaj, pierwsza lekcja dorosłego życia: przysługa za przysługę.

– Dużo tych pierwszych lekcji. Zresztą, nie potrzebuję przysług.

– To tylko kilka godzin. Potem odwiozę cię do domu i już nie będę w nic mieszał. Obiecuję.

– Co my w ogóle wyrabiamy, Rysiek? Posuwamy się za daleko...

– Widziałeś te filmy, młody. Ja już nie mogę odpuścić. To moja córka... Moja, kurwa, krew.

Przez chwilę staram się nasłuchiwać dźwięku rozchodzącego się po rurze. Gość na dole jest dziwnie cicho, może zasnął z wyczerpania... Poczekanie tu kilka godzin, aż wróci Szeryf, nie wydaje się niemożliwym zadaniem. Chcę coś zrobić. Chcę pomóc. Przyłożyć rękę do zakończenia tego szaleństwa, które spotyka Natalkę.

Chcę zobaczyć jej twarz, gdy zabierzemy ją do domu.

– Dobra, jedź. Pomogę, jak mogę. Popatrzę, co jeszcze uda mi się znaleźć w tym telefonie, poszukam też w necie. Niewygodnie będzie mi bez kompa, ale...

– Mówiłem, że nie mam laptopa, ale to nieprawda. Jest jeden... W jej pokoju.

– Serio? Mogę go użyć? Byłoby mi trochę łatwiej.

– Zrób, co trzeba. Nie będę miał pretensji.

Kiwam twierdząco głową.

– Mam u ciebie dług, młody. Nie masz pojęcia jak wielki.

– Jedź, zanim się rozmyślę.

– Już mnie nie ma.

Stoję na ganku i patrzę, jak odjeżdża. Światła reflektorów przecinają mrok nocy jak wystrzał, silnik wyje, koła wzniesają w powietrze tumany kurzu. W tej okolicy można by się spodziewać, że zaraz noc rozbłyśnie szeregiem zapalanych świateł, że każdy będzie chciał zobaczyć, kto śmiał zakłócić nocny wypoczynek. Ale nic takiego się nie dzieje i po chwili znów jest cicho.

Zostaję sam.

Wracam do środka i na chwilę przywieram uchem do drzwi piwnicy. Myślałem, że warkot silnika na powrót rozjuszy więźnia, ale nic nie słyszę, ruszam więc na górę – do pokoju, do którego zawsze kierowałem swoje kroki zaraz po przekroczeniu progu tego mieszkania.

W głowie wciąż pobrzmiwają echa niedawnego snu. Płonące schody i zwęglone ściany. Obrazy w głowie są tak żywe, że chwytając za klamkę, boję się oparzyć.

Ale ta jest chłodna. Chłodna jak wszystko dookoła.

Otwieram drzwi i wchodzę do środka. Już na wejściu dostrzegam to, po co przyszedłem. Laptop stoi na niewielkim biurku, otoczony książkami – same średniowieczne romanse, które dostawała w prezencie od matki, a których nigdy nie czytała. Sam pokój jest przeraźliwie pusty, przez co buszując w środku, nie czuję się, jakbym naruszał jakąś świętość. Nie gwałcę prywatności. Wszystko, co mnie otacza, jest tym, czego nie chciała ze sobą zabrać – same odpady. Dusza tego miejsca uleciała wraz z Natalką.

Kolejny raz podchodzę do okna. Jest na tej samej wysokości, co mój dawny pokój. Niezliczoną ilość nocy patrzyłem dokładnie w punkt, w którym teraz stoję. Jej oczy były dla mnie jak barierka, której mogłem się trzymać, gdy sprawy na dole przybierały

zły obrót. To tutaj robiła głupie miny, próbując mnie rozśmieszyć. To stąd świeciła mi latarką, nadając komunikaty alfabetem Morse'a. To tutaj stała, patrząc na mnie kilkanaście lat temu.

To stąd rozszedł się krzyk, który mieszkańcy okolicy zapamiętają do końca życia.

To tu przybiegł Szeryf i to stąd zobaczył moją zakrwawioną twarz. Tu, gdzie stoję, postanowiono ratować mi życie. Gdyby nie przybiegł wtedy do naszego domu... Gdyby nie zadzwonił wcześniej na policję...

Gdy sięgam pamięcią do tamtego dnia, uświadamiam sobie, jak wiele jestem mu dłużny. Pewnie dlatego bez pytania zszedłem na dół, gdy kilka godzin temu zapukał do mych drzwi. Pewnie dlatego wciąż tu tkwię, nawet mając świadomość, że w każdej chwili mogę usłyszeć policyjne syreny.

Pierwsza lekcja dorosłego życia – przysługa za przysługę.

Telefon zaczyna wibrować. Potok myśli nagle się urywa, a ja rzucam się w stronę biurka. Dopadam do urządzenia, niemal przewracając stojący przy ścianie regał, i zerkam w ekran. Kolejny raz ten sam nieznany numer.

Żołądek podchodzi mi do gardła i rzeczywistość znów uderza prawym sierpowym. W piwnicy siedzi uprowadzony człowiek. Najwyraźniej ktoś go szuka.

Ktoś wie.

To może być każdy – żona, córka, matka. To może być ktoś z jego współpracowników, któraś z aktorek albo ktoś z aktorów.

To może być ona.

Przez chwilę zastanawiam się, czy nie odebrać. Może rzucone enigmatycznie „halo” wystarczyłoby rozmówcy. Może nie rozpoznałby mojego głosu i podałyby jakieś informacje. Może osoba po drugiej stronie wie, gdzie jest to, czego szukam.

A może to policja, próbująca mnie namierzyć?

Prowadzę pojedynek spojrzeń z wibrującym urządzeniem. Odkładam go na blat i obserwuję, jak powoli, powoli przesuwa się w stronę krawędzi biurka, bzyząc przy tym jak wyczerpana ucieczką mucha, i jestem zbyt przerażony, żeby chociaż go dotknąć.

Ten ktoś po drugiej stronie długo nie daje za wygraną, ale telefon w końcu milknie, ekran wyświetla informację o nieodebranym połączeniu. Biorę głęboki wdech, jeszcze raz patrzę na wyświetlony numer, po czym uruchamiam laptop.

Dzisiaj łatwo można sprawdzić, czy chcemy odebrać, gdy dzwoni ktoś obcy. Społeczne fobie doprowadziły nas do stanu, w którym nieznany numer sprawia, że czujemy dziwny niepokój. Ktoś czegoś od nas chce – nie lubimy tego. Po to powstały serwisy, w których można taki numer sprawdzić. Zazwyczaj dowiemy się, że to po prostu telemarketer bądź, jeśli mamy trochę więcej szczęścia, zwykły oszust.

Po cichu mam nadzieję, że to ktoś taki. Wpisuję numer w wyszukiwarce na stronie, po czym patrzę przez chwilę na informację o braku wyników. Czyli ten ktoś naprawdę próbuje porozmawiać z facetem z piwnicy...

Ile telefonów wykona, zanim zorientuje się, że coś jest nie tak?

Zabieram się do listy kontaktów. Liczę, że choć jedna z tych osób okaże się aktorką mogącą doprowadzić nas do Natalki. Najgorsze, że te dziewczyny stale używają pseudonimów, a ja tu widzę głównie imiona i nazwiska.

Poszukiwania przerywa mi brutalny łomot. Rura kaloryfera rezonuje pustym dźwiękiem ciągnącym się od podłogi aż do sufitu. Dokładnie tak samo odczuwam go wzdłuż kręgosłupa. Każde cholerne uderzenie.

Próbuje się wyrwać? Może rana głowy daje mu się we znaki? A może już się uwolnił i teraz chce zwrócić naszą uwagę i ściągnąć nas znowu na dół? To pułapka? Nie wiem, mam wrażenie, że tracę rozum. Staram się to zignorować. Muszę skupić się na zadaniu. Drżącymi dłońmi wbijam na klawiaturze kolejne znalezione w telefonie numery i nazwiska – bez rezultatów. Wałaca mi nad uchem rura sprawia, że nie potrafię myśleć o niczym innym niż o człowieku uwięzionym w piwnicy.

Nie trafiam w klawisze, gubią mi się litery, przez co każde nazwisko muszę wpisywać kilka razy. Przekłeta rura wciąż bębni. Każde uderzenie rzuca mną jak szmacianą kukłą, każde wywołuje fizyczny ból. Mam wrażenie, że zaraz oszaleję i wyskoczę przez okno.

Może jest głodny albo odwodniony? Może zwyczajnie potrzebuje pójść do kibla? Nie mam pojęcia, kiedy trafił do bagażnika Szeryfa. Czy przyjechał z nim wprost do mnie, czy może długo jeździł po mieście, zanim wymyślił jakiś plan?

Wstaję i zaczynam krążyć po pokoju jak opętany. Chcę wybiec. Wybiec z tego domu i nie oglądać się za siebie. Nikt nie udowodni mi, że tu byłem. Nikt nie powie, że brałem w tym udział.

Zbiegam po schodach i chwytam za kłamkę, przez chwilę walcząc z myślami.

Pierwsza lekcja dorosłego życia...

Wracam i wchodzę do kuchni. Bez jedzenia możemy wytrzymać znacznie dłużej niż bez wody. Stracił sporo krwi – mam jej trochę na bluzie, ale nie mam zamiaru mieć jej na rękach. Musi uzupełnić płyny.

W panice otwieram szafki w poszukiwaniu jakiejś butelki. W końcu znajduję jedną i podstawiam ją pod kran. Obserwuję, jak szkło powoli napełnia się chłodną wodą, czuję, jak zimno przebija mi do dłoni...

Cholera, szkło? Zwariowałem? Mógłby je rozbić i tulipanem rozorać mi to, co zostało z mojej twarzy. Ostre krawędzie pocięłyby skórę jak masło. Szeryf znalazłby mnie na dole z poderżniętym gardłem...

Grzebię w szafkach. Walenie w rurę sprawia, że wszystko leci mi z rąk. W końcu zaglądam pod zlew. W śmietniku znajduję półlitrową plastikową butelkę.

Nalewam do pełna i wychodzę na korytarz. Owijam twarz szalikiem, czując się jak jakiś pieprzony superbohater w najgłupszym stroju świata. Otwieram drzwi i patrzę w dół. Zejdę, rzucę mu butelkę i uciekam. Tak się powinno robić. Tak, to właściwe. To humanitarne.

Przyznam szczerze – nie mam pojęcia, czy Bóg istnieje. Zawsze żyłem tak, jakby go nie było, co nie do końca czyni ze mnie ateistę. Wszyscy dookoła zdają się być tacy nieomylni. Jedni twierdzą, że jest na pewno, drudzy, że na pewno go nie ma.

Jeśli spytać mnie – nic na tym pieprzonym świecie nie jest na pewno.

Więc co, jeśli jest i patrzy? Ta butelka wody może być dla mnie jak bilet do raju.

Zapalam światło i schodzę. Każdy krok jest jak dylemat. Każdy kolejny schodek to odpowiedź na pytanie rykoszetujące pod czaszką.

Iść dalej czy uciekać?

W końcu docieram na dół. Pstrykam przełącznikiem. Facet jest spokojny i chyba zadowolony z siebie. Zadowolony, że znalazł zależność. Jak jakaś cholerna mysz w laboratorium, która dopiero co odkryła, że naciśnięcie przycisku sprawia, że z nieba spada przysmak.

Walenie w rurę powoduje, że z góry schodzą wystraszeni faceci.

Oto jestem. Brawo, oto twój przysmak.

Facet uważnie mnie obserwuje, zerka mi za plecy, jakby szukał tego drugiego – większego i silniejszego. Moja postura chyba nie wysyła sygnałów o niebezpieczeństwie. Wygląda na to, że się nie boi.

Kucam i turlam butelkę w stronę więźnia. Plastik uderza o podeszwę jego buta.

Facet przez chwilę patrzy na mnie nieufnie, po czym stopami przysuwa butelkę bliżej siebie i wkłada między uda. Patrzy na mnie bezsilnym wzrokiem. Widać, że jest potwornie zmęczony. Z czoła złazi mu skóra, jakby nabawił się jakiejś paskudnej wysypki. Wali w tę rurę głową? Mija trochę czasu, ale w końcu dociera do mnie, że z zaklejonymi ustami nie weźmie nawet łyka.

Chwytam leżącą na regale taśmę.

– Usiądź tak, żebyś nogi miał jak najdalej ode mnie – rzucam, starając się zachować profesjonalny chłód w głosie. Muszę brzmieć jak porywacz. Jakbym wiedział, co tu robisz. – Obejdę cię i na chwilę zdejmę taśmę. Wtedy się napijesz.

Facet nie reaguje. Patrzy na mnie, jakby zobaczył ducha. A może zastanawia się, gdzie już słyszał ten głos? Poznał mnie?

– Zrozumiałeś? – Zmieniam lekko ton, siląc się na wymuszoną chrypkę.

W końcu kiwa głową.

– Wykonaj choć jeden gwałtowny ruch i gwarantuje ci, że więcej mnie tu z butelką wody nie zobaczysz.

Wygląda, jakby rozumiał. Ostrożnie obchodzę go dookoła i staję mu za plecami. Wykręcił się tak, że nogi ma skierowane w drugą stronę. Gdyby spróbował mnie kopnąć, myślę, że zdążyłbym odskoczyć. Dlaczego nie związaliśmy mu tych cholernych nóg, gdy mieliśmy okazję? Gdzie się nam tak spieszyło?

Wyciągam mu butelkę spomiędzy zaciśniętych ud. Napoczętą taśmę mam już w gotowości. Mam nadzieję, że zdążę jej użyć, gdyby nagle zechciał krzyknąć.

– Teraz zdejmę ci taśmę – informuję, po czym szarpnię za końcówkę i zaczynam odwijać. Część kleju odchodzi wraz z kiełkującym zarostem. Widzę, że go boli, ale stara się to zdusić. W końcu odklejam mu też usta i podaję wodę. Przywiera do ustnika jak niemowlę do piersi matki. Łapczywie wypija całe pół litra. Gdy odsuwam butelkę, wzdycha z ulgą.

– Dzięki, chłopie – rzuca słabym głosem. – Nawet nie wiesz, jak bardzo zaschło mi w ustach. Od godziny myślę już tylko o wodzie.

– Teraz się nie wierć. Znów założę taśmę.

– Czeka! Czeka! Proszę! Nie masz może przypadkiem też czegoś do jedzenia? Cały dzień nie jadłem.

– Nie mam. – Rozwijam taśmę. – Odchyl głowę.

– Poczekaj, proszę – rzuca po raz kolejny, patrząc w ścianę przed sobą. – Czego ode mnie chcecie? Jeśli pieniądze, to musicie wiedzieć, że nie mam ich dużo...

– Odchyl głowę.

– To tamten drugi, prawda?

Nie odpowiadam. Zastygam w bezruchu jak pomnik. Nawet serce zalewa się betonem, nieruchomieje.

On wie.

– To wy dwaj byliście w moim biurze. To tamten wariat, co przyłożył mi nóż do gardła. Prawda? Słuchaj, ja nie zrobiłem nic złego. Wszystko... Wszystko jest legalne...

– Dość tego – rzucam drżącym głosem. Próbuję złapać go za głowę i odchylić tak, by bez problemu owinąć usta taśmą, ale spocona czaszka wyslizguje mi się z rąk.

– Proszę! – Wierzga głową dookoła. – Czeka! Musisz mi pomóc. Słuchaj, ja... Ja... Ja rozmawiałem z tą dziewczyną. Zaraz... Zaraz po waszej wizycie. Czeka, kurwa mać! Chciałem sprawdzić, o co chodzi. Powiedzieć jej, że jej stary jej szuka!

Rozmawiał z Natalką? Czy to znaczy, że nic jej nie jest? Robię krok do tyłu. Facet obraca się i próbuje spojrzeć mi w oczy, ale widać, że brak okularów daje mu się we znaki.

– Wiesz, z czym masz do czynienia? Myślisz, że ktoś z nas robi jej krzywdę? Prawdziwa krzywda działa się w jej domu. Ona uciekła! Wiedziałaś? Ja wiem, bo z nią gadałem. Skąd bym wiedział? Słuchaj... Wypuść mnie, nic nikomu nie powiem. Nie pójde na policję. Ludzie będą mnie szukać. Nie mogę zniknąć tak po prostu! Prowadzę biznes, do kurwy nędzy! Jak rano nie będzie mnie w biurze...

Nic już z tego nie rozumiem. W głowie dźwięczą mi słowa Szeryfa: „Nie można pozwolić im mówić”.

To wszystko psuje.

– Odchyl głowę... – Moje żądania brzmią już jak prośby dziecka na granicy płaczu. Łód w głosie zdążył się roztopić.

– Proszę, wypuść mnie. Tamten gość zwariował. Nie myśli racjonalnie. Ma mnie za jakiegoś potwora. Słuchaj, ona chciała to zrobić! To tylko filmy! Dostawała hajs! Ja... Ja nie jestem potworem. Jestem reżyserem, kurwa mać! To praca... To tylko praca... Błagam! Prawie poderznął mi gardło! Nie wiemy, co zrobi, gdy wróci. Pojechał gdzieś, prawda? Słyszałem samochód na podjeździe... Co, jeśli będzie chciał mnie zabić? Pomożesz mu? Będziesz stał i patrzył? Równie dobrze możesz mnie zabić tu i teraz, będziesz tak samo winny... Ty...

– Dość...

– Widzę po tobie, że jesteś dobry chłopak. Nie daj sobą manipulować. To, że ten stary się odkleił, nie znaczy, że...

Nagle z mojej kieszeni wydobywa się przytłumiony dźwięk wibracji. Telefon. Wyciągam go i patrzę na ekran. Ten sam numer, wciąż i wciąż.

– To do mnie? Słuchaj, odbierz i podaj mi słuchawkę. To może być żona... Albo córka! Mam rodzinę... Ja... Ja mam rodzinę! Błagam. Pozwól mi z nimi porozmawiać. Martwią się. Muszą się tak kurewsko martwić...

– Żona albo córka...

– Tak! Tak! To na pewno któraś z nich!

– Nie zapisałeś numerów...

– Co?! Pozwól mi odebrać, proszę...

– To nieznany numer. Kto nie zapisuje numerów bliskich?

– Może próbują się dodzwonić od sąsiadów, skąd mam, kurwa, wiedzieć?! Skoro nie odbieram od nich, to pewnie próbują z innego numeru.

– Żaden inny nie dzwonił. W kontaktach nie ma żony ani córki...

– A ty co?! Znasz je?! Wiesz, jak się nazywają?! Pozwól mi odebrać, błagam, kurwa!

Jakaś część mnie chce wręczyć mu słuchawkę. Powiedzieć wystraszonej rodzinie, że żyje, ale nie wróci dziś na noc. Może wtedy nie wezwąby policji...

Druga część podpowiada, że nikt nie zapisuje żony i córki w telefonie z imienia i nazwiska albo ksywy brzmiącej jak pseudonim gwiazdy porno.

Chowam telefon do kieszeni i z całej siły zaciskam lewe ramię na szyi producenta. Prawą ręką owijam mu głowę taśmą. Charczy. Próbuje się wyrwać. Widzę, jak pulsują mu żyły na skroniach.

Po chwili znów słyszę jedynie stłumione jęki i wyzwiska.

Wyłączam światło i przyspieszonym krokiem wracam na górę. Zamykam drzwi od piwnicy i napieram całym ciałem, przez chwilę jeszcze je przytrzymując, jakbym bał się, że zaraz coś się przez nie przebije.

Osuwam się na podłogę i przez chwilę dyszę jak bokser w przerwie pojedynku. Robi mi się niedobrze. Treść żołądka, składająca się głównie z zalegającej tam trucizny, burzy się i falami podchodzi do gardła.

Puszczam się biegiem do toalety i przywieram do muszli klozetowej jak do utęsknionej kochanki. Wymioty mają kwaśny smak. Pałają mi gardło i nozdrza. Po chwili materiał z dna żołądka się wyczerpuje i zostaje mi tylko paniczny kaszel. Odklejam się od kibla i padam na ziemię.

Wciąż nie dociera do mnie, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Mogłem go udusić, gdy tak owinąłem go przedramieniem. Nie mógł się bronić. Skąd u mnie tyle siły? Tak łatwo było przeszarżować...

Chyba nie chciałem, żeby dalej gadał. Z każdym kolejnym słowem padającym z jego zaschniętych ust czułem się coraz gorzej. Czułem, że ktoś może mnie wykorzystywać.

Natalka uciekła?

Przed czym?

Potok myśli przerywa wibracja. Znowu ten przeklęty numer. Tylko że teraz jest inaczej. Dźwięk urywa się bardzo szybko.

Wiadomość?

Wciąż leżąc płasko na ziemi, podnoszę telefon do oczu. Ikona koperty. Ten sam numer, który dzwonił wcześniej.

„Przesyłamy zaproszenie na dzisiejsze specjalne wydarzenie. Nie mogliśmy się dodzwonić, ale mamy nadzieję, że nie prześpi Pan całej imprezy. Życzymy udanej zabawy i wielu nagród. Startujemy za 15 minut.

Powodzenia!”

Pod wiadomością jest coś jeszcze – link. Ciąg znaków bez ładu i składu zakończony domeną „onion”.

Wiem, co to jest.

* * *

Widziałem już podobne stronki, choć nigdy na żadną nie wchodziłem. Głęboka sieć zwana Deep Webem albo Darknetem. Ukryta część internetu, do której nie dostaniesz się z poziomu zwykłej przeglądarki. Nie wejdiesz tam przypadkiem. Miejsce pełne nielegalnych treści. Narkotyki, broń, kradzione karty kredytowe i dowody osobiste, dziecięce porno i handel ludźmi... Nazwij to, a pewnie znajdziesz to w Darknecie. Nikt nie wchodzi tam, żeby przeglądać memy.

Specjalne wydarzenie? Nagrody? W środku nocy? O co tu, do cholery, chodzi?

Zrywam się na równe nogi i raz jeszcze przyswajam treść SMS-a. To nie rodzina tak wydzwaniała. To nie żona ani córka. Nikt nie szuka...

Wydarzenie?

Obmywam twarz zimną wodą i przepłukuję usta, pozbywając się kwaśnego smaku. Przez chwilę patrzę w lustro, zastanawiając się, co robić dalej. Twarz przede mną jest jakaś dziwna, nieruchoma, jak u trupa. Poprzecinane czerwonymi żyłkami oczy, w których próżno szukać bieli. Kilkudniowy zarost i przetłuszczone włosy. Nie poznaję własnego odbicia, jakbym patrzył na obcego. Choć lustro jest całe, to ze zmęczenia mam wrażenie, że widzę pęknięcia, jak u mnie w mieszkaniu. W samym spojrzeniu też jest coś nie tak...

Wypijam szklankę chłodnej wody, wyciągam z lodówki napoczętą czekoladę, żeby zabić głód, i ruszam na górę. Do otworzenia linku potrzebuję specjalnego oprogramowania. Potrzebuję TOR-a – przeglądarki, która przez sieć przekierowań sprawi, że namierzenie moich działań w Darknecie będzie niezwykle trudne. Z pobraniem jej nie ma problemu, można to zrobić w zwykłym internecie.

Po chwili mogę już zabrać się do przepisywania adresu z SMS-a. Nie mam pewności, na co wchodzę, ale w najgorszym wypadku zawirusuję jedynie starego, nieużywanego przez nikogo laptopa.

Po wpisaniu linku przeglądarka myśli bardzo długo. Już zaczynam tracić nadzieję, że przekieruje mnie gdziekolwiek, ale po chwili moim oczom ukazuje się czarna strona z czerwonym prostokątem z napisem „Wejdź” w samym jej centrum. Tylko tyle. Gdy najeżdżam na napis kursorem, zauważam, że stanowi odnośnik do kolejnej strony.

Przez chwilę zastanawiam się, co o tym wszystkim sądzić. Może to, co jest po drugiej stronie, nie jest warte zniszczenia sprzętu, nawet tak starego... Zaproszenie na event z podejrzanym linkiem w opisie... Sam nigdy nie dostałem podobnego SMS-a, ale już na pierwszy rzut oka wygląda to na zwykły scam.

Ciekawość zwycięża. Zwłaszcza że SMS przyszedł na TEN telefon.

Klikam „Wejdź”.

Strona zdaje się ładować całą wieczność. Ukazuje się kawałek po kawałku, pokazując mi, jak mogły wyglądać początki internetu. Obraz, który powoli się przede mną odkrywa, przedstawia coś jak zdjęcie wesołego miasteczka. Widzę diabelski młyn i inne karuzele. Stragany i dom strachów. Pomiedzy tym wszystkim przechadza się...

...świnia.

W pokoju jest tak cicho, że niemal słyszę bicie własnego serca. Producent przestał walić w rurę, nie rusza się, od kiedy wyszedłem z piwnicy. Musiał się zmęczyć.

Nagle z głośników wydobywa się głośna kakofonia dźwięków, sprawiając, że prawie spadam z fotela. Przerazająca karnawałowa melodia, coś jak muzyka puszczana w horrorach dziejących się w lunaparkach. Serce wali mi jak oszalałe i panicznie szukam przycisku głośności. W końcu udaje mi się ją ściszyć do poziomu szumu w tle.

Na górze strony widnieje napis.

„Witajcie w Parku Świń”.

Chyba nie ma tu nic więcej. Macham kursorem po całej stronie, ale nie widzę odnośnika do kolejnej, nie mogę też wykonać żadnej innej aktywności. Nic nie rozumiejąc, przyglądam się grafice wesołego miasteczka. Im dłużej na nie patrzę, tym bardziej wydaje się ono niepokojące. Podświadomość sygnalizuje mi, że coś tu nie gra. Jest opuszczone, zamiast rodzin i uśmiechniętych dzieci mamy jedynie ryjącą w ziemi świnię.

Tak bardzo tam nie pasuje.

Najwyraźniej dałem się nabrać. Nic tu nie ma. Pewnie w tle właśnie ściągają mi się na dysk tabuny wirusów. Atakują całym rojem tylko po to, żeby na końcu dowiedzieć się, że zawirusowały maszynę gościa, któremu na niczym już nie zależy. Nie wymuszą okupu, szyfrując pliki, nie pobiorą kompromitujących materiałów.

Nagle w pokoju rozlega się ciche piknięcie. Coś jak dźwięk otrzymanej wiadomości, ale nie słyszałem tego w żadnym znanym mi komunikatorze. Przyglądam się telefonowi, ale nic tam nie ma. Po chwili zerkam na ekran komputera. W prawym dolnym rogu wyskoczyło okienko czatu.

Administrator: *Witaj w Parku Świń. Cieszymy się, że udało Ci się połączyć. Nasze wydarzenie startuje za kilka minut. Czy wybrałeś już kategorię?*

Krew gwałtownie wtłacza mi się do mózgu, przez co wzrok zalewa ciemny filtr. W głowie pisk.

Jaką kategorię?

On to pisze do mnie?

Zamknąć stronę czy dalej w to brnąć?

Z jakiegoś powodu producent dostał to zaproszenie. Z jakiegoś powodu wydzwaniali do niego całą noc. Ktokolwiek zadał mi to pytanie, może myśleć, że ma

do czynienia właśnie z nim. Zastanawiam się, czy wiadomość została w ogóle napisana przez człowieka. Może to tylko bot. Bot, którego mogę spytać o wszystko. Najwyżej nie zrozumie pytania.

Jaką kategorię?, odpisuję.

Administrator: Zgodnie z zasadami pakiet standard pozwala na wybranie tylko jednej kategorii w jakości SD. Jeżeli chcesz uzyskać wyższą jakość obrazu i oglądać kilka spektakli jednocześnie, wciąż możesz upgrade'ować pakiet do premium za dodatkową opłatą. Którą kategorię wybierasz? Przypominam, że wydarzenie za chwilę się rozpocznie. Nie zwracamy pieniędzy za niewykorzystane pakiety.

Jakie mam do wyboru?, brnę w to dalej. Mam nadzieję, że nie zdradzę się, pytając o rzeczy oczywiste. Mam przecucie, że po drugiej stronie nie ma bota, że rozmawiam z żywym człowiekiem.

Administrator: W tym tygodniu stawiamy na klasykę w trzech wydaniach. 18–25, 26–40 i 41–80. Którą wybierasz?

Jaką, kurwa, klasykę w trzech wydaniach? Nic z tego nie rozumiem. Niewiele myśląc, wybieram tę drugą. W odpowiedzi dostaję kolejny link, w który od razu klikam. Otwiera się następne okno, równie długo co poprzednio. Tym razem mam przed sobą odtwarzacz wideo z wielką czerwoną kropką na środku, informujący mnie, że transmisja na żywo za chwilę się rozpocznie. Po prawej stronie wyświetla się coś w rodzaju czatu na żywo. Kilka dziwnie brzmiących nicków wymienia się pozdrowieniami. Wyskakuje też informacja, że do pokoju dołączył „Nieznajomy”.

„Nieznajomy” to ja.

Okno czatu sypływa kolejnymi wiadomościami jak wodospad. Każde piknięcie wybrzmiewa w cichym pokoju jak wystrzał z pistoletu. Panuje ogólna wrzawa i podniecenie. Ludzie zastanawiają się, co przygotował dla nich Administrator w tym tygodniu. Niektórzy piszą, że świnie są głodne. Inni powtarzają wciąż, że zaraz się zaczniesz. Nic z tego nie rozumiem.

Nagle jedna z wiadomości przeszywa mnie strachem. Cały drętwieję, od stóp do końcówki języka.

Hej, Nieznajomy. Czemu milczysz?

To do mnie?

Kurwa mać...

Chcą, żebym się odezwał? Co miałbym powiedzieć? Nie wiem nawet, na co czekamy.

Czat szybko zalewa się kolejnymi wiadomościami. Ludzie zastanawiają się, kim jestem i czemu milczę. Pytają, dlaczego nie zmieniłem jeszcze nicka. Gdy zerkam w prawy górny róg, faktycznie dostrzegam taką możliwość. Tylko ja na całym czacie jestem „Nieznajomy”.

Nieznajomy, pierdolony zboczeńcu, daj głos!

Nieznajomy, świrze, jak tak podglądasz rozmowę, to czuję się niekomfortowo. Administrator, kto to jest? To ktoś sprawdzony?

Głosy niezadowolenia przybierają na sile. Niewiele myśląc, zmieniam nick na „Slider”.

Nie można już nawet pójść do kibla? – odpowiadam, nie mając lepszego pomysłu na ripostę.

Mówiłem, że to pierdolony zboczeniec. Przecież nawet się nie zaczęło, a on już...

Zamkniecie się w końcu?! Rusza odliczanie.

Na ekranie zaczynają pojawiać się cyfry, wszystko przy akompaniamencie pikającego czatu. Czuję nieprzyjemny skręt w żołądku.

Dlaczego ludzie zebrali się na tej stronie w środku nocy? Na co, do cholery, czekamy? Co ich tak ekscytuje?

Pięć! – okno czatu zalewa się kolejnymi wpisami wtórującymi cyfry na ekranie.

Czteryyyy.

Trzy!

Dwa!

Jeden...

Odliczanie dobiega końca. Ekran przechodzi w czerń, po czym powoli się rozjaśnia, a ja czuję, jak serce zwija mi się w supeł. Widzę coś jakby wewnątrz szopy. Po drewnianej, zbitej z desek podłodze wala się siano. Jakość jest słaba, przypomina stary film nagrany na kasecie VHS. Kamera powoli się przemieszcza, odsłaniając przed nami to, co ukryte w mroku. Zaciskam dłonie na oparciu krzesła. To...

Boże...

Na krześle siedzi kobieta. Jest naga. Na głowę naciągnięty ma płócienny worek zasłaniający całą twarz.

To ciało... To ciało jest tak drobne, gładkie i jędrne, choć brudne, odrapane i posiniaczone... Tak młode.

Czy... Czy to może być Natałka?

Wokół nadgarstków i zakrwawionych kostek ma solidne węzły. Szarpie się i wrywa. Jest przerażona. Wygląda na to, że darłaby się jak opętana, gdyby nie najwyraźniej zakneblowane usta pod workiem.

Czat wybucha entuzjazmem.

Na taką liczyłem!

Młodsza, niż myślałem, bałem się, że pójdziemy w górne widełki i będzie czterdziecia.

Czyżby osiemnastka? Nie widzę żadnych zmarszczek. Nic nie zwisa.

Widelki? O czym oni, do cholery, mówią? Czy kategoria, którą wybierałem na początku, to był... wiek?

Pierdolona jakość... Trzeba było wykupić premium i mieć w HD...

Gdzie jest Świniak?!

Kamera robi zbliżenie na worek skrywający twarz kobiety, ta najwyraźniej wyczuwa bliskość kamerzysty, bo próbuje się odsunąć, wykręcając kark do granic możliwości. Ta panika, ten strach, jaki dostrzegam w jej szarpanych ruchach, to... To coś, czego nie da się zagrać.

Jest prawdziwy.

To nagranie? Czy to, na co patrzę, dzieje się teraz?

Nagle wszystko gaśnie. Ekran ciemnieje. Po chwili wyświetla się czarna plansza z tekstem pisany różnymi odcieniami czerwieni na kolorowych paskach. Całość wygląda jak z taniego teleturnieju.

Głosowanie:

Żywy kadłubek

Martwy kadłubek

Jeździec bez głowy

Głowa bez jeźdźca.

Czat szybko zapełnia się odpowiedziami. Ciche piknięcia wybrzmiewają wraz z kolejnymi literami pokazującymi się po prawej stronie. Milczę, sparalizowany strachem. Na ekranie pojawia się kolejne trzydziestosekundowe odliczanie. Kolorowe paski z odpowiedziami możliwymi do wyboru skaczą po ekranie w drodze na pierwszą pozycję, w miarę jak ludzie oddają swoje głosy. Nie rozumiem, na co patrzę. Gdy licznik dochodzi do zera, pokazuje się zwycięska odpowiedź.

Żywy kadłubek...

Poniżej jest jeszcze informacja o tym, kto jak głosował, i coś, co uderza mnie najmocniej. Zablokowany przełyk nie pozwala mi nawet przełknąć śliny.

Slider wstrzymał się od głosu.

Obraz z kamery wraca. Kamerzysta odwraca się i przez chwilę przechadza się po szopie. W końcu zatrzymuje się przed drzwiczkami drewnianej zagrody...

Zagrody pełnej świń.

Na widok kamerzysty zwierzęta ogarnia podniecenie. Kłębią się przy drewnianych wrotach. Niektóre nawet próbują je staranować. Są agresywne. Wychudzone. Wygłodniałe...

Kamera wraca na postać kobiety, robi ostatnie zbliżenie na worek, zostawiając nas z widmem i wyobrażeniem paskudnego grymasu, który musi się pod nim malować, po czym oddala się i nieruchomieje w pewnej odległości, jakby ktoś ją na czymś postawił.

W statyczny teraz kadr wchodzi kamerzysta.

Ja...

Ja już go gdzieś widziałem...

Obleśnie otyły facet w masce ze świńskiego ryja i rzeźnickim fartuchu, pod którym jest kompletnie nagi, stoi w odległości metra od kamery i tępo patrzy w obiektyw. Dziury w masce, które tkwią tam zamiast oczu, przepełnione są nieskończoną czernią. W tle za nim widać próbującą się wyrwać z całych sił kobietę. Wszystko jest nieostre, na obraz nałożone jest ziarno, dodające tylko efektu, jakbym obserwował scenę wprost z horroru. Czat ponownie przepełnia euforia.

ŚWINIAK!!!

Serio będzie żywy kadłubek? Nie wierzę! Nie da rady! Umrze, zanim zabawa się rozkręci.

Musi być szybki. To jest kluczowe.

Facet w masce podchodzi do kobiety i chwyta jej twarz przez worek za podbródek, pokazując nam, jak bardzo musi być drobna. Lekko podnosi płótno i przybliża świński ryj do jej ust, jakby próbował ją pocałować.

Chory skurwiel...

Chyba już wiem, na co patrzę. Na kolejny z tych filmów. Tych, które pokazywał mi Szeryf. Nie mam zamiaru dłużej tego oglądać, wiem, co będzie dalej. Choć nie potrafię przestać myśleć, kim jest związana dziewczyna, to dociera do mnie, że chyba nie chcę tak naprawdę tego wiedzieć. Jeżeli to Natałka i kolejny film, to naprawdę już nie dam rady... Klikam w czerwony krzyżyk w prawym górnym rogu strony.

Co jest?

Nie mogę zamknąć okna.

Mężczyzna w masce na ekranie na chwilę znika z kadru, a ja ponownie klikam na „Zamknij”. Nic się nie dzieje. Słyszę piknięcie. Dostaję kolejną wiadomość, tym razem okno czatu jest prywatne.

Administrator: Widzę, że próbuje Pan przedwcześnie opuścić imprezę. Coś nie tak? Może mogę pomóc?

O czym on pisze? Wie, że próbuję zamknąć stronę? Widzi, co robię... Czyli jednak udało im się zawirusować maszynę... Kurwa.

Administrator: Adres IP logowania nie zgadzał mi się z ustaloną wcześniej lokalizacją. Od początku wiedziałem, kim jesteś. Widzę, gdzie mieszkasz. Przez obiektyw kamery widzę Twoją twarz.

Zerkam w oko kamery pod ekranem. Jak... Jak to...

Świniak wraca do kadru. W dłoni dzierży olbrzymi topór masarski. Szarpnięciem zdejmuje kobiecie worek z głowy. Poszarpane, ociekające krwią usta. Panicznie

błądzące dookoła, szukające drogi ucieczki oczy...

Nie Natalka. To nie Natalka. Dziewczyna jest tak młoda...

Boże, nie...

Mężczyzna w masce bierze zamach, topór opada.

Potężne uderzenie odrąbuje kobiecie nogę na wysokości uda. Kończyna odpada na podłogę bezwładnie, jak kawał martwego mięsa. Biel kości błyska mi po oczach tylko przez chwilę, potem wszystko zalewa krew. Krew, która tryska pod olbrzymim ciśnieniem, jak z uszkodzonej rury. Mężczyzna bierze kolejny zamach.

Odskakuję od laptopa i wywracam się wraz z krzesłem na ziemię. Słyszę falę piknięć czatu. Wiadomość za wiadomością. Choć szybko zamknąłem oczy, to zobaczony właśnie kadr wypalił mi się w mózgu jak gorące żelazo na znacznym bydle. Przerażający krzyk wypełnia pomieszczenie, nie jestem nawet pewien, czy to ja, czy to odgłosy wydobywające się z głośników. Szybko odwracam laptop i wyciągam baterię.

Znów nastaje cisza.

Padam na dywan, cały drżąc, jakbym miał czterdziestostopniową gorączkę. Nie potrafię złapać oddechu, ciemnieje mi w oczach.

Obraz wypalony na siatkówce oczu.

Co to, kurwa, było?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Piąta rano. Chłód poranka wciska się do środka przez nieszczelne okna, poruszając ciężkimi od brudu firankami.

Pewnych wydarzeń nie da się przetrwać. Człowiek jest jak wieża z drewnianych klocków, wystarczy wyrwać ten jeden niewłaściwy i całość się sypie.

Leżę jak sparaliżowany już od ponad godziny. Sufit nade mną zdaje się falować i wyginać, boję się, że spadnie, gdy tylko zamknę oczy. Żyły mam jak rurociągi, serce zwiększyło przepustowość i tłoczy krew jak oszalałe. Ciemne plamy przelatują przed oczami jak burzowe chmury.

Zabawne, jak szybko nasze życie może zmienić się nie do poznania.

Jeszcze kilka dni temu budziłbym się teraz do irytujących popiskiwań budzika, klnąc na życie i świat, że znowu położyłem się za późno. Wnętrze kawalerki prędko wypełniłoby się aromatem kawy, a ja sam przeglądałbym poranne wiadomości, czekając, aż wskazówki zegara zmuszą mnie do wyjścia na tramwaj.

Pewnie jak co rano obiecałbym sobie, że muszę się w końcu porządnie wyspać, i z przekonaniem stwierdziłbym, że uda mi się dziś wieczór, gdy tylko wrócę z pracy. Pewnie złamałbym tę obietnicę, uciekając się do piwa i starych filmów oglądanych do późna. Zawsze je lubiłem, głównie dlatego, że znam wszystkie zakończenia. Sprawiają, że czuję się komfortowo, mając namiastkę uczucia przewidywania przyszłości. Kontroli nad wydarzeniami. Żadnego stresu – nic nikogo nie zaskoczy.

Tylko że te czasy już nie wrócą. Dziś jest dziś, a ja z przerażeniem odkrywam, że powrót do tego, co było kiedyś, jest już nieosiągalny. W głowie kłębią się dziesiątki pytań. Staczam się w otchłań myśli, których nie rozumiem.

Ile osób zaczyna właśnie teraz kolejny dzień resetującego się co noc cyklu? Czy ktokolwiek poza mną, Administratorem i osobami z czatu jest świadomy tego, co wydarzyło się dziś w nocy?

Ile w ogóle było już takich nocy? Ile dziewczyn trafiło do szopy?

Czy film z Natałką, ten w piwnicy... Czy to było to samo, co dziś? Czy banda psychicznie chorych degeneratów głosowała wtedy nad jej losem?

Żywy kadłubek...

Kurwa mać.

Dziewczyna na filmie... To nie była ona. Nie było blizny.

Nie mogę się ruszyć. Strach i poczucie winy przykuwają mnie do podłogi niczym dwa olbrzymie gwoździe. Grawitacja wydaje się czymś nie do przezwyciężenia. Nie mam nawet siły płakać na głos, więc płaczę w środku.

Czy mogłem jakoś to powstrzymać? Napisać coś, co przerwałoby ten przerażający spektakl? Nawet nie wiedziałem, na co czekamy... Myślałem, że w najgorszym wypadku będzie to kolejne porno...

Chyba że dla tych potworów dokładnie tym było to, co widzieliśmy na ekranie.

Kolejnym porno...

Jaka przemiana musi nastąpić w człowieku, żeby najprostsze bodźce przestały mu wystarczać? Ile trzeba tego wchłonąć, żeby wciąż być głodnym? Szukać dalej, głębiej, grzebać w ciemności...

Staram się ignorować to jedno najbardziej pijące mnie pytanie. Nie pozwolić mu wykiełkować do rozmiarów czegoś, co sprawi, że odbicie w lustrze będzie spoglądać na mnie z obrzydzeniem. To pytanie...

To cholerne pytanie...

Dlaczego nie przestałem oglądać wcześniej?

Rury w pokoju znów wybrzmiewają pustym dudnieniem – obudził się. Czy nawet diabeł musi wstawać wraz ze wschodem słońca?

Hałas sprawia, że wracam na ziemię. Zmysły się wyostrzają. Powoli przypominam sobie, co tu robię i jak tu trafiłem, chociaż wydarzenia sprzed godziny wciąż jawią się w głowie jedynie jako wspomnienie koszmarne snu. Miałem pilnować faceta... Faceta, który dostał to piekielne zaproszenie. Wykupił pakiet...

Skurwiel to sfinansował. To wszystko jego wina. To przez niego już do końca życia będę miał wypaloną w mózgu tę scenę. Fontannę krwi lejącą się z odrąbanych kończyn. Euforię ludzi kryjących się za wiadomościami na czacie...

Świński ryj.

Co mogę teraz zrobić? Pójść na policję? Niby jak wytłumaczę, skąd wziąłem link? Jak wytłumaczę, czyj to telefon?

„Nie chciałem brać w tym udziału, panie władzo. Kategorię wybrałem nieświadomie. Nie wiedziałem, co mnie czeka”.

„Nawet gdy zobaczyłem świnię...”

Miotam się po podłodze, stopniowo odchodząc od zmysłów. Chcę coś zrobić... Cokolwiek. Żeby tylko przestać myśleć o tym, co się tam teraz dzieje. W... W tej szopie... Trzeba coś zrobić...

On!

On może to przerwać!

Może nie jest jeszcze za późno. Natałka. Może uda się wyrwać ją stamtąd w jednym kawałku, jeśli też tam jest. Potrzebuję informacji...

Informacji... Za wszelką cenę.

Podnoszę się i patrzę na rozłożony laptop. Ile groźby było w słowach Administratora? Czy naprawdę wie, gdzie mnie teraz znaleźć?

Widział moją twarz?

Schodzę na dół, do kuchni. Rozglądam się za czymś, czego będę w stanie użyć. Przeglądam zawartość szafek. Noże nie wchodzą w grę. Nie... To musi być coś tępego. Coś, co wystraszy go, nie mnie...

W jednej z szafek w przedpokoju znajduję dokładnie to, czego szukam – dwudziestojednocalowa sprężynowa pałka teleskopowa.

Niczego innego nie spodziewałem się po Szeryfie. Musiał mieć coś takiego na wyciągnięcie ręki od drzwi wejściowych, na wszystkie te sytuacje, których zawsze się spodziewa, a które nigdy nie nadchodzą. Czasem mam wrażenie, że chciałby, żeby nadeszły. Chciałby wypróbować cały ten swój arsenał.

Owijam twarz szalikiem i otwieram drzwi do piwnicy. Rozciągająca się w dole ciemność nagle przestaje być tak przerażająca. Niesiony nieodczuwaną nigdy wcześniej wściekłością zbiegam po schodach, anonsowany odgłosami ciężkich kroków. Gdy docieram na dół, producent przestaje mnie wzywać kolejnymi uderzeniami.

Swąd moczu rozchodzący się po piwnicy szybko tłumaczy mi, czemu chciał mnie widzieć...

Gdy zapalam światło, mruży oczy, jakby właśnie wyszedł z jaskini na słońce. Przygląda mi się umęczonym wzrokiem. Podchodzę na wyciągnięcie ręki i zrywam taśmę.

– Dzięki Bogu, że pan przyszedł – rzuca zachrypniętym głosem, starając się rozruszać szczękę. Chyba owinąłem tę taśmę nieco zbyt mocno. – Ja... Ja naprawdę potrzebuję do toalety.

– Zeszczaleś się... – stwierdzam fakt. Wściekłość zdaje się pełzać tuż pod skórą. Szuka ujścia. Czuję, jak gromadzi się w dłoniach zaciśniętych na rękojeści pałki.

– Tak... Przepraszam... Ja...

– Ma mi być przykro? Przykro, że do tego dopuściłem?

– Słucham? Ja... Nie... Uwolnij mnie... Proszę... Chcę tylko wrócić do rodziny. Żona musi odchodzić od zmysłów...

– Ona też chciała...

– Słucham? Proszę... Ja...

Szybkim machnięciem rozwijam teleskopową pałkę, która przecina powietrze głuchym świstem. Nagle wszystko dookoła cichnie. Producent patrzy, jakby nie rozumiał.

– Zapytam tylko raz – rzucam, nie patrząc mu w oczy. – Gdzie trzymacie dziewczyny do filmów z facetem w masce?

– Co? Facetem w masce? Co?!

Wydaje mi się, że nie uderzam mocno, mimo to nagromadzona w końcówce pałki siła wystarcza, żeby w piwnicy rozszedł się dźwięk, jakby sam Tyson uderzył w worek bokserski. Celuję w tkanki miękkie, w mięśnie...

Łysy wyje z bólu.

– Wiesz, kto dzwonił całą noc?! – pytam.

– Proszę! Proszę! Nic nie zrobiłem!

– Dostałeś ciekawe zaproszenie...

– Ja nic nie wiem!

Walę drugi raz. Mocniej. Mięsień uda producenta faluje jak woda, do której ktoś wrzucił cegłę. Kość pod mięsem chyba pękła. Ryk bólu zaczyna mnie przerażać. Boję się, że ktoś usłyszy.

– Co dzieje się w tej szopie, skurwielu?! W Parku Świń! Mówi ci to coś?! Co, do kurwy nędzy, tam robicie?!

– Błagam!

Producent zalewa się rzewnymi łzami, ale nie jest mi go żal. Jestem gotowy zadać kolejny cios. Tym razem chcę złamać kość ramienia. Biorę zamach.

– Nie! Błagam! Powiem, co wiem!

Cofam rękę i zamieniam się w słuch, ale facet nic nie mówi, tylko wciąż jęczy z bólu. Z sekundy na sekundę zaczyna mnie to coraz bardziej irytować. Już podnoszę ramię, gotów, by opadło z karzącą siłą, gdy padają pierwsze słowa.

– Nie wiem, czy ta wasza dziewczyna trafiła na farmę! Naprawdę!

Nic nie mówię. Pozwalam mu zebrać myśli i kontynuować.

– Jest takie miejsce, nigdy tam nie byłem... Czasem dostajemy dziewczyny ze Wschodu, do filmów... Staramy się kręcić szybko, zanim zaczną się wokół kręcić międzynarodowe służby i rodziny... Szukamy desperatek, takich, które prawie nie zadają pytań. Dziewczyny myślą, że jadą do pracy przy sprzątnięciu biurowców, ale te najładniejsze trafiają do nas. Kręcimy z nimi filmy. Dostają jedzenie i dach nad głową. Niektóre nawet godzą się bez przymusu, rozumiesz? Znają życie, wiedzą, że wszędzie jest ciężko... Nikomu nie dzieje się krzywda... Nie znają języka... Same nie przetrwałyby w kraju nawet tygodnia. Spałyby po dworcach... Kręcimy po kilka filmów i dziewczyny jadą dalej, rozumiesz... Dalej na zachód. Tam mają jeszcze lepiej, mają

bogatyh klientów. Przyrzekam ci, że żadna kurwa nie narzeka... Żadna. Problemem są te brzydsze. Kurwa mać, wiedziałem, że kiedyś ta sprawa wróci, żeby ugryźć nas w dupę... Te brzydsze... Kurwa mać... Te brzydsze trafiają na przemiał!

– Przemiał? – Sam dźwięk tego słowa sprawia, że przeszywa mnie dreszcz.

– Tak to nazywamy. To tylko nazwa, dzieciaku. Tylko nazwa... Po prostu sprzedajemy je dalej. Nie jesteśmy jedyną wytwórnią, która tak robi, OK? Te kobiety z czasem stają się tylko ciężarem. Mówię, że nie znają języka ani nic, a do nagrywek już się nie bardzo nadają, bo filmy z nimi zaczynają przypominać pieprzenie dmuchanych lalek. Są już tak przecpane i apatyczne, że oglądając taki film, ludzie czują się lekko dziwnie... Więc skoro naszą klientelę to odrzuca, to sprzedanie ich dalej to ostatni sposób, żeby jakoś na tych dziewczynach zarobić. Nie wiem, co się z nimi dalej dzieje. Niektóre jadą na farmę. Biorą udział w tych filmach dla największych zboków. Nie wiem, czy robią to dobrowolnie, czy jest im wszystko jedno... Naprawdę pojebana rzecz... Ja... Ja nigdy tego nie oglądałem. Znaczący raz widziałem i myślałem, że rzygnę. W branży mówią na to snuff. Pojebane... Naprawdę pojebane...

– Dostałeś zaproszenie...

– Zawsze dostaję! Te skurwiele myślą, że to miły gest... Taki bonus za dziewczyny... Nie oglądałam tego! Te filmy... Te filmy... Myślę, że samo ich zobaczenie cię zmienia... Zachodzi jakaś przemiana... Widziałem... Znam ludzi, którzy to oglądali. Najpierw czuli obrzydzenie... Potem... Potem szukali coraz mocniejszego gówna. To... To chyba jak z narkotykami...

– Czy Natałka...?

– SCARlet? Czy sprzedałem ją na przemiał?! W życiu! Sama do nas przyszła, rozumiesz?! Nie dostaliśmy jej ze Wschodu, mogła w każdej chwili odejść. Nie kłamię! Z tymi skurwielami też pojechała dobrowolnie! Nigdzie jej, kurwa, nie sprzedałem!

– Pojechała z nimi? O czym ty mówisz? Jakimi skurwielami?

– Mówię ci! Tymi od tych filmów! Z Parku Świń! Te dwa pojeby, które przyjeżdżają po dostawy! Znajdziecie ich, to znajdziecie też ją! Ale tak jak mówiłem na początku, nie wiem, czy ostatecznie trafiła na farmę, nie wiem, czy kręcili z nią filmy, nic, kurwa, nie wiem! Wiem, że wsiadła z nimi do auta. Dobrowolnie!

– Gdzie?! Gdzie ich znajdziemy?!

– A skąd ja mam, kurwa, wiedzieć?! Sukinsyny podróżują po całej Europie. Pierdolony obwoźny cyrk.

– Łżesz... Cały czas łżesz... Natałka sama nigdy by...

– Kurwa, klnę się na swoją martwą matkę! Pojechała z ludźmi, co kręcą ten pojebany snuff. Nie wiem, czy wiedziała, że to robią. Ona ciągle ćpała! Może skusili ją

dragami, nie wiem... Nie dało się z nią współpracować, więc jej na siłę nie trzymałem. Była totalnie odklejona, jakbyś gadał z kosmitką. Pewnego dnia jeden z tamtych po prostu wziął ją za rękę i zaprowadził ze sobą do wozu. Nie ingerowałem, bo niby co miałem zrobić? Chciała, to pojechała, ot cała historia...

– Ot cała historia...

– Słuchaj, kurwa! Wyżywasz się na złym gościu. Ja... To, co kręcę... Większość tego, co robię, jest legalna. Kurwa, zrozum... Widzisz, gdzie żyjemy? Widzisz cały ten świat?! Ten pierdolony syf, który nas otacza?! Myślisz, że te dziewczyny miały lepiej tam, skąd pochodzą? Zostawiły je rodziny, społeczeństwo. Niektóre sprzedawały własne dzieci za gram hery! Większość była poszukiwana w swoich krajach! Własne dzieci! Rozumiesz to?! Całe to gówno, którego byłeś świadkiem... Nie zrozumiałeś... Nic byś nie zrozumiał... Myślisz, że to, kurwa, niewiniątka?! Te kobiety?! Miało mi być ich żal?! Patrzyłem na nie z obrzydzeniem! Świat nie jest czarno-biały, człowieku! Wszystko jest szare! Kurwa, szare! Tylko jebane psy widzą świat, jak trzeba! Dla mnie to wszystko był biznes! To tylko biznes!

– Tylko biznes...

– Tak! I to taki, w którym nie można zanurzyć się tylko do połowy! W tej branży albo tarzasz się w gównie po same uszy, albo odpadasz!

– Tylko biznes...

– A ty co?! Zaciąłeś się?! Wypuść mnie stąd, do kurwy nędzy! Sąsiedzi na pewno słyszeli moje krzyki! Pomocy! Ludzie! Pomocy!

Muszę go uciszyć. Pałka znów przecina powietrze, zatrzymując się na miękkim ciełe.

Już nie krzyczy.

Stara się skulić na tyle, na ile pozwalają mu kajdanki. Instynktownie osłania delikatne narządy wewnętrzne, ale to na nic. To ja mam tu przewagę. Metodycznie wymierzam kolejne ciosy. Nawet nie chcę za nie żadnych odpowiedzi. To nie handel...

To najzwyczajniejsza kara.

Nie krzyczy. Już nie krzyczy.

Zamykam oczy. Ramię opada coraz ciężiej i ciężiej. Słyszę, jak producent łapie zdawkowe oddechy pomiędzy kolejnymi razami. Pałka świszczy jak odpalane fajerwerki.

Zdarza się, że przestrelam i z całej siły trafiam w rurę. Głęboki, niemal ogłuszający gong towarzyszy potężnemu bólowi dłoni. Pałka omal nie wylatuje mi na ziemię, ale nie przestaje. Amok trwa.

Nie otwieram oczu. Trafiam.

Raz.

Za.

Razem.

Nagle coś mnie blokuje. Nie mogę wykonać najmniejszego ruchu. Ramię ani drgnie. Zdziwiony otwieram oczy.

– Kurwa mać, młody! Zabijesz go! – krzyczy Szeryf, odciągając mnie na środek piwnicy. – Opanuj się! Słyszysz?!

Ciągnięty coraz dalej, patrzę na półprzytomnego producenta. Na jego nienaturalnie opuchnięte ramiona i powykręcane ciało.

Nie krzyczy.

Wygląda, jakby walczył o każdy kolejny oddech. Jak starzec na łożu śmierci. Pęknięte żebra mogły przebić płuca. Widzę mocno wgiętą rurę. Szeryf rzuca mnie na ziemię.

– Oszalałeś?! Słyszać was aż na dworze!

– On...

– Kurwa, młody... Ale go poturbowałeś... – Szeryf przeskakuje z nogi na nogę, wyraźnie przerażony. – Kurwa mać!

– Ja... On wie... On wie, gdzie ona jest...

– Chodź stąd. – Łapie mnie za ramię i ciągnie w stronę schodów.

– On wie.

Jestem wyczerpany, ciągnięty przez Szeryfa mam wrażenie, że lewituję. Tlen uchodzi ze mnie jak z przebitego balonika. Po chwili gaśnie światło i nie czuję już nic.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Budzę się na kanapie, nie wiedząc, jak się tu znalazłem. W dzieciństwie taka teleportacja zdawała się magiczna. Matka potrafiła przenosić mnie do łóżka, gdy zasypiałem w samochodzie.

Tylko że magia jest ulotna. Szara rzeczywistość uderza jak narkotykowy zjazd. Podnoszę się i opieram plecami o oparcie kanapy. Przede mną siedzi Szeryf, cały skryty w mroku pokoju. Obserwuje mnie w ciszy, powoli sącząc whisky, jakby czekał na wyjaśnienia albo przeprosiny.

Wydaje mi się, że nie mam dla niego ani jednych, ani drugich.

– Na stoliku masz drina – rzuca głosem suchym jak trzask gałęzi. – Łyknij sobie, przyda ci się.

– Dzięki. – Drżącą dłonią podnoszę szklanke do ust. Próbuję upić małego łyka, ale wydaje mi się, że pusty żołądek mi tego nie wybaczy, więc odkładam szklanke z powrotem na stół.

– Co tam zaszło? Miałeś go tylko pilnować...

– Wiem. Sprawy wymknęły się spod kontroli.

– Sprawy wymknęły się spod kontroli... Delikatnie powiedziane. Bardzo, kurwa, delikatnie. Prawie go tam zatłukłeś... Młody, co w ciebie wstąpiło?

– Nie widziałeś tego, co ja... Zresztą, będziesz mnie oceniał? Prawie poderżnąłeś facetowi gardło przy pierwszym spotkaniu. Skurwiel widać ma coś w sobie...

– Nie będę cię oceniał. Po prostu... Po prostu nie spodziewałem się czegoś takiego po... Po tobie...

– Co mam odpowiedzieć? Ja też nie.

– To co widziałeś?

Nie mogę mu powiedzieć. Nie mogę powiedzieć, że jego córka mogła przejść przez to samo piekło, co kobieta w szopie. Nie przeżyłby tego. Nie mogę...

– Widziałem kolejny film. Na żywo...

– Na żywo? Jaki film?

– Ten skurwiel z piwnicy dostał link z zaproszeniem. Na telefon.

– Link?

– Gdy na niego wszedłem, wyświetlił mi się kolejny film. Rysiek, źle to wyglądało... Naprawdę.

Szkło w dłoni Szeryfa zaczyna niepokojąco chrupać. Mam wrażenie, że trzymany przez niego drink zaraz eksploduje, zalewając pokój krwią. Na samą myśl o ostrych odłamkach walających się dookoła robi mi się niedobrze.

– Czy oni... Czy mocno ją skrzywdzili?

– T-tak. To było... było...

– Moja córeczka... Moja mała... – Szeryf cicho łka, odwracając twarz.

– Nie było tam Natalki.

– Nie było? – Podnosi szybko wzrok. Widzę ulgę rozlewającą się po jego twarzy jak balsam. – Jak to?

– Była jakaś inna dziewczyna. Myślę, że młodsza od Natalki...

– Jesteś pewien, że to nie była ona?

Kiwam głową.

– Kamera pokazała jej twarz z bardzo bliska. To był ktoś inny...

– Dzięki Bogu. Ja chyba nie zniosę już więcej... Nie zniosę kolejnego filmu... Co... Co na nim było?

– Gwałt. Bez wątplenia nie była to gra aktorska. Dziewczyna się bała.

– Skurwysyny...

– Jak to oglądałem... Coś we mnie pękło. Nagranie działało się w jakiejś szopie. Szopie pełnej świń... Sam nie wiem... Jak teraz próbuję sobie przypomnieć szczegóły, to mam wrażenie, że to wszystko tylko mi się śniło... Ale to była prawda... To się działało... Stwierdziłem, że muszę coś zrobić, żeby to powstrzymać. Cokolwiek. Nie wiem... Zaatakowałem faceta, jakby to on był na filmie... Uznałem, że skoro to finansował, to jest tak samo winny. Znalazłem pałkę. Poszedłem na dół... Chciałem dowiedzieć się, gdzie jest to miejsce, ta szopa. Gdzie trzymają te wszystkie dziewczyny... W końcu... W końcu Natalka też może tam być... Z nimi.

– Powiedział coś?

– Potwierdził... Powiedział, że może być tam, gdzie było to kręcone. Z tymi ludźmi... To, co mówił, było tak obrzydliwe, że nie wytrzymałem i...

– Cii. Już dobrze. Napij się, młody.

– Poniosło mnie...

– Każdego by poniosło.

– Mogłem go zabić...

– Ale nie zabiłeś. Skurwiel pożyje dość długo, żeby pożałować wszystkiego, co zrobił. I co z tym miejscem? Powiedział, gdzie mogą trzymać Natalkę?

Kręcę przecząco głową.

– Nic nie mówił. Mówił tylko, że ci, co nagrywają to chore gównno, jeżdżą po całej Europie. Nigdzie nie zagrzewają miejsca. Mają na karku służby zajmujące się handlem

ludźmi... Mówił, że Natałka może być z nimi.

– Handlem ludźmi? Ona... Moja mała...

– Tak to wszystko brzmiało. Mówił coś, że kupują dziewczyny ze Wschodu.

– On musi wiedzieć coś więcej. Musi wiedzieć, gdzie ich znaleźć.

– On... On dostał naprawdę mocno. Myślę, że by powiedział...

– Może chciał powiedzieć. Tylko czy przed tym atakiem w ogóle zadałeś jakieś pytanie? Gdy przyszedłem, nie mogłem nawet zaczerpnąć oddechu, a co dopiero wypluć z siebie jakiegokolwiek słowa.

Ciężko mi odpowiedzieć. Niewiele pamiętam z wydarzeń poprzedzających furję. Jest mi wstyd, więc milczę i wmuszam w siebie porcję alkoholu. Whisky rozchodzi się po jamie ustnej, uświadamiając mi, że podczas ataku przegryzłem sobie język. Syczę z bólu, omal się nie oblewając.

– Musi wiedzieć... – Szeryf powtarza sam do siebie.

– Zaczyna świtać, Rysiek. Gość nie wrócił na noc. Jeszcze trochę i nie pojawi się dziś w pracy. Wiesz, co to dla nas znaczy, nie? Zaczną szukać, intensywnie. Może zgłoszą zaginięcie i włączy się policja. Ja sobie z tym nie poradzę, Rysiek...

– Chcesz się wycofać? Teraz?

– Zakończmy to. Załadujmy go do auta i wywieźmy gdzieś do lasu, z zawiązanymi oczami, żeby nie zapamiętał drogi. Może nigdy więcej na niego nie trafimy, kto wie... Może nie będzie konsekwencji tego wszystkiego... To zabrnęło tak daleko...

Szeryf patrzy na mnie z bólem w oczach. Zatrzymuje wzrok na moich trzęsących się dłoniach, więc ze wstydem wciskam je pod uda.

– Przepraszam, młody – rzuca, wbijając wzrok w podłogę, po czym zeruje drinka i wyciera twarz rękawem. – Chyba... Chyba dopiero teraz widzę, jaką krzywdę ci wyrządziłem, wplątując cię w to wszystko. Sam nie wiem, co sobie myślałem. Chyba po prostu nie chciałem być w tym wszystkim osamotniony.

– Rysiek...

– Tylko że tak sobie teraz myślę... We wstydzie nie da się nikomu towarzyszyć, co?

– Wyrzuca z siebie gorzki śmiech. – To jedno z tych uczuć, którymi nie możemy się z nikim podzielić. Wiesz, co czułem przez to, co robi moja córka?

– Ja...

– Wstyd za kogoś jest znacznie gorszy niż ten, któremu sami jesteśmy winni. Bo mamy związane ręce. Nie mam pojęcia, jak to przerwać. Wiesz, jakie to uczucie, gdy wszyscy się z ciebie śmieją? Wymieniają milczące spojrzenia w twojej obecności? Szacunek, na który pracowałem całe życie, poszedł się jebać przez te kilka filmików, które nagrała...

– Rozumiem... Ale, Rysiek, to... To przecież nie była jej wina. Zmusili ją. Ona by nigdy...

– Tak... Teraz to wiem. Tylko że wcześniej nie miałem pewności. Chciałem ją przyprowadzić do domu i ukarać. Skarcić jak niegrzeczne dziecko... Ale teraz wiem, że ona by nigdy sama... Tym bardziej skurwiele muszą za to zapłacić.

Szeryf wstaje i siada obok mnie, oplatając mi kark ramieniem. Czuję olbrzymią presję, jakby to ramię zaraz mogło owinąć mi się wokół szyi.

– Nie można jej tam zostawić, młody. Teraz ma tylko nas... Tylko my znamy prawdę.

– Wiem, ale...

Przez moment patrzymy sobie w oczy. W końcu Szeryf się odsuwa. Odzyskuje przestrzeń.

– Rozumiem, Karol. Tak... Rozumiem – mówi, jakby próbował upewnić sam siebie.

– Nie powinienem cię już prosić o nic więcej. Tak jak mówię, wstyd jest czymś, czym nie możemy się podzielić. – Wyrzuca z siebie salwę gorzkiego śmiechu. – I tak dużo zrobiłeś... Odwiozę cię i sam zajmę się resztą. Facet prędzej czy później wszystko mi wyśpiewa. Nie musisz przy tym być.

Jego ton głosu... Wilgotne oczy... Czuję się, jakby ktoś mi wbił korkociąg w samo serce... I zaczął powoli kręcić.

Wyrzuty sumienia, chęć odwdzięczenia się za wszystko, co mu zawdzięczam, chęć ponownego poczucia ciepła ciała Natałki, gdy wpadniemy sobie w ramiona... Wszystkie te uczucia walczą o dominację nad zimnym strachem przejmującym moje ciało jak trucizna.

Czy tylko na mnie mogą jeszcze liczyć?

– Chcę pomóc, tylko zrozum...

Nagle z dołu dochodzi nas przerażający trzask. Coś zupełnie innego niż dotychczasowe walenie w rurę. Dźwięk, który obaj czujemy w każdym kręgu kręgosłupa, przeszyci strachem. Każda wypełniająca umysł rozterka nagle schodzi na drugi plan. Mam wrażenie, że właśnie wszystko się zawaliło.

– Co to, do cholery, było?! – Szeryf podbiega pod drzwi piwnicy i przytula się do nich całym sobą, nasłuchując.

– To z dołu?

– A skąd indziej? Pewnie, kurwa, że z dołu! Musiał coś tam zrobić. Coś rozwalił?

– Uwolnił się?

– Skąd mam wiedzieć?! Coś tam syczy...

– Syczy?

– Sam posłuchaj.

Uchylamy lekko drzwi i na chwilę zastygamy w ciszy. Z dołu dochodzi nas dziwny szum. Jakbyśmy stali przy wodospadzie...

– Musimy tam zejść – rozkazuje Szeryf, przeczesując w pośpiechu szafki w korytarzu.

– A jak się uwolnił?

– Właśnie dlatego musimy zejść. Trzymaj. – Wciska mi w klatkę pałkę teleskopową. Sam chwyta za gaz pieprzowy.

– Co mam z tym zrobić?

– Bronić się. Jeśli będzie trzeba...

– Rysiek, ja...

– Młody, nie czas na rozterki. Sam go nie zatrzymam. Musisz mi pomóc.

Spoglądamy w mrok piwnicy. Mam wrażenie, że już od dawna po prostu stoimy i patrzymy w dół. Dół, z którego ciągle coś nas nawołuje. Coś chce, żebyśmy schodzili wciąż i wciąż...

Żebyśmy już tam zostali.

* * *

– Schodzimy – rzuca Szeryf, naciągając na oczy czapkę. – Trzymaj się za mną. Tam nie ma się gdzie schować. Jeśli jakimś cudem się wyrwał, to czeka nas szybka konfrontacja.

– Konfrontacja?

– Jak podejdziesz, dostanie gazem. Wtedy spróbuję go unieruchomić. Jak będzie za bardzo agresywny, to zmiękczysz go pałką, OK?

– Zmiękczę? Ja...

– Po prostu rób to, co robiłeś, zanim przyszedłem.

Nie ma czasu na dyskusję. Schodzimy, schodek po schodku. Rysiek trzyma przed sobą wyciągniętą rękę z gazem. Szum na dole robi się coraz głośniejszy. Powietrze jest jakieś dziwne... Dużo bardziej wilgotne. Jakbyśmy przedzierali się przez amazońską dżunglę.

Zejście z ostatniego schodka i chlupot wody po kontakcie buta Szeryfa z podłożem szybko uświadamia nam, co się stało.

– Co, do kurwy... – klnie, przyglądając się czarnej wodzie na podłodze.

– Nic nie widzę. Zapal światło.

– Cała podłoga jest zalana. Musiał... Kurwa mać.

– Co?

– Musiał wyrwać rurę ze ściany.

– J-jak? Przecież...

– Skąd mam wiedzieć?! Chodź!

W głowie wybrzmiewają mi puste brzdęki. Żyły na skroniach rozrywa ciśnienie. Zaciskam pięść, rozumiejąc już, skąd wziął się ten dziwny ból w dłoniach.

Ile razy podczas napadu szału przywaliłem w rurę?

– Idziesz?!

– Czeka! Zapal światło. Chcesz tak brnąć w ciemności?

– Młody, do cholery... Tutaj wszędzie idzie instalacja. Kable biegną po podłodze, wszystko jest na wierzchu. Usmażymy się w tej wodzie jak krewetki, jak tylko pstryknę przełącznikiem. Myśl, do cholery!

Szeryf schodzi, a ja ruszam za nim jak dopiero uczące się chodzić zwierzę podążające za rodzicem. Woda chlupocze nam pod podeszwami. Jest cholernie ślisko... Jeden nieuważny krok i...

– Nie podchodźcie! – wybrzmiewa z ciemności. – Zabiję was, kurwa! Jeden krok i was pozabijam!

Człowiek szybko przywyka do mroku. Potrafi dostrzec kształty w tym, co jeszcze przed chwilą wydawało się niczym więcej jak czarną dziurą bez dna i formy. Wyobraźnia przestaje płatać figle. Nie widzimy już potworów, nie słyszymy dźwięków, których nie ma.

Przed sobą mamy tylko człowieka – na naszą niekorzyść takiego, który miał więcej czasu na aklimatyzację wzroku do braku światła.

Zastygamy w bezruchu.

– Pozabijam!

Producent próbuje przekrzyczeć odgłos tryskającej ze ściany wody. Gdy patrzę sobie na stopy, mam wrażenie, że stoję po kostki w czarnej kawie.

– Puście mnie, to nic się nikomu nie stanie! – Łańcuch kajdan klekocze, anonsując wzbierającą desperację. – Słyszycie?!

– Młody, odsuń się! – Stojący przede mną Szeryf wykonuje krok do tyłu, napierając na mnie plecami. Mało nie przewracam się na zalanej posadzce. – On ma coś w dłoniach! Chyba wziął piłę!

– Piłę?!

– Won! Won mi z drogi! Wychodzę! Słyszycie?! Wychodzę stąd, kurwa!

Wyglądam zza Szeryfa, starając się wyłowić z ciemności zagrożenie. Producent miota się jak szalenciec. We wciąż skutych dłoniach dzierży metalową piłę. Macha nią na boki, jakby opędzał się pochodnią przed sforą wygłodniałych wilków. Dociera do mnie, że bez okularów jest niemal ślepy, nieważne, czy przywykł już do braku światła.

Ślepy i nieobliczalny.

– Nie podchodźcie!

– Młody, spróbuję trafić go gazem. Potem wybijesz mu to z rąk.

– Co?!

Boże... Nie jestem na to gotowy. Wszystkie komórki mojego ciała jęczą ze strachu. Chcę się cofnąć i uciec z powrotem po schodach, zatrzasnąć drzwi, ale boję się, że nas dogoni. Wyobraźnia rysuje mi w głowie potężny piekący ból rozszarpywanych tkanek, gdy moje uciekające plecy dosięgają zębki ręcznej piły.

Nie wiem, czy tu na dole jest mniej tlenu, ale oddychanie zaczyna przychodzić mi z coraz większym trudem. Zaczynam znowu desperacko walczyć o świadomość.

– Puśćcie mnie! Zajebię was! Słyszycie?!

– Młody?! – woła Szeryf, szukając potwierdzenia, ale szczękościsk nie pozwala mi wydobyć z siebie ani jednego słowa.

– Won!

Znowu się cofamy, gwałtownie, jakby Szeryf próbował uskoczyć przed szalejącą dookoła piłą. Z trudem utrzymuję równowagę, jeżdżę po posadzce jak po lodowisku.

Słyszę jęk. Beznadziejny odgłos przypominający miks niewypowiedzianego przekleństwa z błagalną prośbą o pomoc. Potem trzask walącego się regału, spadających narzędzi i słoików. Wszystko wali się jak domino i rozbija o wodę na podłodze.

Potem jest już tylko szum.

Szeryf stoi przede mną nieruchomo jak mur. Kładę mu dłoń na plecach i próbuję zmusić do jakiegokolwiek reakcji, ale ten tylko stoi. Sztywny jak kamienny posąg.

– Rysiek?! Rysiek, co jest?!

Brak reakcji. Mięśnie pleców napięte do granic możliwości. Potrząsam nim ponownie.

– Rysiek! Co się stało?! Nic nie widzę!

– Przewrócił się...

– Co?

– Poślizgnął...

Kajdanki już nie klekoczą. Nikt nie klnie i nie krzyczy. Wszystko ucichło tak nagle, rozmyło się jak zły sen.

Przestaję czuć oparcie w plecach Szeryfa pod dłonią. Rysiek przechodzi kilka kroków i stara się wymacać zawór na ścianie. Po chwili znika również szum lejącej się wody.

Cisza przynosi ulgę dla poszarpanych zmysłów.

– Rysiek? Rysiek, co jest?

– Leć na górę, po latarkę... Jest w szufladzie na prawo od wejścia...

– A on? Dasz sobie radę sam, jeśli...

– Idź po latarkę!

Ton głosu Szeryfa sprawia, że wnętrzości wywalają mi się na drugą stronę. Czuję się jak dziecko skarcone za zadawanie głupich pytań. Odwracam się i pędzę na górę. Wyjście na korytarz, do światła, jest jak zaczerpnięcie oddechu po długim czasie spędzonym pod wodą.

W pośpiechu przetrzepuję szafki w poszukiwaniu latarki. Ta, którą znajduję, jest dokładnie taka, jakiej się spodziewałem. Wielka i ciężka – przypomina bardziej kolejną broń niż przedmiot, który ma mi oświetlać drogę.

Zbiegam w dół, ponownie zanurzając się po kostki w wodzie. Baterie w latarce muszą być na wyczerpaniu, bo strumień światła migocze jak stroboskop. Uderzam w nią kilka razy, po czym kieruję przed siebie.

Wydobynam z mroku sylwetkę Szeryfa siedzącego pod ścianą z twarzą w dłoniach. Jest przemoczony. Cały się trzęsie.

– Rysiek...?

Kieruję światło na zawalony regał. Wszędzie dookoła walają się narzędzia, puszki z farbą i odłamki szkła.

Pod tym wszystkim leży człowiek.

Jego wytrzeszczone, zastygłe w przerażającym grymasie oczy... Twarz zalana połyskującą w świetle latarki krwią.

Krwia rozcieńczającą się w kałuży wody na podłodze.

– Rysiek... – Głos dygocze mi wraz z dłonią. Strumień światła latarki fruwa chaotycznie po całym pomieszczeniu. – Rysiek, on...

– Nie żyje, młody...

Te słowa wybrzmiewają mi w głowie echem jeszcze przez kilka chwil. Próbują znaleźć swoje miejsce wśród porzucanych wszędzie myśli. To przecież niemożliwe...

Czuję, jak siła ulatuje z mięśni. Miękkie nogi nie są w stanie utrzymać reszty ciała. Padam na kolana. Spodnie nasiąkają wodą jak gąbka. Obserwuję powoli zbliżającą się w moją stronę krew...

– Trzeba... Trzeba mu pomóc. Trzeba zadzwonić po...

– Przestań, młody. – Głos Szeryfa przepełniony jest mieszanką smutku i wściekłości.

– Po karetkę... Musimy wezwać karetkę...

– Młody, kurwa mać...

– Pójdę zadzwonić...

– Karol!

Czuję zaciskające się na moich barkach dłonie Szeryfa. Nie mam pojęcia, kiedy do mnie doskoczył. Potrząsa moim ciałem, ale jedyne, co widzę w tym słabym świetle latarki, to inny odcień wody przede mną. Ciemna czerwień pochłania coraz większy obszar, wsiąka mi w materiałowe spodnie...

Wstrząsy o mało nie łamią mi karku. Podnoszę głowę, Szeryf cofa się o krok.

– Skąd... – pytam. – Skąd wiesz, że on...

– Sprawdziłem, młody. Sprawdziłem... Gość jest martwy, rozumiesz?

– Nie oddycha?

– Nie oddycha, nie ma tętna... Kurwa, naprawdę mocno walnął.

– Ale... Ale to nie my?

– O czym ty mówisz?

– On sam...

– Tak, młody... On sam...

Nagle mną rzuca. Próba zwymiotowania kończy się wypluciem odrobiny śliskiej mazi. Szeryf odskakuje, ochlapując mi twarz wodą zmieszaną z krwią. Jakby po tym wszystkim wciąż bał się ubrudzić sobie buty...

– Wezwiemy... – Sплюwam resztką wymiocin, po czym ocieram usta rękawem. Obie dłonie i kolana zanurzone mam w wodzie. Nie podnoszę wzroku, wolę patrzeć w ciemność. – Wezwiemy policję?

– Policję? Kurwa, Karol... Jaką policję?

– To co teraz zrobimy? Nie wiem, co się robi w takich sytuacjach. Co się robi, jak ktoś umrze...

– Wszystko zależy od tego, jak umarł.

– Ale przecież to był wypadek. My nie...

– Tak wytłumaczysz kajdanki na jego rękach? Wypadkiem? Co im powiesz, gdy spytają, co tu robił?

– Ja...

– Pomóż mi wyciągnąć go spod tego wszystkiego. Musimy... Musimy zabrać go w suche miejsce. Może zaciągniemy ciało na schody?

Słowo, którego użył – „ciało” – sprawia, że żołądek znów się wzburza. Brak snu, kolacji, kac i stres, który ciężko opisać. Wiem, że muszę się uspokoić. Uspokoić, inaczej za chwilę dostanę zawału i będziemy tu mieć dwa „ciała”.

Wstaję z kolan, wspierany przez Szeryfa, bo wciąż nie czuję się na siłach, żeby stać na własnych nogach.

– Dasz radę, Karol. Musisz mi z tym pomóc. Jest za ciężki.

Kiwam jedynie głową. Nie ma we mnie żadnych słów, które chciałbym teraz wypowiedzieć. Jedyne, co mogę zrobić, to oddać komuś inicjatywę.

Przyczłapuję do zawalonego regału i powoli zaczynam odgarniać cały ten syf, który spadł wraz z nim. Odkładam latarkę na półkę obok i niemal z zamkniętymi oczami podnoszę i przerzucam ciężkie puszki z farbą na drugi koniec pomieszczenia. Wszystko, oby tylko nie patrzeć...

– Pomóż mi z tym, młody.

Chwytny za zawalony regał i z powrotem ustawiamy go na swoim miejscu. Nie chcę patrzeć pod nogi, ale to silniejsze ode mnie. W tych ciemnościach nie widzę producenta, jedynie wyobraźnia podsuwa mi obraz wytrzeszczonych oczu i lepkiej krwi na poskręcanej w przerażającym grymasie twarzy. Nogi trzęsą mi się jak u nowo narodzonego żrebaka.

Boję się.

– Przetaw latarkę tak, żeby świeciła nam na schody. Będziemy lepiej widzieć, dokąd iść.

Przekręcam strumień światła, markując jednocześnie nasz cel – schody. Podobno gdy mamy jakiś skomplikowany problem, najlepiej jest go sobie rozłożyć na małe, łatwe do wykonania zadania. Gryźć tego słonia po kawałeczku, trawić powoli. Nie myśleć o całości. Przeniesienie zwłok na schody brzmi prosto. Pozbycie się ciała... Już mniej.

– Weźmiesz go czy nie? – poganiam mnie Szeryf, unosząc ręce trupa.

Chwytny za nogi, starając się nie patrzeć na dyndającą w ciemności głowę, i ruszam w stronę schodów. Przeszywa mnie dziwne uczucie, coś jak powtórka filmu mojego własnego życia odtwarzająca się w głowie.

Gdy go tu przenosiliśmy kilka godzin temu, nie miałem pojęcia, że tak naprawdę wkładamy go do trumny.

Dyszząc ze zmęczenia, sadzamy zwłoki na suchych schodach i opieramy o ścianę. Szeryf zdążył zamknąć producentowi oczy, przez co nie wygląda już tak przerażająco. Właściwie to wygląda spokojnie, jakby spał. Woda zmyła też większość krwi z twarzy.

– Co teraz? – pytam, odwracając wzrok ku górze, znowu chcę zaczerpnąć oddechu, wyjść z tej ciasnej trumny.

– Pomóż mi zaciągnąć go do auta.

– Co?

– Karol, naprawdę nie mam siły się powtarzać. – Szeryf z trudem łapie kolejne oddechy. – Musimy się pospieszyć, na dworze się rozjaśnia, zaraz wszyscy zaczną wychodzić do pracy...

– Ja po prostu nie rozumiem, co chcesz zrobić.

– A jak ci się, kurwa, wydaje?! Pozbyć się go. Wywieźć gdzieś daleko stąd. Kurwa mać... Jak najdalej od mojej piwnicy, rozumiesz?!

Czy rozumiem? Dobre pytanie... Staram się, naprawdę się staram myśleć trzeźwo. Przeanalizować wszystkie nasze opcje, ale każdy pojawiający się w głowie pomysł wymazuje się, gdy tylko spojrzę na leżące u mych stóp zwłoki.

– Przepraszam, młody. Nie chcę krzyczeć, ale...

– Dobrze, przenieśmy go.

Szeryf był chyba gotów do dalszych przeprosin, ale nagle się opamiętuje, kiwa głową i ponownie chwyta za rękę producenta.

Droga w górę jest trudniejsza. Mięśnie ud palą coraz mocniej z każdym miniętym stopniem. Nigdy nie chodziłem na siłownię, całej mojej sylwetce daleko jest do kulturysty, ale nogi chyba mam najslabsze. Całe się trzęsą i uginają, jakby kolana nie spełniały swojej funkcji blokującej je w jednej pozycji.

Pierwszy raz upadam, gdy już docieramy na górę. Trup uderza o posadzkę. Potrzebuję przerwy. Szeryf chyba rozumie, bo też wykorzystuje tę chwilę na przywrócenie krążenia do odrętwiałych dłoni. Chyba nigdy nie spodziewałbym się, że ludzkie ciało może być tak ciężkie. Gdy opuszcza je życie, zamienia się w coś na wzór worka z cementem, nie jest w stanie balansować swoim ciężarem, jak na przykład podnoszona przez mężczyznę kobieta. Całe to targanie to katorga.

Z producenta kapie na podłogę, gdy unosimy go po raz drugi. Krew i woda. Wszystko wsiąka w dywanik na korytarzu.

– Szybciej, do samochodu. Zanim tu napaskudzimy. – Szeryf kiwa głową w stronę drzwi, ponaglając mnie.

Chłodne poranne powietrze chłoszcze mnie po twarzy, sprawiając, że czuję się bardzo dziwnie. Przez te kilka godzin, przez tę noc spędzoną w środku, krążąc między piwnicą a starym pokojem Natalki, zapomniałem o świecie zewnętrznym. A ten wcale nie zniknął, poranek jest taki jak zawsze – cichy, spokojny. Nikt nie przejął się tym, co stało się w środku. Nikt nie zauważył, że ze świata ubyło jedno życie.

Jeszcze nikt nie wie...

Jeszcze...

Żywopłot z wyschniętych gałęzi nie daje nam takiej prywatności, jakiej byśmy potrzebowali. Ktoś wścibski mógłby wypatrzeć nas z okna. Obaj garbimy się, jakby przekonani, że skryjemy się za własnymi wysoko uniesionymi barkami, i niesiemy ciało nisko, niemal szurając nim o mokrą trawę. Producent wypada mi z rąk, gdy docieramy do zaparkowanego na podjeździe auta.

Każdy mój mięsień krzyczy z bólu. Staram się rozmasować twarde jak kamień przedramiona, patrząc, jak Szeryf otwiera bagażnik.

– Do środka z nim – rozkazuje.

Upychamy ciało w bagażniku, w pośpiechu, bez szacunku do zmarłych, który od dziecka wpajała mi matka. Wszyscy moi bliscy wyglądali w trumnach tak godnie. Garnitury, eleganckie suknie, dumne twarze...

Producent porno nie ma w sobie nic z tej godności. Twarz we krwi, otwarte usta i powykręcane, desperacko upchnięte do środka kończyny.

Patrzę na niego po raz ostatni. Ze strachem, smutkiem, obrzydzeniem.

Trzask kłapy bagażnika ściąga mnie na ziemię.

– Wracaj do środka – rzuca szeptem Szeryf. – Sam z nim pojedę.

– Dokąd?

– Jeszcze nie wiem. Wracaj i zajmij się krwią na podłodze. W szafkach pod zlewem masz środki czystości. Użyj tego, co robi pianę, to... to powinno dać sobie radę. – Szeryf z przerażeniem patrzy na swoje rozedrgane dłonie, całe umorusane we krwi.

– Rysiek...

– Leć, młody, leć. Ja... Ja muszę pomyśleć.

Jeszcze przez chwilę staram się złapać uciekający wzrok Szeryfa, po czym odwracam się i ruszam w stronę domu. Z ganku słyszę warkot odpalanego silnika. Po chwili zostaję sam na sam z ciszą. Znowu.

Problem odjechał. Warkot silnika zgrał się z hukiem spadającego mi z pleców krzyża. Czuję się jak po jakimś egzaminie, który kompletnie zawałam, ale odczuwam przynajmniej ulgę, że już się skończył. Jestem zbyt wyczerpany, by myśleć o czymś innym, o tym, co może się stać później. Teraz po prostu się cieszę, że producenta nie ma już w piwnicy.

Że zniknął mi z oczu.

* * *

Chemia wypala mi nozdrza. Drażniący zapach kwasu cytrynowego rozchodzi się po całym pomieszczeniu, gdy szoruję upaskudzoną od lepkiej krwi podłogę i dywanik. Chciałem po prostu zwinąć go w rulon i wrzucić do pralki, ale okazał się za duży. Myślę, że Szeryf powinien się go pozbyć, ale i tak trzeba go najpierw wyszorować. Nie zostawić śladów.

Praca jest dobra. Praca pozwala nie myśleć. To dzięki pracy funkcjonowałem tyle lat. Nie myśląc, nie zastanawiając się...

Dochodzę do schodów i odpuszczam. Nie dam rady sam zająć się tym, co jest w piwnicy. Woda musi najpierw wyschnąć, wsiąknąć w beton aż do fundamentów. Część producenta już na zawsze zostanie w tym mieszkaniu, w tej piwnicy.

Korytarz prowadzący do drzwi wejściowych wygląda, jakby nigdy nic się tu nie wydarzyło. Krew zesłała całkowicie, został jedynie drażniący smród chemikaliów –

środku, którego zapach reklamują na opakowaniu jako zapach sycylijskich cytryn. Jeśli pachną w ten sposób, to nigdy nie pojadę na Sycylię...

Po wykonanej robocie wchodzę do salonu i chwytam za stojącą na stoliku whisky. Pociągam łyk, resztę zabieram ze sobą na ganek.

Siadam na schodach, zamykając i otwierając pięści. Staram się rozruszać odrętwiałe palce. Jest chłodno, a ja mam na sobie tylko podkoszulek, ale mi to nie przeszkadza. Strasznie się zgrzałem podczas sprzątnięcia, a whisky i tak rozgrzewa mnie od wewnątrz.

Mija druga godzina, odkąd Szeryf wyjechał. Wyruszył tuż przed godziną szczytu, dociera do mnie, że mogło wydarzyć się wszystko. Wystarczyła drobna stłuczka, jakkolwiek wypadek przy drodze albo rutynowa kontrola, żeby wszystko pogrzebać. Może siedzi już na komisariacie i opowiada o tym, jak zawlekliśmy faceta do piwnicy, o tym, jak biłem go pałką, i o tym, jak pomogłem go potem wcisnąć do bagażnika i zatrzeć ślady.

Dzień zapowiada się wyjątkowo paskudnie. Mam wrażenie, że słońce wcale nie wstało, jakby wstydziło się przebić zza burzowych chmur. Jeszcze nie pada, ale wkrótce zacznie. Przez to, że wciąż jest ciemno, w domkach przy ulicy zaczynają zapalać się światła.

Jedno z nich świeci się też w moim dawnym pokoju. Chłopak, który tam teraz mieszka, zapewne zbiera się do szkoły...

Zdaję sobie sprawę, jak bardzo mu zazdroszczę. Ma zapewne wszystko to, czego nie miałem ja. Ojciec przygotowuje śniadanie, podczas gdy matka pomaga mu się spakować. Wyspał się, więc w szkole będzie skupiony, dostanie dobre oceny... Zadowolony wróci na obiad i resztę dnia spędzi na zabawie.

Pieprzony, farciarski dupek...

Mam ochotę pójść tam i powiedzieć mu, jak wyglądało życie w tym pokoju, zanim się pojawił. Jak to było być mną w tych samych czterech ścianach, które on uznaje za bezpieczną przystań... Będę żądał jakiegoś... Jakiegoś szacunku.

Próba podniesienia dupy ze schodów uświadamia mi, jak bardzo przemawia przeze mnie whisky. Chwytam się barierki i już mam ruszać przed siebie, gdy na podjazd wjeżdża znajomy wóz.

Szeryf wrócił.

Brama skrzypi i zacina się przy otwieraniu, a ja z powrotem siadam i obserwuję. Po chwili światła gasną i silnik milknie. Szeryf siedzi jeszcze przez moment za kierownicą, wlepiając wzrok w pedały. Nie mam pewności, ale wydaje mi się, że gada coś sam do siebie.

Wszyscy prędzej czy później oszalejemy. Nie ma innej drogi.

Wychodzi, trzaska drzwiami i rusza w moją stronę. Wrywa mi z dłoni butelkę i przywiera do niej jak spragnione niemowlę. Pije długo, aż braknie mu tchu. Oczy ma zalane łzami.

Nie mówi, co zrobił z ciałem, a ja nie pytam. Pozwalam mu dalej pić, a sam idę po wiadro, gąbkę i te cuchnące cytrynowe środki do czyszczenia, po czym ruszam w stronę samochodu.

Wnętrze wygląda obrzydliwie. Pełne brudu i krwi. Szoruję długo i zawzięcie, z trudem już zaciskając dłoń, żeby w ogóle utrzymać w niej gąbkę. Gdy kończę, wszystko jest mokre i wyblakłe, ale czyste. Ciężko będzie się pozbyć z samochodu tego kwaśnego odoru chemikaliów. Zapachu sycylijskich cytryn. Nagle czuję, jak ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Odwiozę cię do domu, młody – rzuca Szeryf skruszonym głosem. – To była długa noc.

– Najdłuższa.

– Ja... Ja przepraszam, za wszystko. Chcę, żebyś wiedział, że cokolwiek dziś się wydarzyło, nie było twoją winą. To wszystko ja. To ja to na nas ściągnąłem.

– Co chcesz robić dalej?

– Co?

– Z Natałką.

– Nie wiem. Teraz nie mam do tego głowy. Chcę się tylko przespać. Ale najpierw cię odwiozę.

– Nie możemy tego tak zostawić. Teraz już nie możemy...

– Sam nie wiem, młody. Wszystko się nagle zawaliło... Wskakuj. – Kiwa głową w stronę przednich drzwi. – Odwiozę cię.

Patrzę mu w mętne, pijane oczy. Coś mi mówi, że byłaby to dla nas podróż w jedną stronę.

Prosto do piekła.

– Nie trzeba. Zamówię taksówkę.

– Jesteś pewien?

Kiwam głową. Zostawiam środki czystości w aucie i wchodzę jeszcze do środka po sweter, po czym wzywam sobie transport. Kierowca pojawia się w kilka minut. Żegnam się z Szeryfem lekkim skinieniem, zostawiając go na ganku z butelką, po czym ruszam na podjazd.

– Mam u ciebie dług, młody! – krzyczy za mną. – Spłacę go!

Nie odwracam się.

Wsiadam do auta i zamykam oczy. Gdy je otwieram, jestem już pod domem.

Resztką sił wspinam się na górę i wchodzę do mieszkania. W środku jest ciemno, wszystkie rolety były zasłonięte. Zdejmuję buty i rzucam się na materac. W żołądku zalega mi nieprzyjemny zimny ciężar. Wiem, że wszystko jest nie tak. Stres żżera mnie od środka, ale jestem za słaby, by z nim walczyć. Chcę tylko zamknąć oczy i zasnąć.

W końcu na drugi dzień wszystkie problemy dnia wczorajszego wydają się tak odległe, prawda?

Wystarczy się porządnie wyspać.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Budzę się przy akompaniamencie głodu i pragnienia. Na zegarze czternasta. Mimo nadludzkiego zmęczenia udało mi się przespać tylko nędzne kilka godzin.

Czy wczorajsze problemy zniknęły? Trudno powiedzieć, gdy zasypiasz i budzisz się tego samego dnia. Tylko wycieńczenie sprawia, że mogę nie myśleć o tym, co działo się w nocy. Jestem jakiś zobojętniały, otępiały.

Wstaję i poczłapuję do łazienki. Gdy patrzę w roztrzaskane lustro, mam wrażenie, że przez noc przybyło mi kilkanaście lat i ubyło kilkanaście kilo. Twarze na poszczególnych odłamkach spoglądają na mnie jak parę różnych osobowości. Odkręcam zawór z zimną wodą, na zmianę pijąc i mocząc głowę. Wszystko dookoła wiruje jak na karuzeli, aż muszę przysiąc na krawędzi wanny, żeby nie zemdleć. Gdy czarne plamy przed oczami rozwiewają się jak chmury, wstaję i ruszam do kuchni z nadzieją, że znajdę w lodówce coś do jedzenia.

Smażone, nieosolone jajka ledwo przechodzą mi przez podrażnione gorzałą gardło. Wszystko pijam czarną herbatą, biorę dwie pigułki na ból głowy i przez chwilę mam wrażenie, że udaje mi się zresetować licznik odliczający do zawału.

Resztką sił zmuszam się do prysznica. Zrzucam z siebie sztywne od potu i brudu ubranie, po czym przez chwilę patrzę w lustro na kościste, wymizerowane ciało. Jak szkielet wystawiony w sali od biologii.

Wchodzę pod strugi gorącej wody, a napięte dotąd mięśnie powoli się rozluźniają. Momentalnie uderza mnie schodzący z ciała zapach cytrynowych środków do czyszczenia, przywołując strzępki wspomnień wczorajszej nocy.

Pierdolone sycylijskie cytryny.

Ciągle widzę tę powykręcaną twarz i wybałuszone oczy. Przechodzą mnie zimne dreszcze, jakbym miał gorączkę, i to nawet pomimo tego, że z prysznica leje się wrzątek. Łazienkę spowija para, a ja patrzę na czerwoną wodę spływającą do odpływu – ostatni dowód na to, w czym brałem udział, kończy w kanalizacji. Wyłączam strumień i jeszcze przez chwilę pozostaję pod prysznicem.

Czy to my go zabiliśmy?

Drgawki robią się coraz mocniejsze, wypędzając mnie z łazienki wprost w objęcia cieplej kołdry. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Ścięło mnie tak nagle, że zaczynam zastanawiać się, czy nie złapałem jakiegoś wirusa. Czoło jest rozpalone jak kaloryfer. Nie mam nawet siły wstać i łyknąć czegoś przeciwgorączkowego.

Wynurzenie się spod kołdry jawi mi się teraz jak próba rzucenia się nago w śnieżną zaspę.

Pozostaje tylko spróbować zasnąć.

* * *

Nie mam pojęcia, jak długo trwał ten cykl.

Po każdym przebudzeniu udawałem się do kuchni, wyjadałem wszystko, co byłem w stanie znaleźć, cokolwiek, co było w stanie zapełnić mi żołądek, jak ryż czy makaron, popijałem to dużą ilością wody, łykałem kilka pigułek i kładłem się z powrotem.

Zasłony w pokoju miałem zaciągnięte, ale przedostające się przez nie światło było inne za każdym razem, gdy otwierałem oczy. Raz miętka jasność stojącej za oknem latarni, innym razem przebijające się zza chmur drażniące słońce.

Kompletnie straciłem poczucie czasu, nie patrzyłem ani na godziny, ani na datę. Wszystkie te dni zgmiotły się jak kulka z papieru i wylądowały w koszu.

Ale wszystko ma kiedyś swój koniec.

Patrzę na puste szuflady i dociera do mnie, że cykl się właśnie przełamał i muszę wyjść do sklepu.

Grypopodobne objawy ustąpiły, ale wciąż nie do końca jestem gotów opuścić bezpieczną przystań. Nie chodzi o stan fizyczny, tylko o to, co siedzi w głowie.

Nie czuję się bezpieczny.

Stres buduje się w ciele, powoli zawłaszczając każdy pojedynczy organ. Mam dziwne wrażenie, że tam na zewnątrz...

Gdzieś tam... ktoś chce mnie dopaść.

Krążę chwilę po pokoju, myśląc, czy jestem w stanie coś wykombinować, ale zakupy magicznie się w domu nie pojawiają, a nie zamierzam płacić za dostawę. Zamówienie żarcia też odpada, nie przy tym budzecie.

W końcu głód wygrywa i wychodzę na zewnątrz. Prostuję kołnierz płaszcza, walcząc z porywistym wiatrem, który zdaje się, wywiał z ulic wszystko, co żywe. Tuż przed wejściem do marketu zaglądam do portfela, żeby upewnić się, że coś w nim jeszcze mam.

Czuję nieprzyjemne klucie w żołądku. Potrzebuję roboty – i to na wczoraj. Obiecuję sobie, że jak tylko wrócę, zjem coś porządnego i wychylę kilka kubków kawy, znowu zabiorę się do szukania pracy. Sprawdzę maila, może ktoś odpowiedział chociaż na jedno z setek wysłanych wcześniej CV. Bo przecież muszę coś robić, prawda? Życie nie skończyło się tamtej nocy... W tamtej piwnicy...

Kółka sklepowego wózka skrzypią na wypolerowanej posadzce.

W sklepie kręci się tylko kilka osób, przez co mam wrażenie, że pracownicy patrzą wrogo na każdego wchodzącego. Jakbym zepsuł im dzień swoim głodem.

Krocząc alejkami, czuję na sobie ciężar spojrzenia każdej mijanej osoby i uświadamiam sobie, że dużo lepiej czułbym się w tłumie. Przez ostatnie kilka dni zapomniałem, że moja blizna działa jak magnes na wzrok obcych.

Nie potrafię się skupić. Do koszyka wrzucam co popadnie, tylko po to, żeby zaraz odkładać to z powrotem na półkę. Przy trzecim kółku wokół tych samych regałów przeszywa mnie strach. Mam wrażenie, że coś jest nie tak, tylko jeszcze nie wiem co.

Zatrzymuję się przy pieczywie i ukradkiem zerkam dookoła. Dostrzegam dwóch facetów i zdaję sobie sprawę, że kręcą się po sklepie tak jak ja. Jeden przytrzymał mi drzwi, gdy wchodziłem. Krążę tu od jakichś piętnastu minut, oni też. I ja, i oni mamy puste wózki...

Coś jest nie tak...

Łażą za mną?

Obaj są ostrzyżeni na jeża, dobrze zbudowani i odziani w skórzane kurtki. Wyglądają jak zagubieni w polskim markecie amerykańscy marines. Jeden wysoki, drugi niski. Umysł podpowiada mi, że to tylko paranoja. Że te wszystkie spojrzenia ludzi i tych dwóch kroczących za mną typów dostrzegam tylko dlatego, że się boję. Że w normalnych okolicznościach nigdy nie zwróciłbym na nich uwagi.

Przespałem ostatnie kilka dni. Nie wiem, co działo się od czasu wydarzeń tamtej nocy. Myśl, że ktoś wie, co zaszło w tej piwnicy... że ktoś odnalazł ciało... nie daje mi spokoju.

Ktoś wie?

Muszę się upewnić.

Zaczynam zachowywać się jeszcze dziwniej. Wkładam do koszyka mleko tylko po to, żeby zrobić z nim kółko i odłożyć z powrotem do lodówki. Mięśniaki cały czas depczą mi po piętach. Mam niemal pewność, że nie zamierzają wydać w tym sklepie ani grosza.

Przyspieszam. Wózek skrzypi coraz głośniej, gdy tak chaotycznie krążę między alejkami. Mogą to być znudzeni sklepowi detektywi. Słyszałem o tym zawodzie od Szeryfa. Zwykli ochroniarze krążący po sklepie i patrzący ludziom na ręce, udający, że robią zakupy. W sklepie jest raptem kilka osób, może miałem pecha i wylosowali mnie na swoją ofiarę? Czy to właśnie robią? Sprawdzają, czy nie kradnę? Nawet jeśli, to czemu jest ich dwóch, nie wystarczyłby jeden? Szeryf nieraz opowiadał mi o pracy w ochronie. Nie ma agencji, która nie oszczędzałaby na ludziach. Nikt nie płaciłby za dwóch facetów wykonujących tę samą pracę.

Zamyślony skręcam w kolejną alejkę i uderzam w coś wózkami. Gdy podnoszę głowę, dostrzegam tych dwóch gości.

– Uważaj, kolego – rzuca jeden z nich, ten niższy. – Jechałem prosto, miałem pierwszeństwo. – Obaj zanoszą się sztucznym śmiechem.

Nic nie mówię. Spuszczam głowę i jadę dalej.

– Nawet nie przeprosisz?! – woła drugi prosto w moje plecy.

Szybko ładuję do wózka najpotrzebniejsze produkty, płacę i przyspieszonym krokiem udaję się do wyjścia.

Serce wali mi jak oszalałe. Coś jest nie tak, czuję to. Co chwilę zerkam przez ramię, sprawdzając, czy tamci nie wyszli tuż po mnie, ale nikt nie opuszcza sklepu.

Wskakuję do klatki i wbiegam po schodach, dostając niemałej zadyszki, przez moment walczę z zamkiem, starając się trafić drżącą dłonią w dziurkę od klucza.

Zamykam się w środku.

Upuszczam torbę z zakupami i osuwam się po drzwiach na podłogę. Cały drżę.

– Kurwa mać, Karol... – rzucam pod nosem sam do siebie. – Odklejasz się, skurwielu. Kompletnie się odklejasz...

Daję sobie chwilę na wyrównanie oddechu. Wiem, że to wszystko jest w mojej głowie. Muszę zadzwonić do Szeryfa. Zapytać, co u niego. Najchętniej bym się odciął i nie oglądał go już nigdy więcej, ale muszę czymś wypełnić tę pustkę informacyjną, która nawarstwiła się przez kilka ostatnich dni. Chcę tylko wiedzieć, czy ktoś coś podejrzewa. A może Szeryf sam zgłosił się już na policję... Nie wytrzymał ciśnienia... Czy powiedziałby, że też brałem w tym udział? Wsypałby mnie?

Nie, to niedorzeczne...

Gdyby ktoś coś wiedział, policja już dawno pukałaby do moich drzwi.

A przecież nikt nie puka.

Wstaję i zaczynam wypakowywać zakupy, pochłaniając w locie dwa snickersy. Łyk napoju energetycznego niemal momentalnie łagodzi tępy ból głowy.

Nikt nie puka...

Zaczynam powoli napełniać lodówkę kupionym dobrem. Nagle wewnątrz mieszkania wybrzmiewa głuchym hukiem. Ze strachu zgriatam trzymaną w dłoni puszkę, zalewając blat i spodnie.

Puk. Puk. Puk.

* * *

Krew uderza mi do mózgu, sprawiając, że częściowo tracę równowagę. W głowie tylko jedna myśl: „To Szeryf”.

To musi być Szeryf.

Przecieram spodnie kawałkiem papierowego ręcznika i podchodzę do drzwi. Z duszą na ramieniu zerkam przez judasz.

Kurwa mać!

Odwracam się i przywieram plecami do drzwi, szeroko rozkładając ręce, jakbym próbował je zatarasować własnym ciałem.

To oni.

To ta dwójka, którą widziałem w sklepie.

Pukanie jest głośne i stanowcze. Tak nie puka ktoś, kto przyszedł z przyjacielską wizytą.

– Policja! Proszę otworzyć! Wiemy, że jest pan w środku!

Kurwa mać! Wszystkie najczarniejsze scenariusze, każda wytworzona w głowie paranoiczna myśl... Wszystko to nabiera właśnie materialnych kształtów.

– Halo?! Proszę otworzyć!

Może to wcale nie policja? Co, jeśli otworzę, i jedynym, co zobaczę potem, będzie krew zalewająca mi oczy? Ten gość w sieci, ten cały Administrator... Mówił, że widział adres, z którego się łączyłem. Mówił, że widzi, gdzie mieszkam.

Dotarli do Szeryfa... Co musieli mu zrobić, żeby mnie wydał?

Kurwa mać.

Ponownie zerkam przez judasz. Ten mały się niecierpliwi. Chodzi po klatce jak nabuzowany. Większy z uporem maniaka wali w drzwi.

– Panie Szczygieł, woli pan, żebyśmy wrócili z nakazem?

– Proszę pokazać legitymację! – krzyczę, wpatrując się w wizjer, paląc za sobą możliwość udawania, że nie ma mnie w środku. W końcu i tak śledzili mnie od momentu wyjścia ze sklepu. Mały przestaje krążyć po korytarzu, sięga do kieszeni kurtki i przystawia mi legitykę pod oczy teatralnym ruchem. Wygląda, jakby robił to tysiące razy.

– Widzi pan?

Widzę, ale skąd miałbym wiedzieć, że jest prawdziwa. Nigdy wcześniej nie widziałem na oczy policyjnej legitymacji. Milczę i czekam, może zaraz sobie pójda.

– Rozumiemy, że wybiera pan oficjalną drogę... Dobrze, w takim razie proszę czekać na pismo.

Zastanawiam się, co byłoby lepsze. Ludzie nasłani przez producentów tego chorego porno, żeby mnie sprzątnąć, czy policja chcąc mnie zamknąć za morderstwo?

Jeśli to naprawdę gliniarze, to nie otwierając, wydam się tylko bardziej podejrzany, jeśli to ci drudzy, to zamknięte drzwi tylko odroczą wyrok. Chyba już wszystko mi jedno. Jestem zmęczony. W końcu będę musiał stąd wyjść...

Otwieram w momencie, gdy dwóch gości znajduje się już na końcu korytarza. Zwabieni odgłosem zgrzytającego zamka, odwracają głowy.

– Czyli jednak załatwimy to po ludzku? – pyta niski.

Kiwam głową i robię miejsce w drzwiach. Mam wrażenie, że zablokował mi się przętyk, ślina nie chce spływać w dół. Cały się trzęsę i pocę.

Potencjalni gliniarze wchodzą do środka, nawet na mnie nie patrząc. Szukam wyrzuteń przebijających się spod kurtek, próbuję sprawdzić, czy są uzbrojeni. Obaj mają w dłoniach skórzane teczki – ten mniejszy sporo grubszą od większego. To mi mówi, kto z tej dwójki jest szefem. Cieńsza teczka oznacza, że masz ludzi od papierkowej roboty i nie musisz jej ze sobą taszczyć.

Obaj od wejścia skanują wzrokiem całe wnętrze, ich skrzywione miny mówią mi, że dawno tu nie wietrzyłem. Niski sięga po stojącą na regale butelkę po piwie i zagląda do środka, jakby szukał w niej modelu statku. Dostrzegam zakrwawiony sweter leżący w kącie i czuję, jak staje mi serce.

Kurwa mać! Dlaczego ich tu wpuściłeś, idioto?!

– Mieszka pan sam, panie Szczygieł? – Niski policjant wyrywa mnie z transu. Ma bardzo irytujący głos. Zbyt wysoki, wbijający się w uszy jak wielkie szpitalne igły.

– T-tak. – Ciągle spoglądam na sweter w kącie. Niski podąża za moim wzrokiem, ale chyba go nie dostrzega. Za to patrzy na mnie z jeszcze bardziej podejrzliwą miną.

– Żadnej dziewczyny, nic z tych rzeczy? – kontynuuje. – Nie nudno tak panu?

Nie odpowiadam.

– Chociaż może sam bym chciał znowu tak sobie pożyć... Taka męska jaskinia. Pewnie ma pan czas na granie i chłanie.

– Gdzie pan pracuje? – pyta wyższy, przechadzając się po pokoju.

– Nie pracuję. Mogę spytać, o co chodzi? Po co ta wizyta?

– Pozwoli pan – włącza się mały – że to my będziemy zadawać pytania, dobrze? – Otwiera lodówkę, coraz mniej mi się to podoba. – To z czego pan żyje?

– Z oszczędności. Może pan zamknąć tę lodówkę? Nie rozumiem, czego pan...

– Z oszczędności... Czyli pracował pan?

– A skąd miałbym je niby wziąć?

– Nie musi się pan denerwować, panie Szczygieł. To tylko pytania. Jest pan młody, nie muszę od razu zakładać, że kiedykolwiek pan pracował. W dzisiejszych czasach młodzi potrafią bardzo długo siedzieć na tak zwanym garnuszku, wie pan.

– Nie denerwuję się. Chcę po prostu wiedzieć, czemu panowie zadają te pytania.

– Co pan porabiał przez ostatnie kilka dni? – pyta wysoki.

– Co... Co porabiałem?

Cholera, oni wiedzą. Wszystko wiedzą.

– Poblądł pan, dobrze się pan czuje?

Czuję, jak nogi się pode mną uginają. Zataczam się i siadam na najbliższym krześle. Muszę oddychać. To teraz najważniejsze. Głęboko oddychać.

– Niech pan weźmie kilka głębokich wdechów – rzuca niski z potwornym uśmiechem na twarzy. Wygląda, jakby czuł satysfakcję z tego, że doprowadził mnie do tego stanu. – Krystek, podasz panu szklanekę wody?

– Nie trzeba, nic mi nie jest.

– No nie wiem, ma pan fioletowe usta. Normalnie wygląda pan jak trup.

– Jak... Jak trup? – Mam wrażenie, że gdy wypowiadał to słowo, jego twarz omiótł przelotny uśmiech.

– No.

Wysoki podchodzi do kranu i nalewa mi wody. Biorąc szklanekę do ręki, czuję się, jakbym przegrał jakiś psychologiczny pojedynek. Jakbym przyznał, że się boję.

– Śmiało, niech się pan napije – kontynuuje niski. – Jak nam pan tu zemdleje, to sobie za bardzo nie pogadamy. No... To co pan porabiał, od kiedy odszedł pan z pracy?

– Nic.

– Nic? Nic pan nie robił?

– Szukałem kolejnej.

– I znalazł pan?

– Jeszcze nie.

– Czyli przez ostatnie kilka dni tylko spacerki do sklepu i szukanie pracy?

– Nie. Nie chodziłem do sklepu. Byłem ciągle tutaj... W domu.

– To co pan jadł?

– Miałem zapasy.

– Zapasy, mówi pan. Czy ktoś może potwierdzić, że ostatnie kilka dni spędził pan w domu?

– Nie wiem. Przecież mówiłem, że mieszkam sam.

– No tak... W jakich okolicznościach pożegnał się pan z pracodawcą, można wiedzieć?

Nic nie rozumiem. Te pytania zaczynają coraz bardziej przypominać rozmowę kwalifikacyjną.

– Znudziła mnie.

– Praca pana znudziła?

– Tak. – Chcą mnie dobić, popastwić się chwilę, zanim odpalą prawdziwą bombę. Widzę, że sprawia im to przyjemność. – Po co te wszystkie pytania?

– Bo mamy wrażenie, że nie do końca jest pan z nami szczery, panie Szczygieł. To zapytam jeszcze raz. W jakich okolicznościach odszedł pan z pracy?

Widzę, jak wysoki kręci się niebezpiecznie blisko zakrwawionej bluzy. Minęło kilka dni, teraz ciężko stwierdzić, czy te plamy to krew. Może... Może nie zauważą.

– Zwolnili mnie – odpowiadam zgodnie z prawdą. – O to wam chodzi?

– Chodzi nam o szczerść. Szczerść to podstawa ludzkich relacji. Pan będzie szczerzy z nami, to my będziemy szczerzy z panem. Chyba uczciwy układ, co?

Kiwam głową, po czym biorę kolejny łyk chłodnej wody. Przez trzęsące się dłonie niemal się ochlapuję.

– To za co pan wyleciał, co?

– Za nic.

– No, panie Szczygieł... Proszę współpracować. Po co ja się tu produkuję o szczerści, co?

– Mówię prawdę. Nic nie zrobiłem.

– No tak, każdy zawsze jest niewinny. To może inaczej. Jaki powód panu przedstawiono, co? Już abstrahując od tego, czy pan to zrobił, czy nie.

– Dalej nie rozumiem, po co te pytania. Jestem o coś oskarżony?

– Jeszcze nie. Na razie tylko rozmawiamy. Od tej rozmowy dużo zależy.

Jak to jeszcze nie? O co im chodzi? Czemu mnie tak męczą?

– Więc?

– Nieodpowiednie zachowanie w pracy.

– Konkrety, panie Szczygieł. Konkrety.

– Przeglądanie stron porno – rzucam, spuszcżając głowę. Każdy inny w takich okolicznościach pewnie zalałby się wstydem. Ja pewnie też. Ale nie dziś. Nie po tym, co widziałem.

– I mówi pan, że tego nie robił?

– Tak. Słuchajcie, dość mam tych pytań, więc albo powiecie mi zaraz, o co w tym wszystkim chodzi, albo poproszę was o opuszczenie mojego mieszkania. – Staram się brzmieć stanowczo, ale głos mi się załamuje, przez co po twarzach gliniarzy przelatują uśmieszki politowania.

– Dopływamy już do brzegu, panie Szczygieł, zapewniam pana. Chciałbym tylko usłyszeć, co dokładnie, pana zdaniem, miało miejsce.

– Znalazłem się na tej stronie przypadkiem, a ktoś wykorzystał to, żeby donieść na mnie do szefa i wygryźć mnie jako konkurenta do potencjalnego awansu, OK? Wystarczy wam taka odpowiedź?

– Pan się nie denerwuje, tylko rozmawiamy.

– Ta rozmowa zmierza donikąd.

– Może dla pana. Dla nas, panie Szczygieł... Dla nas zmierza dokładnie tam, gdzie powinna. – Obaj spoglądają po sobie. Wysoki wygląda na znudzonego, jakby

oczekiwał końca tego przesłuchania równie mocno jak ja. Jakby dobrze znał już zakończenie. To niski wygląda, jakby sprawiało mu to sadystyczną przyjemność. – I przez ostatnie kilka dni nie wychodził pan z domu, tak? Nikogo pan nie odwiedzał... Żadnej herbatki u znajomych...

Wysoki odchodzi od bluzy, wcześniej starannie ją sobie oglądając. Zaciągnął się nawet jej zapachem, sprawiając, że coś we mnie pękło.

– Tak. Już mówiłem, że tak. Ile razy mam powtarzać, co? Ostatnio trochę chorowałem. Wyszedłem dopiero dziś rano. Sami widzieliście mnie w sklepie. Ja...

– Znowu ta irytacja w głosie. No dobrze... Skoro pan zdobył się w końcu na tę odrobinę szczerości, to my też możemy. W końcu przyznanie się do oglądania pornosów w pracy wymaga odwagi... Wie pan, czemu tu dziś przyszliśmy, prawda?

Kiwam przecząco głową, ale wiem, że oczy zdradzają prawdę.

– To podsumujmy. Ostatnio zwolniono pana z pracy za oglądanie porno, winą za to obarcza pan jednego z kolegów, który rzekomo na pana doniósł, a przez ostatnie kilka dni nie wychodził pan z domu, tak?

Nie odpowiadam. Słucham dalej. Czekam jak zakuty w dyby na to, aż wiszące nade mną ostrze w końcu opadnie. Podobno głowa zachowuje świadomość jeszcze przez kilka sekund po odcięciu. Jak dobrze upadnie, to skazaniec może przez chwilę przyjrzeć się swojemu bezgłowemu ciału. Zastanawiam się, czy tak się właśnie będę czuł. Jakbym obserwował scenę mojego aresztowania gdzieś z boku. Bo wciąż nie wierzę, że to się dzieje naprawdę...

– A może pan sam chciałby nam coś powiedzieć? Zrzucić z siebie jakiś ciężar?

Spuszczam wzrok. W uszach szumi mi krew, wygłuszając niemal całe otoczenie.

Chyba jestem gotów.

Gotów ponieść konsekwencje.

– Bo widzi pan, ten kolega... – Niski przerywa chwilową ciszę. – Bo myślę, że obaj mówimy tu o Krzysztofie Bacy, więc przestańmy bać się nazwisk... Ostatnio miał pewien wypadek.

– Wypadek? – Podnoszę głowę. O czym oni mówią? Czemu w ogóle stale podnoszą temat pracy, Krzyśka i mojego zwolnienia?

– Lekko mówiąc, bo wypadki to się mogą zdarzyć. A to, co miało miejsce, zdecydowanie nie powinno... Nic pan nie słyszał?

Znowu zaprzeczam głową.

– Pana Bacę napadnięto. Wczoraj, gdy wracał z pracy. Było ciemno, a sprawca miał zasłoniętą twarz. Miał na twarzy szalik i czapkę z daszkiem.

– Czemu mi to mówicie?

– Nie spyta pan nawet, czy coś się koledze stało?

– Nie jesteśmy kolegami.

– Rozumiem. Tak czy owak, pan Baca wskutek napaści nabawił się dwóch złamanych kończyn, mianowicie nóg. Naprawdę paskudne złamania, powiem panu, panie Szczygieł. Jedno było otwarte. W szpitalu pokazali nam zdjęcia, obrzydlistwo. Tą wystającą kością szurał o beton, gdy tak leżał i przyjmował na siebie kolejne kopnięcia. Podobno tak się przytępiła, że biały kostny proszek wciąż leży w tym zaułku, w którym całe zajście miało miejsce. Wygląda jak kreda. Jakby dzieci grały tam sobie w klasy... Da pan wiarę?

– Nie... I nie rozumiem, czemu...

Nic już nie ma sensu. Myśli płaczą się jak słuchawki w kieszeni. Nie chodzi im o producenta... Dlaczego pytają tak o Krzyśka?

Nie znaleźli ciała...

Zaciśnięte gardło wciąż nie pozwala mi przełknąć śliny, obawiam się, że gdybym spróbował coś teraz powiedzieć, cały bym się opluł.

– Widzę, że jednak kolega nie jest panu wcale taki obojętny, panie Szczygieł. Znowu pan pobladł. Wypił pan już całą wodę, może nalejemy panu jeszcze szklanekę?

– Nie... Nie trzeba.

– Jest pan pewien? Naprawdę kiepsko przyjął pan te wieści. Jak mam być szczery, to kiepsko przyjął pan całą tę wizytę. Nie mogę udawać, że nie widzę, jak się pan trzęsie, odkąd przekroczyliśmy próg.

– Nic nie zrobiłem.

– Czyżby?

– To nie ja.

– Czyli idziemy tą drogą?

– Jaką drogą? Tu nie ma kilku dróg. To nie ja.

– Nigdy też nie dzwonił pan do pana Bacy z groźbami?

– Co? Ja...

Wysoki wyjmuje z kieszeni telefon, klika coś palcem, po czym w pokoju rozchodzi się głos.

Mój głos na nagraniu.

„Módl się, żebyśmy już nigdy nie weszli sobie w drogę, skurwielu”.

Nagranie cichnie. Odbiera mi mowę.

– I co pan na to, panie Szczygieł? – pyta niski. – Zdziwiony? Nigdy nie wiemy, czy ktoś, kogo mieliśmy za kumpla, przypadkiem nas nie nagrywa. Dziś trzeba uważać na słowa, nawet gdy się śpiewa pod prysznicem. Kwestia czasu, kiedy coś wypłynie.

– Ja...

– Pan.

– To były tylko... Ja tak tylko powiedziałem... Byłem wściekły.

– Wściekłość lubi szukać ujścia, wie pan... Za życiowe porażki trzeba sobie znaleźć jakiś cel, na którym można by się było wyładować. Ja wiem, że pan nie chciał, ale tak wyszło. Zamknął pan oczy i kopał, a gdy je pan otworzył, to sam był pan w szoku, do czego jest zdolny. W każdym z nas siedzi potwór, panie Szczygieł. Tylko nie każdy jest na tyle głupi, żeby otwierać mu klatkę. No to co?

– Jak to co?

– Pojedziemy na komisariat i machnie nam pan podpis pod przyznaniem się do winy?

– Nie zrobiłem tego. Niczego... Niczego wam nie podpiszę.

– Panie Szczygieł, sąd przychylniej patrzy na sprawców, którzy się przyznali. Serio chce pan próbować szczęścia?

– Szczęścia? Jakiego szczęścia? – Głos mi męźnieje. Zaczynam myśleć trzeźwiej, widzieć jaśniej. Nic nie wiedzą o producencie. Nie z jego powodu tu są. Wstaję z krzesła. – To wy chyba szukacie tu szczęścia.

– Słucham?

– Liczycie, że przyznam się do czegoś, czego nie zrobiłem, bo trochę mnie tu ponaciskaliście? Macie w ogóle jakieś dowody?

– Mamy motyw, mamy nagranie z groźbą, to wystarczy, żeby...

– No to spróbujcie mnie na podstawie tego oskarżyć. Gdyby to wystarczyło, w ogóle byście ze mną nie rozmawiali, tylko skulibyście mnie jeszcze tam, w sklepie.

– Młody z pana chłopak. Chcieliśmy być w porządku i trochę dać panu fory. Przykro nam, że pan tego nie widzi.

– Myślę, że czas już na was. – Otwieram drzwi.

– Dostanie pan wezwanie do sądu. Nie ucieknie pan od tego, wie pan?

– Będę czekał.

Obaj patrzą po sobie znudzonymi spojrzeniami, jakby moje brawurowe reakcje nie robiły na nich najmniejszego wrażenia, po czym udają się w stronę wyjścia. Niski, stojąc już na klatce, wręcza mi niewielki kartonik – wizytówkę z numerem telefonu.

Aspirant Grzegorz Granit.

– Jak już stres i paranoja zeżrą pana od środka i będzie się pan chciał w końcu uwolnić. Proszę zadzwonić. Czasem lepiej szczerze pogadać, niż zrobić coś głupiego.

Nie odpowiadam. Odprowadzam ich wzrokiem aż do schodów, po czym zamykam drzwi.

Dopijam resztkę napoju energetycznego stojącego na blacie, żalując, że nie mam wódki. Myślę, że ograniczyłaby trochę to irytujące drżenie rąk, którego nie potrafię się pozbyć, od kiedy wstałem z łóżka.

Siadam na krześle, chowając twarz w dłoniach.

Szeryf...

Co on najlepszego zrobił?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Strach to naprawdę paskudne uczucie. Niematerialne „coś”, które sami tworzymy, tylko po to, by przejęło nad nami kontrolę. Wychodowane na naszej piersi monstrum, powoli konsumujące każdą pozytywną myśl.

Teraz to „coś” robi sobie skakankę z moich jelit podczas jazdy autobusem do dobrze znanego mi przystanku.

Deszcz rozmywa na szybie kolejne krople. Na zewnątrz ciemnica, w okolicy niemal brak latarni. Gdy rozglądam się po wnętrzu autobusu, widzę jedynie kilka zmęczonych pracą twarzy, wracających do domu, by coś zjeść i się przespać przed kolejnym budzikiem – wystrzałem z pistoletu, zwiastującym ponowne rozpoczęcie wyścigu. Życie, które utraciłem...

Czy naprawdę za tym tęsknię?

Nagły wstrząs daje mi znać, że to już tu. Czas wysiadać.

Narzucam na głowę kaptur skórzanej kurtki i z rękoma w kieszeni przemierzam ulicę, starając się nie rzucać w oczy potencjalnym gapiom w oknach.

Choć cały czas wbijam wzrok w chodnik przed sobą, to i tak serce staje mi na ułamek sekundy, gdy mijam swój dawny dom. Nie mogę się powstrzymać, żeby nie zajrzeć w okno. Rodzina w środku chyba szykuje się właśnie do kolacji. Matka z ojcem krzątają się po kuchni, a mały siedzi przy stole z nosem w telefonie.

Docieram pod bramę Szeryfa i wciskam przycisk domofonu, licząc na to, że nie ma dziś nocnej zmiany. Uznałem, że w najgorszym wypadku schowam się pod zadaszeniem na przystanku i będę tu czekał, aż się pojawi. Firanka lekko faluje w parterowym oknie, po chwili słychać bzyczenie otwieranej furtki. Wchodzę do środka.

Tym razem to ja będę pukał w mroku.

I nie przynoszę ze sobą dobrych wieści.

Walę w drzwi, ale te nie otwierają się zbyt szybko. Dopiero po minucie ze środka wyłania się sylwetka Szeryfa. Jest ciemno, więc nie widzę jego twarzy, ale ewidentnie go czuję. Chyba jego ostatnie dni nie różniły się specjalnie od moich.

– Młody? – pyta trochę apatycznym głosem. – Nie spodziewałem się, że jeszcze tu kiedyś wrócisz. Myślałem, że wiesz, będziesz na mnie zły...

Zły? Targają mną teraz różne emocje, ale czy jestem na niego zły? Jak matka na dziecko, które rozbiło jej ulubiony wazon, chociaż tyle razy prosiła, by nie biegało po

pokoju? Nie, nie jestem zły. W tym mieszkaniu zmarł człowiek, którego wcześniej niemal zakatowałem teleskopową pałką.

Nie wiem, co czuję, ale to nie złość.

– Nie planowałem przychodzić, ale chcę pogadać. Mogę wejść?

– Pewnie.

Robi mi miejsce w drzwiach. Na wejściu od razu uderza mnie ten drażniący zapach chemii, którą czyściłem podłogę. Coś jak cytryny gotowane w kwasie. Wracają wspomnienia krwi kapiącej z łysej czaszki... Upychania kończyn w bagażniku... Wnętrznosci obijają mi się pod żebrami jak metalowe kulki we flipperze.

– Chcesz drinka? – Szeryf zerka do kuchni, zapewne sprawdzając, czy ma coś, czym mógłby podeprzeć to pytanie.

Kiwam twierdząco głową, chociaż chciałem skończyć z tym codziennym pić. Zaraz po zwolnieniu z pracy robiłem to, by zabić nudę, ale teraz boję się, że codziennie będę potrzebował porcji alkoholu, żeby tylko jakoś radzić sobie z tym, co siedzi w głowie. Szeryf wręcza mi szklankę, pachnie dziwnie, jak lekko słodkawa wódka.

– Mam tylko rum, może być?

Nigdy nie piłem rumu. Ponownie kiwam głową, po czym biorę małego łyka. Przyjemnie grzeje w przełyk. Wchodzimy do salonu. Widzę skotłowaną pościel na kanapie, którą Szeryf w pośpiechu odkłada na bok.

– Siadaj, już robię miejsce – rzuca, składając kołdrę. – Ostatnio sypiam na dole, nie chodzę na górę do sypialni.

– Czemu?

– Nieważne...

Napieram pytającym wzrokiem, w końcu Szeryf odpowiada.

– Sam nie wiem... Boję się, że ktoś wejdzie do mieszkania i się do mnie podkradnie. To głupie, ale wiesz, jak mówią: „Facet śpiący z maczetą jest głupi każdej nocy poza jedną”. – Rysiek wydobywa z siebie gorzki, bezsilny śmiech. – Śpiąc tu, mogę czuć, wszystko usłyszę.

Widzę, że nie tylko mnie ściga nieustanna paranoja po wydarzeniach tamtej nocy. Przeszywa mnie paskudne przecucie, że już nigdy nie zasnę jak kiedyś – jak niewinne dziecko.

– A myślisz, że ktoś mógłby się podkraść? – pytam, zaglądając na dno szklanki.

– Sam nie wiem... Po prostu... Nieważne. To czemu przyszedłeś? Zjesz coś?

– Nie jestem głodny.

– Zrobię kanapki.

– Nie trzeba.

– Pewnie chcesz pogadać o tym, co się stało? Spoko, dla mnie dobrze. Pogadajmy, wyrzucmy to z siebie.

– Co zrobiłeś, Rysiek? – pytam, kończąc już z grą wstępną. Złość buzuje we krwi.

– Hm? W jakim sensie?

– Tylko tobie powiedziałem, czemu zwolnili mnie z pracy. Co zrobiłeś?

– Nie wiem, o czym mówisz, młody. Wszystko w porządku?

– Nie, nic nie jest w porządku. Miałem dziś wizytę dwóch policjantów. Przesłuchiwali mnie.

– Chryste... Podejrzewają coś?

– Nie mówię o tym, co stało się tamtej nocy, Rysiek... Co zrobiłeś Krzyškowi? Facetowi, z którym pracowałem. Tym, o którym ci opowiedziałem, że przez niego mnie zwolnili.

Szeryf nalewa sobie porcję rumu, po czym zupełnie pozbawiony sił opada na fotel jak wór z węglem.

– Nic na ciebie nie mają, młody – rzuca po chwili smutnym głosem, kręcąc ciecżą w szklance. – Straszą tylko.

– Czyli to ty?

– Czy to ważne? Po co ci to wiedzieć?

– Bo podejrzewają mnie. Chcą mnie wsadzić, rozumiesz? Pomyślałeś o tym?

– Przecież mówię, że nic nie mają. Uspokój się.

– Mają nagranie. Kurwa mać, czemu to zrobiłeś? Przecież o nic cię nie prosiłem!

– Bo nie musiałeś... Spłacałem dług, to wszystko. Nie chciałem nawet, żebyś się o tym dowiedział. To sprawa honoru, nic więcej. Czekaj... Jakie nagranie?

– Jak mu grożę! Przez telefon. Mają wszystko nagrane, każde pierdolone słowo.

– Grozisz, o proszę... A to ci miła niespodzianka.

– Miła niespodzianka, o czym ty mówisz?

– A choćby o tym, że nie miałem cię za gościa potrafiącego wziąć sprawy w swoje ręce. Byłeś... Byłeś jak taka reklamówka na chodniku. Popychany przez wiatr na wszystkie strony. Gość wbił ci nóż w plecy, a ty po prostu to zaakceptowałeś? W życiu trzeba umieć pokazać skurwielom, że nie jest się osobą, z którą można pogrywać, rozumiesz? I ja mu to pokazałem, w twoim imieniu...

– Potrafię brać sprawy w swoje ręce. Nie musiałeś tego robić.

– Nie musiałem, ale chciałem. Myśl sobie, co chcesz, ale wychowałeś się praktycznie w moim domu. Nawet jeśli nie chcesz mnie teraz znać, to nigdy nie pozwolę, żeby jakiś skurwiel z tobą pogrywał.

– Nie jesteś moim ojcem, nic mi nie jesteś dłużny. Nie musisz się o mnie troszczyć, rozumiesz? Takiej troski mi nie trzeba! Połamałeś mu nogi, Rysiek. Co jest, kurwa,

z tobą nie tak?!

– Nie. To prawda, nie jestem twoim ojcem. Duuużo mi do niego brakuje. Twój ojciec był pierdolonym świrem.

– Był chory!

– Chory... – Szeryf parska lekceważąco, po czym zeruje drinka.

– Co?

– Tak ci tylko wmawiała matka.

– Nie rozumiem...

– Nie był chory, Karol. Był pierdolonym ćpunem. To, co wtedy ci zrobił... Kurwa mać, w życiu nie zapomnę tej nocy.

– O czym ty mówisz?

– To twoja matka była chora, że tak długo przy nim trwała... – Szeryf patrzy mi w oczy. Czuję, jak zbierają się w nich łzy. – Słuchaj, Karol, nie chcę w to brnąć. Przepraszam, że w ogóle coś takiego powiedziałem, dobra?

– Nie, nie dobra. Powiedz, co miałeś na myśli.

– Wiesz, jak to jest z przeszłością, młody... Słyszałem kiedyś, że przeszłość tak naprawdę nie istnieje. Przez to, że każdy pamięta ją inaczej, tak jak chce pamiętać... Moje gadanie nie ma tu najmniejszego sensu. Pamiętaj ją, jak chcesz, i wybacz starcowi pierdolenie głupot. A co do twojego kolegi, to niczym się nie przejmuj. Nie mają dowodów, które wskazywałyby na ciebie. Nawet jeśli wezwą cię jeszcze na przesłuchanie, to nigdy nie postawią zarzutów. Nawet jeśli coś mu tam gadałeś przez telefon. Słowa to tylko słowa.

– Zmieniasz temat...

– Chcesz jeszcze rumu? Ostatnio znika mi butelka za butelką, tracę orientację, nie wiem, co się ze mną dzieje. Do tego twojego kolegi też poszedłem po kilku głębszych.

Przez chwilę milczę, stercząc jak kołek z obrażoną miną, ale w końcu odpuszczam. Postanawiam puścić mimo uszu uwagi dotyczące rodziców. Wiem, że są terytoria, w które lepiej się nie zapuszczać. Nie rozkopuje się grobów. I po prostu chcę się wygadać.

– Mam tak samo... – rzucam. – Jak się trzymasz? Wiesz, po tym, co się stało...

– Staram się myśleć o córce. Że to wszystko dla niej. To dużo ułatwia. Myślisz jeszcze o niej, Karol? Czy już ją przekreśliłeś?

– Przekreśliłem? O czym ty...

– Fakt, że siedzisz w tym salonie, odpala mi w głowie tyle wspomnień, wiesz... OK, urosłeś i w ogóle, ale twarz wciąż masz tę samą i gdy tu jesteś, to widzę też ją. Jak gracie tu w te gierki na telewizorze, śmiejecie się i latacie po podwórku. Wiesz, że gdy cię nie było, ciągle o tobie gadała? Miała... Miała w pokoju taki zeszyt. Pamiętnik.

Wiem, że nie powinienem i jak to dziś wspominam, to mi wstyd, ale do niego zaglądałem. Człowiek chciał wiedzieć, co siedzi w głowie jego córeczki. Wiesz, z chłopakami jest prościej. Z dziewczynkami bardzo trudno się dogadać, zwłaszcza jak trochę podrosną, bo wcześniej to dużej różnicy nie ma... No i w tym zeszytce snuła różne plany. Miała zaplanowany wasz ślub. – Szeryf uśmiecha się, zaglądając na suche dno szklanki, jakby wyświetlał mu się tam pokaz slajdów złożony ze wspomnień. – Wszystko miała, mówię ci. I jakie kwiaty będą na stolikach, i jaka suknia, jaki taniec... Wszystko.

– Była tylko dzieckiem.

– Wiem. Ale wtedy cieszyła mnie myśl, że tak naprawdę może wyglądać przyszłość. Dobre zakończenie. I dla niej. I dla ciebie. To były trudne czasy, młody...

Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć. Gadanie Szeryfa coraz bardziej przypomina melancholijną pijacką gadkę, choć skłamałbym, że nie czuję dziwnego ciepła w brzuchu. Nie jestem pewien, czy to rum, czy fakt, że Natalka na jakimś etapie życia myślała o mnie w ten sposób. Nawet jeśli było to tak dawno temu...

– Ja jej nie skreśliłem, Karol. To wciąż moja mała córeczka. Dlatego jutro tam idę.

– Też jej nie skreśliłem, też chciałbym, żeby wróciła do domu... Czekać. Dokąd idziesz?

– Zostawiłeś tu telefon... Tego faceta.

Nagle czuję, jakby ktoś położył mi na klatce piersiowej olbrzymi ciężar. Ten telefon ciągle tu był... Czy przychodziły kolejne SMS-y...? Kolejne zaproszenia? Może ktoś dzwonił?

Ktoś szukał.

– Telefon... Co z nim? Nie zabrałeś go razem z ciałem? Myślałem, że...

– Nie. Był na górze, w pokoju Natalki. Obudził mnie wczorajszej nocy.

– Obudził?

– Tak.

– Dalej tam jest? Musimy się go pozbyć, słyszysz?! Można go namierzyć, po GPS, kurwa mać...

– Spokojnie, młody. Rozładował się już i wyłączył. Zaraz po tym się go pozbyłem.

– Ktoś dzwonił?

– Tak. Odebrałem.

– Jak to odebrałeś?!

– Zaskoczył mnie. Na co dzień nie zaglądam do jej pokoju, wiesz, jakoś skręca mnie w żołądku na widok tej pustki i pojedynczych rzeczy, których nie zabrała... No i telefon zaczął dzwonić w środku nocy... Nocy, której trochę sobie popiłem. Dzwonek wyrwał mnie ze snu i przez chwilę poczułem taką radość, że... Kurwa mać. – Oczy

Szeryfa pokrywa tafla szkła. – Pomyślałem, że wróciła. Że jest w pokoju. Tak biegłem, że potknąłem się na schodach i rozjechałem sobie ramię, patrz. – Demonstruje mi paskudne otarcie na przedramieniu. – Wpadłem przez drzwi, krzycząc i szlochając jej imię, tylko po to, żeby zorientować się, że w środku nikogo nie ma. To nie jej telefon dzwonił, tylko tego... tego... Ten, który zostawiłeś na biurku. W środku hulało takie przeraźliwe zimno, zostawiłeś wtedy otwarte okno, do tego ta cała pustka i chłód... Kompletnie się załamałem. Wiem, że to głupie, bo niby czemu miałyby wrócić, ale gdy odkryłem, że jej nie ma, byłem tak rozczarowany, że po prostu odebrałem i chciałem wygarnąć tym skurwielom po drugiej stronie wszystko, co o nich myślę. Alkohol pewnie też zrobił swoje.

– I co? Kto dzwonił? – pytam, niemal krztusząc się słowami.

– Nie mam pojęcia, ale miał taki uprzejmy głos... Od razu zbiło mnie to z tropu, więc zamiast się na niego wydrzeć, jak planowałem, nic nie mówiłem, tylko słuchałem.

– Co mówił?

– Coś o jakimś przekazaniu. Że potrzebuje teraz tych dwóch, które mu obiecałem, i że wpadnie za dwa dni, w sensie jutro, pod biuro po odbiór. O dwudziestej drugiej. Mówił, że przyjadą białym oplem, brygadówką.

– Co? I tyle?

– Tak.

– Odpowiedziałeś coś?

– Że OK.

– Że OK?

– Tak. Mam zamiar tam pojechać i zobaczyć, co się tam wydarzy. Pewnie chodzi o to biuro, w którym byliśmy. Jeśli o jakieś inne, to trudno... To na razie mój jedyny trop w sprawie Natalki.

– Trop? Mówisz serio?

– A masz jakiś lepszy pomysł? Dziewczyna przepadła jak kamień w wodę...

Przepadła jak kamień w wodę... Te słowa sprawiają, że na wierzch wypływa myśl, która sprawia, że nie widzę sensu dalej walczyć. Dalej szukać... Myśl, którą starałem się trzymać w ryzach, ale od chwili zobaczenia tego przekłętego filmu z Parku Świń nie daje mi spokoju.

Nie wierzę, że Natalka wciąż żyje.

Choć nigdy mu tego nie powiem.

– Więc tak, jutro jadę. Pogadam sobie z kolejnymi skurwielami.

– Rysiek...

– Daj spokój, młody. Już postanowione.

- Chcę pojechać z tobą.
- Co? Serio?
- Tak.

Wiem, że nie powinienem. Wiem, że jedyną rozsądną drogą byłoby zadzwonić na policję i oddać Szeryfa w ręce tego kurdupla, który nawiedził mnie dziś w mieszkaniu, ale nie potrafię. Jest coś dziwnego w patrzeniu na rozbitego człowieka, którego, dorastając, miałeś niemal za Supermana. A teraz widzisz te wszystkie pęknięcia i chcesz je posklejać tylko po to, żeby samemu poczuć się lepiej. Udowodnić sobie, że im dalej w życie, tym wcale nie będzie gorzej. Inaczej można byłoby poddać się już teraz, w wieku dwudziestu paru lat.

- Nie wiem, czy chcę cię w to ciągnąć, młody. Jak sam wiesz, ostatnio nie skończyło się to najlepiej.

- To prawda, nie skończyło. I już do końca życia będziemy mieli rozjebaną psychikę, jeśli odpuścimy w tym momencie. Ja... Ja muszę wiedzieć, że to nie było na marne, Rysiek. A jedyną rzeczą, która sprawi, że to pocuję, będzie sprowadzenie Natalki do domu.

- Mam tak samo, młody. Nie chcę myśleć, że to, co wydarzyło się tamtej nocy, było bez celu.

- Ale zrobimy to po mojemu.

- W sensie?

- Nie wiem, co planowałeś, ale musisz z tego zrezygnować. Nikt nie ucierpi, nikt nie dostanie w głowę i nikt nie znajdzie się w tej piwnicy. Dosyć tego.

- Karol...

- Poczekamy na tych, co dzwonili, i pojedziemy za nimi. Zobaczymy, dokąd nas doprowadzą.

- Nawet nie wiemy, co to za ludzie. Będziemy musieli zadać kilka pytań, inaczej...

- Ja się chyba domyślam, co to za ludzie i czego chcą. Producent wyjawiał mi to i owo, zanim... Zanim...

Obaj sięgamy po drinki, jak na rozkaz. Nie wiem, czy to nie ostatni toast za duszę tego łysego skurwiela...

- Sliders Production handlowało kobietami, tymi, których już nie potrzebowali.

- Coś wspominałeś.

- Kobiety jechały gdzieś dalej i kręcone z nimi były kolejne filmy. Między innymi ten, który widziałem. Ten, który sprawił, że poszedłem na dół... Może ci, co przyjadą jutro, odbierają te kobiety? Wtedy moglibyśmy pojechać za nimi, zobaczyć, gdzie trafiają.

– Ale przecież nie będzie żadnych kobiet do przekazania. To ze mną się umówili, nie pamiętasz?

– Mówił, że zbierają dziewczyny z różnych wytwórni... Może Sliders nie będzie jedyna na ich liście tego dnia...

– Młody?

– Co?

– Co było na tym filmie? Wtedy nie chciałeś powiedzieć... Co takiego tam zobaczyłeś?

– Sam nie wiem... Ale poszli tam o krok dalej niż wcześniej. Była przemoc. Okaleczanie. Tego... Tego nie da się zagrać.

– Chryste...

– Obaj chcemy szczęśliwego zakończenia. Chcemy, żeby wróciła.

– Tak... Gdziekolwiek jest.

Uświadamiam sobie, że czuję wyrzuty sumienia, że nic wtedy nie zrobiłem. Siedząc przed ekranem komputera. Nie zrobiłem nic, żeby przerwać to szaleństwo. Chyba chcę jakoś załagodzić poczucie winy, sprawdzić, o co z tym wszystkim chodzi, być może nie dopuścić do tego, by na przemiał trafiły kolejne dziewczyny. Dlatego chcę z nim pojechać. Nawet jeśli nie wierzę, że Natalkę wciąż można sprowadzić do domu...

Szeryf wstaje, wyciąga kolejną butelkę i już wiem, że reszta naszej rozmowy będzie tylko rozmazaną plamą w pamięci. Nie odmawiam, nie kręcę nosem, wystawiam dłoń z pustą szklanką, wyglądając jak czekające na karmienie pisklę.

Cokolwiek.

Oby tylko nie myśleć o tamtej nocy.

Nocy w Parku Świń.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kac powoli schodzi, ustępując miejsca głodowi.

Ssie mnie w żołądku, jestem niewyspany i zmęczony, tym większe pocieszenie odnajduję w skupionej twarzy Szeryfa. Cieszę się, że chociaż jeden z nas zachowuje pozory kontroli nad sytuacją.

Tkwimy w aucie, na parkingu przed blokiem robiącym za siedzibę Sliders Production, a ja przeżywam kolejne déj à vu. Mam wrażenie, że przez ostatni tydzień moje życie kręci się wokół tych samych miejsc i twarzy. Chociaż gdy się głębiej zastanowić, czy nie zawsze tak było? Mój świat zamykał się na trasie łączącej moją ciasną kawalerkę z równie ciasnym biurem.

Nie tak dawno temu, na tym samym parkingu, skręcałem się ze strachu przed myślą, żeby wejść na górę i zapytać o Natalkę. Wiele z tamtego strachu gdzieś już uleciało, a jego miejsce zajęła apatia i jakieś dziwne uczucie fatalizmu, jakbym leciał z wiatrem. Jak ta reklamówka na chodniku...

– Burczy ci w żołądku. Stresujesz się czy się nie najadłeś? – pyta Szeryf, przerywając ciszę. Na późne śniadanie przygotował nam jajka i kanapki. Wypiłem też morze kawy.

– Śniadanie się nie przyjęło.

– Wy, młodzi, macie jakieś delikatniejsze żołądki, wiesz? Ta cała chemia, którą napychano was od dziecka, zbiera swoje żniwo. Moje pokolenie przetrawi nawet szkło i gwoździe. Natalkę starałem się odżywiać, jak należy, ale twoi starzy... Jakoś nigdy specjalnie nie wnikali w to, co tam jesz. Pamiętam, całe dzieciństwo piłeś te słodzone gówna, od których powinieneś się teraz świecić w ciemności.

– Widzę, że na światło dzienne wychodzi coraz więcej nowych faktów dotyczących moich rodziców.

– Nie byli tu wyjątkiem. Większość nie patrzyła, co się daje dzieciom. Nachalne reklamy wmówiły wszystkim, że zrobione z samego cukru płatki śniadaniowe to najlepszy start dnia dla naszych grzdyli. Jedyne, co potem z tego wynikło, to choroby...

– Wciąż nie rozwinąłeś tego, co mówiłeś o moim ojcu...

– Co? – Szeryf nerwowo drapie się po karku.

– Chcę, żebyś powiedział mi więcej. Co miałeś wtedy na myśli?

– Cholera, jesteś pewien, że chcesz o tym gadać?

– Tak.

– Nie miej mi tego za złe, młody. Czasem tak mam, że powiem trochę za dużo.

– Brał?

Szeryf kiwa głową.

– Od kiedy pamiętam.

– Matka zawsze mówiła, że miał schizofrenię.

– Kto wie, może i potem faktycznie miał. Nie wiem. Wiem jedynie, że swego czasu naprawdę solidnie ładował. I to nie takie czyściutki białe tabletki robione w rękawiczkach przez jakichś laborantów, które biorą dziś młodzi. Ale trzeba też mu oddać, że nie załapał się do tej najgorszej fali narkomanów, która wachała butapren albo smażyła proszek...

– Smażyła proszek?

– Proszek do prania, nazywało się to IXI... Jak byłem młody, to miałem wielu znajomków, którzy to brali. Zbierali się w małe grupki, zamykali w kuchni, najlepiej, jak miała drzwi, wiesz, żeby opary nie uciekały, i wysypywali proszek na rozgrzaną patelnię. Jak się tego jeden z drugim nawdychał, to potem nie było z nim kontaktu. Z tego, co opowiadali, to wpierdol od matki za rozjebaną patelnię był niewielką ceną za odlot. No, ale mówię, twój ojciec miał bardziej wyrafinowany gust. Ładował kompot...

– Co to było?

– Polska hera, choć heroiny to tam nie było ani grama. Ładował w żyły coś, co wyglądało jak brudna woda... Robione ze słomy makowej gdzieś w piwnicach według przepisu krążącego po ludziach jak miejska legenda, przez gości, którym nie dałbym ugotować sobie nawet wody na herbatę, a co dopiero czegoś, czym napełnię strzykawkę.

– Ty nie brałeś?

– Nigdy. – Szeryf odpala papierosa, wydechając za okno obłok siwego dymu. – Starłem się wybijać to kumplom z głowy, bo ludzie padali po tym jak muchy, jeden po drugim... Ale co mogłeś zrobić, gdy w tamtych czasach działka była tańsza od butelki wódki. Może sam po prostu miałem to szczęście, że było mnie stać na gorzałę... Wiem, że być może nie powinienem ci tego wszystkiego mówić, młody, ale zawsze uważałem, że warto znać grzechy ojców. Żeby potem samemu ich nie popełniać. Jak mam być szczery, to matka za długo to przed tobą ukrywała... Wiem, że pewnie próbowała cię chronić na jakiś tam swój sposób, ale mimo wszystko... Chłopak powinien znać prawdę o ojcu. To pomaga w dorosłym życiu. Dostrzec w starym zwykłego człowieka, nie superbohatera, za którego ma się go za dzieciaka. Jak

chłopak stanie się mężczyzną, to łatwiej będzie mu wybaczyć sobie pewne braki, gdy zrozumie, że jego ojciec też jakoś specjalnie nie ogarniał życia.

Nie odpowiadam, wlepiam jedynie zamyślony wzrok w szybę.

Czy to, co właśnie usłyszałem, zmienia jakoś moje postrzeganie dawnych wydarzeń? Krzyki ojca każdej nocy, ciągłe dostrzeganie czegoś w mroku... Jeśli Szeryf mówi prawdę, to znaczy, że on sam wybrał tę drogę, a nie ona jego. Nie ma usprawiedliwienia dla rzeczy, które zrobił.

Tylko czy to coś zmienia?

Patrzę w powoli gasnące światła w oknach i staram się nakierować myśli w inną stronę.

Liczę piętra, próbując namierzyć to należące do Sliders Production. Wydaje mi się, że w oknie tego przekłętego biura światło wciąż się pali. Czy recepcjonistka jeszcze tam siedzi i przyjmuje kolejnych facetów na castingi? Może mamy do czynienia z hydrą, a w miejsce jednej uciętej głowy zaraz wyrasta kolejna i stanowisko łysogo zajął ktoś inny?

W końcu interes musi się kręcić. Czy ktoś w ogóle przejął się jego zniknięciem? A może w tym fachu to norma, że pewnego dnia po prostu już się nie pojawiasz i dla wszystkich pozostałych to tylko kolejny dzień w biurze?

Te pytania przestają mieć znaczenie, gdy Szeryf wyrywa mnie z zamyślenia szturchnięciem w bark.

– Młody, widzisz to auto? – Wskazuje na białą brygadówkę podjeżdżającą pod blok, wyrzucając za okno papierosa, jakby poparzył go w dłoń.

– To oni?

– Skąd mam wiedzieć? Miał być biały opel. Zdążyłeś spojrzeć na markę?

– Za daleko i jest zbyt ciemno.

– Kurwa, teraz stoi bokiem. Trzeba podejść.

– Co?

– Trzeba podejść i zobaczyć.

– I co, ja mam iść?

– Być może zaraz trzeba będzie za nimi ruszać. Muszę zostać za kółkiem, jakby nagle odjechali. Podejdiesz?

Wypadam z auta i ruszam ze spuszczoną, zakapturzoną głową wzdłuż chodnika. Z nieba siąpi irytująca mżawka, czuję kłujący chłód wiatru na policzkach, przez co skulona pozycja wydaje się naturalna. To podniesienie głowy może wydać się teraz czymś dziwnym i zwrócić na mnie uwagę. Ukradkiem zerkam na samochód.

Opel.

Chudy facet z kozią bródką siedzący za kółkiem wpatruje się we mnie groźnie, jakby już wcześniej czekał, aż tylko podniosę głowę. Sparaliżowany strachem utrzymuję kontakt wzrokowy trochę dłużej, niż powinienem. Siedzący obok grubas w okularach przywodzących mi na myśl Harry'ego Pottera grzebie w telefonie. Za nimi siedzą dwie kobiety. Obie śpią z głowami opartymi o szyby.

Wzrok chudego przykuwa mnie do chodnika, ale staram się opamiętać. Kulę się i ruszam dalej. Mimowolnie przyspieszam kroku, choć pilnuję się, żeby moje odejście nie wyglądało na ucieczkę.

Wściekły pies nie zacznie cię gonić, jeśli nie będziesz biegł.

Okrażam blok, tym razem niemal sprintem, i wracam do zaparkowanej na drugim końcu parkingu skody.

Zatrzasnę drzwi.

– Opel? – pyta Szeryf, targając mnie za rękaw.

Kiwam twierdząco głową, ciężko przy tym dysząc.

– Patrz! Gość wychodzi z auta.

– Co?! Idzie do nas?

– Nie wiem.

Chudzielec z kozią bródką zaczyna nerwowo przechadzać się po parkingu. Nie sądzę, żeby dostrzegł, jak wsiadam do auta po okrążeniu bloku, ale na wszelki wypadek zsuwam się niemal na podłogę. W końcu wyciąga telefon i chyba kilka razy próbuje się gdzieś dodzwonić.

– Dzwoni do łysego – szepcze Szeryf. – Dzwoni na ten rozładowany telefon, mówię ci.

– Czyli to naprawdę oni?

Facet na zewnątrz coraz bardziej się irytuje, wygląda, jakby zaraz miał cisnąć telefonem o krawężnik. W końcu zerka w górę, w okna budynku, stuka grubemu w szybę, pokazując palcem klatkę, i wchodzi do środka.

– Poszedł do firmy? – pyta Szeryf.

– A co innego?

– Dowie się, że łysego nie ma od kilku dni.

– O ile kogokolwiek tam zastanie. Mają w aucie dwie kobiety...

– Co?

– Na tylnym siedzeniu. Wyglądały, jakby spały.

– Kurwa. Myślisz, że...?

– Nie wiem.

– Patrz, zbiegł już z powrotem.

Chudzielec szybkim, agresywnym krokiem wraca do auta, po drodze wyładowując złość na pustej puszcze po piwie leżącej na chodniku. Po chwili ciszę na parkingu przerywa warkot odpalanego silnika.

– Odjeżdżają – rzuca Szeryf, zapinając pas. – Jadę za nimi.

– Czeka! Tak od razu? Domyślą się, że ich śledzimy.

– Nic się nie bój. Dorabiałem swego czasu jako detektyw. Siedziałem na ogonach niewiernych małżonków. Wiem, z czym to się je.

– Nigdy nie mówiłeś...

– Nie pytałeś.

Wytaczamy się z parkingu tuż za białym oplem. Szeryf trzyma się kierownicy jak przyspawany, widzę napięcie malujące się na jego twarzy i nie wierzę, że kiedykolwiek kogoś śledził. Zawsze opowiada wysrane z palca historie o tym, co kiedyś robił. To może być jedna z nich.

– Zapnij pas, młody. Ostatnie, czego teraz chcemy, to żeby ktoś nas zatrzymał za nieprzepisową jazdę. Nie możemy stracić ich z oczu, rozumiesz? Mówiłeś, że mają na siedzeniu dwie babki, jesteś pewien?

– Tak. Obie spały.

– To mogą być kobiety, które zgarnęli z jakiejś innej wytwórni?

– Skąd mam wiedzieć? Chcesz, żebym ci potwierdził, że śledzenie tych gości ma sens? Nie zrobię tego. Nie mam pojęcia, czy mają z tym wszystkim coś wspólnego. Może to tylko przypadkowy wóz, który akurat okazał się białym oplem.

– Trudno, nie mamy innego punktu zaczepienia. Wchodzisz w to ze mną czy mam cię wysadzić na najbliższych światłach?

– Jadę z tobą – odpowiadam, zirytowany faktem, że w ogóle pyta. Ile razy mam go jeszcze zapewniać, że jestem w tym z nim?

– Dobra. Mam nadzieję, że masz pusty pęcherz, bo najbliższy postój będzie dopiero tam, gdzie zatrzymają się ci skurwiele.

Krople rozbijają się o przednią szybę, by po chwili dać się rozsmarować wycieraczce. Jest ślisko i niewiele widać, droga niknie w ścianie deszczu, mimo to, gdy patrzę na Szeryfa, mam wrażenie, że gotów jest jechać za tym oplem nawet na koniec świata.

Choćby droga prowadziła do samego piekła.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Budzi mnie nagły wstrząs. Głowa podskakuje jak u szmacianej lalki. Przez chwilę czuję się, jakbym spadał.

– Wybacz, młody – rzuca Szeryf bezbarwnym głosem. – Nie zauważyłem tej dziury w jezdni. Śpij dalej, obudzę cię, jeśli będzie trzeba. Musiałeś być potwornie zmęczony.

Podnoszę się i zamglonym wzrokiem wyglądam za szybę. Na horyzoncie leniwie maluje się nadchodzący świt, przed nami pusta droga, po bokach jedynie obumierająca roślinność, mnóstwo drzew i krzaków.

Wszystko spowite gęstą jak mleko, poranną mgłą. Ani żywej duszy w zasięgu wzroku.

– Długo spałem? – pytam, czując się, jakbym wykrztuszał popiół. Gardło mam całe przesuszone. Mam wrażenie, że cały ten cytrynowy swąd chemikaliów zdołał już wywietrzeć, zastąpiony papierosowym dymem, i chyba wolę, gdy pachnie w ten sposób. Zapach to najlepszy nośnik wspomnień – również tych złych.

– Będzie z sześć godzin.

– Sześć godzin?!

– Tak. Musiałeś być bardzo zmęczony.

– Gdzie jesteśmy? – Nerwowo rozglądam się dookoła, starając się wyciągnąć jakiegokolwiek informacje z otaczającego nas krajobrazu, ale jego pospolitość sprawia, że brakuje mi punktu zaczepienia.

– Sam do końca nie wiem... Ale to Czechy.

– Czechy?!

– Tak.

Wyciągam z kieszeni smartfon i odczytuję powitalny SMS od operatora „Witamy w Czechach...”. Od razu odpalam Google Maps, ale nazwa miejsca, do którego trafiliśmy, nic mi nie mówi. Nie jestem nawet w stanie jej wymówić. Centralne Czechy, kropka sygnalizująca nasze położenie na mapie powoli przesuwa się na południe. Po chwili przychodzi kolejny SMS informujący mnie o kończących się danych pakietowych, mocno ograniczonych przez roaming, nie mam też już nic na koncie. Niedługo zostaną odcięty od internetu.

Pięknie, kurwa, po prostu pięknie.

Nie sądziłem, że Szeryf będzie za nimi jechał aż za granicę...

– A tamten wóz? – pytam. – Dalej siedzisz im na ogonie?

– Tak, ale trzymam się mocno z tyłu. Tu prawie nie ma innych aut, po takim czasie mogli się już domyślić, że coś jest nie tak...

– Nie zatrzymywali się?

– Ani razu. Prują równo przed siebie, non stop, ale jadą bardzo przepisowo. Aż dziwnie przepisowo...

– I jak długo chcesz ich śledzić?

– Ile będzie trzeba, młody. Ile będzie trzeba... Jak chcesz się odlać, to lej do butelki.

– Kiwa głową w stronę pustej butelki po mineralnej wylegującej się na tylnym siedzeniu.

– Dzięki, chyba jeszcze jednak potrzymam.

– Jak sobie chcesz. Ale postoję nie planuję.

Wąska droga pełna jest zakrętów i wzniesień. Biały opel tylko miga nam na horyzoncie, wydzierając się zza mgły. Kilka godzin siedzenia na ogonie... Nie ma szans, żeby tego nie zauważyli.

– Co, jeśli to nie oni? – pytam, opadając bezsilnie na fotel pasażera.

– Co?

– Co, jeśli nie mają z tym nic wspólnego?

– Wtedy wrócimy. Masz coś lepszego do roboty czy co? Jak ostatnio gadaliśmy, to byłeś bez pracy.

– Bez pracy i bez pieniędzy. Szukanie roboty to teraz moja robota. W Czechach jej nie znajdę...

– Jeden dzień ci różnicy nie zrobi.

– Jeden dzień bliżej śmierci głodowej.

– Nie dramatyzuj. Pożyczę ci kasę, jeśli chcesz. Uznaj pomaganie mi za dorywczą robotę.

– Nie, dzięki... A co z tobą, załatwiłeś sobie wolne?

– Wolne? – Parska śmiechem. – W ochronie? To nie ta branża, młody, że można mieć jakieś wolne. Pracowałem z rozwodnikami i alkoholikami, nigdy nie było dnia, że wszyscy stawili się na służbę tak, jak powinni. Tam nie było wolnego. Gdy miałeś pustą kratkę w grafiku, to byłeś jak najfajniejsza laska w szkole, każdy chciał cię wyrwać. Każdy dzwonił, czy nie przyjdiesz dziś za niego, bo sraczka i padaczka... W robocie byłem praktycznie codziennie. Byłem dobrym kumplem, wiesz? Zawsze poratowałem, jak ktoś potrzebował... Banda małych chujków.

– Byłeś? Cały czas mówisz o tym w czasie przeszłym.

– Bo już nie pracuję.

– Co się stało?

– Nic. Nieważne.

- Jak to nic?
- Daj spokój, młody.
- No powiedz.
- Puściły mi nerwy, OK?
- Możesz konkretniej? Ja powiedziałem ci, czemu mnie zwolnili.

- Ech... Dałem w ryj jednemu takiemu, co puszczał na przerwie filmiki z telefonu... Z Natałką. Ukruszyłem mu trzy zęby... Skurwiel mówi, że będzie mnie targał po sądach. Zaśpiewał mi taką kwotę, że chyba na miejsce tych przeżartych próchnicą kłów planuje sobie wstawić złote plomby. Pluję na nich, tyle ci powiem. Nawet nie czekałem, aż mnie zwolnią, po prostu rzuciłem papiery.

- Przykro mi...

- Niepotrzebnie, młody. Tamto miejsce chyba nam nie służyło, co? - Szeryf wybucha gorzkim śmiechem. - Pieprzony wieżowiec będzie mi się śnił po nocach. Zresztą, zaraz znajdę sobie coś nowego. Może znowu spróbuję w policji. Możliwości mam dużo. Znam się na robocie.

- Tak, kiedyś coś opowiadałeś, że próbowałeś...

- Wtedy to były inne czasy, młody. Nie szukali tam ludzi z pasją, tylko zwykłych wyrobników, którzy skulą głowę i nie będą próbowali nic zmieniać. Wiesz, żeby tym na górze dalej się wygodnie żyło. Udupił mnie psycholog, nawet pomimo tego, że wszystkie testy zdałem śpiewająco... Dasz wiarę? Skurwiel powiedział, że „przejawiam chorobliwe zainteresowanie formacją”, rozumiesz? Co to w ogóle miało znaczyć?

Nie odpowiadam, staram się skupić wzrok na niknącym we mgle samochodzie przed nami. Wygląda na to, że hamują. W oddali widzę coś jak gospodarstwo, mały jednorodzinny domek i przylegającą do niego olbrzymią stodołę.

- Skręcają... - rzucam szeptem.

- Co?

- W tę polną ścieżkę, patrz.

- Kurwa.

Szeryf jedzie dalej przed siebie, opel niknie we wstecznym lusterku. Jakieś dwieście metrów za nami wszystko ginie we mgle.

- Co robisz? Zgubimy ich!

- A co, mam tam za nimi wjechać?! To ścieżka prowadząca na jakąś prywatną posesję. Co dalej? Zatrzymamy się pod stodołą i z nimi pogadamy? Myśl trochę, młody...

- Poczekaj. Przyjrzyjmy się chociaż. Co to za miejsce?

Szeryf daje po hamulcach, po czym na wstecznym dojeżdża do skrzyżowania z polną drogą. Wyglądam przez szybę, ale nic nie widać, jedynie szczyty znajdujących

się kawałek dalej obiektów.

– Może wyśiądźmy i zobaczymy, co się tam dzieje? – rzucam pomysł, patrząc na pełną ledwie maskowanej trwogi minę Szeryfa. Mam wrażenie, że zawsze jest tak samo. Jest jak pies goniący za samochodem. Szczeka i pędzi na złamanie karku przed siebie, bez pomysłu, co zrobić, jeśli goniony nagle się zatrzyma.

– No nie wiem...

– Zabrali tam te dziewczyny. Może wrócimy z policją?

– I co im powiemy? Że śledziliśmy ich aż z Warszawy i wydaje nam się, że będą tam kręcić porno? Zresztą nie wiem jak ty, ale ja nie mówię po czesku.

– Mogą znać angielski. Zresztą czeski jest chyba podobny do polskiego.

– Sami sprawdzimy, co się tam dzieje. Żadnej policji.

Szeryf podjeżdża dwieście metrów dalej i wjeżdża w gąszcz krzaków w dole na poboczu, gasi silnik i zaciąga ręczny. Wychodzimy na zewnątrz.

Powietrze jest mokre, osadza się mgiełką na ubraniach. Zauważam, że auto jest tu dobrze zakamuflowane, z drogi musi być praktycznie niewidoczne. Rysiek obchodzi wóz i rusza do bagażnika, a ja idę za nim.

Po łysym producencie nie została nawet plamka, cały zapach środków do czyszczenia też wyparował, auto jest jak nowe. Widzę sycylijski cytrynowy detergent leżący w kącie. Szeryf zerka w lewo, potem w prawo, po czym sięga do ułożonej w bagażniku torby. W środku szczeka tona żelastwa, dobrze wiem, co z niej wyjmie.

– Trzymaj. – Podaje mi nóż w skórzanej pochwie. – Nie chcę słyszeć narzekań, że nie weźmiesz. Obaj musimy mieć coś do obrony.

Odsuwam się przerażony.

– Młody, nie wkurwiał mnie. To już nie żarty. – Przyciska nóż coraz mocniej do mojej klatki.

– A kto tu mówi coś o żartach? Nie wezmę tego. Nie rozumiesz, że to silniejsze ode mnie? Nie panuję nad tym. To fobia.

Szeryf wzdycha teatralnie, po czym podaje mi niewielką teleskopową pałkę.

– A to weźmiesz? Już miałeś z tym do czynienia. Patrz, brak ostrych krawędzi. – Demonstruje prześmiewczo.

Nie odpowiadam. Biorę pałkę i przypinam ją klamrą do paska, wystającą część maskuję koszulką. Szeryf sięga do kieszeni marynarki i wyrzuca swój portfel i telefon w pobliskie krzaki.

– Co robisz?

– Jeśli coś pójdzie nie tak... Lepiej, żeby skurwiele nie położyły łap na dokumentach. Skojarzą nazwiska... Mogą coś jej wtedy zrobić.

– Komu?

- Jak komu? Natalce. Jeśli ją mają...
- Co masz na myśli, że coś pójdzie nie tak?
- Zrób to samo, proszę cię.
- Nie rzucisz się na nich, prawda?
- Młody, przestań truć dupę i schowaj dokumenty. Potem je zabierzemy. Nie dawajmy im żadnych tropów.
- Myślisz, że gdyby coś poszło nie tak, to nie znajdą samochodu?
- A co mam więcej zrobić? Odjechałem dalej, zakamuflowałem auto, może je znajdą, może nie. Po to wywalam papiery w krzaki, żeby chociaż tego nie znaleźli.
- Ja chcę tylko, żebyś obiecał, że będziesz spokojny.
- Będę spokojny. Sam nic nie sprowokuję, OK?
- Dobrze. - Kładę portfel i telefon w wysoką trawę, znacząc miejsce dwoma kijkami ułożonymi w literę X. Dokumenty i karta debetowa podłączona pod niemal wysuszone konto.
- No, to idziemy.

Schodzimy z asfaltu na ubitą polną drogę i powoli ruszamy w stronę gospodarstwa. Ścieżka jest błotnista, buty zapadają mi się w śladach po bieżniku. Gospodarstwo przed nami powoli wyłania się zza mgły, przez co zaczynam się czuć dziwnie nagi, odsłonięty. Tracimy naturalny kamuflaż.

- Co, jeśli zauważą, że się zbliżamy? - pytam.
 - Zawsze możemy powiedzieć, że się zgubiliśmy i przyszliśmy zapytać o drogę. Musimy się tam trochę rozejrzeć, to wszystko. Jak potwierdzimy, że ci skurwiele mają Natalkę, to wrócimy w nocy.
 - A co, jeśli rozpoznają, że to my za nimi jechaliśmy?
 - Niby jak? Mam numer rejestracyjny na czole? Młody, jak masz lepszy pomysł, to zamieniam się w słuch. Jak nie, to słuchaj mnie.
 - A jak wytłumaczymy brak auta?
 - Zostawiliśmy dalej i wzięło nas na poranny rozbudzający spacer, OK?
- Więcej już o nic nie pytam.

Docieramy niemal pod samo gospodarstwo, nie ma tu bramy czy płotu, jedynie dom, stodoła i trochę jałowego pola pośrodku niczego.

Biała brygadówka stoi zaparkowana pod stodołą, wszyscy pasażerowie zdążyli już wysiąść i zagnieździć się gdzieś w środku. Przechadzamy się w bezpiecznej odległości od okien. Mam wrażenie, że nasze kroki wybrzmiewają głośniejsze, niż powinny, wszędzie wokół panuje martwa cisza.

- Musimy sprawdzić tę stodołę - rzucam drżącym głosem, cały czas bacząc, czy w oknach domostwa nie pojawił się jakiś ruch.

– Tak...

– To może... To może być to miejsce z filmu. Tego, który widziałem, gdy poszedłeś...

– Tak, może być.

Patrzę na Szeryfa. Wygląda na wyczerpanego całonocną jazdą i narastającym stresem. Przekrwione, otwarte ledwie na pół gwizdka oczy i potężne wory pod nimi. Chodzi jak pijany. Jakby miał zaraz runąć twarzą w ziemię.

– Wszystko w porządku? – pytam zmartwiony.

– Tak. Chodź, sprawdźmy, o co tu chodzi.

Podchodzimy pod drzwi stodoły. Stąd na pewno widać nas z okien domku, więc staramy się być szybcy.

Zamknięte na kłódkę. Przyklejam ucho do spróchniałych desek. Trudno powiedzieć, czym jest ten cichy dźwięk dochodzący do moich uszu. Stadem kłębiących się na kilkudziesięciu metrach kwadratowych świń? A może to tylko moja wyobraźnia?

Nagle drzwi stodoły się otwierają. Przerażeni odskakujemy na metr w tył. Rozglądam się za jakąś drogą ucieczki, ale tu nie ma się gdzie schować.

– Mogę w czymś pomóc, panowie? – Facet z kozołą bródką wychodzi ze środka, zostawiając za sobą tak niewielką szparę, że nie jestem w stanie dostrzec wewnątrz nic poza ciemnością. Teraz, gdy mogę się mu przyjrzeć, widzę, jak dziwnie podłużna jest jego twarz, niemal zdeformowana. Wygląda jak owoc kazirodczego związku. Wyciera ubrudzone dłonie w ścierkę, ze spokojem taksując nas wzrokiem, jakby w ogóle nie zdziwiła go nasza obecność. Jakby się spodziewał...

Dziwi mnie jego pewność siebie. Wychodzi do dwóch nieznanym, którzy pojawili się znikąd na jego posesji, próbując włamać się mu do stodoły, a wygląda, jakby wyszedł na powitanie serdecznych przyjaciół.

Dostrzegam, jak ręka Szeryfa odruchowo wędruje do noża pod kurtką, ale szybkim ruchem udaje mi się go powstrzymać.

– Szukacie tu czegoś? – Gość wskazuje kciukiem na stodołę za nim, po czym zamyka ją na kłódkę. Jego ruchy są bardzo szybkie, wręcz nienaturalne. Żuchwa chodzi mu na boki, jakby piłował zęby, długa kozoła bródka niemal zamiata okruszki z kołnierza. – To moja posiadłość.

– Zgubiliśmy... – Mam wrażenie, że imadło ściska mi struny głosowe. – Zgubiliśmy drogę i...

– Oho, widzę, że trafiłem z tym polskim.

– S-słucham?

– Zapytałem po polsku, a wy odpowiadacie po polsku. Ciekawe, nie? Gdzieś na czeskim zadupiu... – Rozkłada ręce i teatralnie demonstruje przestrzeń dookoła. – No, to w czym mogę pomóc? Mówisz, mały, że zgubiliście drogę?

– Tak...

Następuje długa chwila niezręcznej ciszy.

– Nooo... To będzie mi łatwiej, jak powiecie, dokąd zmierzaliście.

– My...

– Czy twój ojciec ma zawał? – Kiwa głową w stronę Szeryfa. – Tak się trzyma za tę kieszeń przy klatce piersiowej... Wezwać wam pomoc czy coś?

Zerkam na Ryśka. Jest jak tygrys gotowy do skoku na wypatrzoną ofiarę. Czeka tylko na gwałtowny ruch. Klepię go po barku w uspokajającym geście.

– Jedziemy do najbliższego miasta – odpowiadam, starając się brzmieć naturalnie.

– Chcemy się przespać, zanim ruszymy dalej.

– Do najbliższego miasta, mówisz? Ma jakąś nazwę czy wam obojętne, jakie jest najbliżej?

Obaj milczymy. Szeryf stoi napięty jak struna i tylko wlepia wzrok w zbliżającego się do nas faceta. Szybko szukam w dziurawej jak sito encyklopedycznej części mózgu jakichkolwiek miast na południu Czech, ale nic nie znajduję. Zmieniam strategię.

– Tak konkretnie to przez Czechy tylko przejeżdżamy, ale tak jak mówiłem, chcieliśmy spytać miejscowych, czy w okolicy jest jakieś miasto. Potrzebujemy hotelu i odpoczynku. Jechaliśmy całą noc...

– I co, nie macie GPS-a? Internetu?

Kręcę przecząco głową.

– Tak jest? – Kozia bródka szuka potwierdzenia, patrząc w oczy Szeryfowi. Ten odpowiada jedynie delikatnym skinieniem głowy.

– To na przyszłość pamiętajcie, że lepiej po prostu podejść pod drzwi i zapukać, zamiast kręcić się po prywatnej posiadłości. Jakby to były Stany, tobym wam odstrzelił tyłki z bujanego fotela na ganku.

– Przepraszamy... Myśleliśmy, że nikogo tu nie ma.

– Niby czemu mielibyście tak myśleć?

– Miejsce wygląda na opuszczone.

– Staram się, jak mogę, żeby wyglądało przytulnie. Twierdzisz, że jest tu syf, czy o co ci chodzi? – Rozgląda się na boki.

– Ja... Ja nie...

– Zbijam się, mały. – Twarz chudego spowija upiorny uśmiezek. Klepie mnie w ramię, sprawiając, że aż podskakuję. – Rzadko tu z bratem zaglądamy. To miejsce należało do naszego starego. Chodźcie. – Macha zapraszająco ręką, chcąc, żebyśmy ruszyli za nim do środka. – Mam w domu jakąś mapę. Niepotrzebna mi, więc możecie ją sobie wziąć. Chcecie coś do picia?

Rusza przed siebie, w ogóle nie patrząc, czy za nim idziemy. Teraz moglibyśmy uciec. Tylko czy zacząłby nas gonić? Jak drapieźnik, który nie reaguje, dopóki ofiara nie zacznie uciekać?

Nie odpowiadamy. Patrzymy po sobie z Szeryfem. Jeśli wejdziemy do środka, to nasze szanse na wydobycie się z tego gówna w jednym kawałku gwałtownie spadną. Żaden z nas nie wie, co się tam może wydarzyć.

– Idzicie czy nie?! – Kozia bródka staje na ganku, krzycząc do nas z oddali.

Niechętnie ruszamy się z miejsca, jakby nie było już odwrotu. Po chwili wchodzimy do środka i słyszymy zatraskujące się za nami drzwi.

W środku cuchnie stęchlizną. Szybko zaczynam tęsknić za dziennym światłem. Duszne zastałe powietrze wypełnia cały przedsionek, jakby latami nikt tu nie wietrzył. Razem z Szeryfem rozglądamy się po wnętrzu, ale jest zbyt ciemno, żeby cokolwiek wyłapać.

– A, sorka. Czekaście. – Kozia bródka wchodzi do kuchni na prawo od przedsionka i odsłania poźółkłe od brudu żaluzje, włączając do parnego pomieszczenia trochę światła, a ja modłę się, żeby przy okazji otworzył też okno.

Słońce rzuca pasiasty wzór na wielką ławę w kuchni, w powietrzu wirują drobinki kurzu. Zerkam na stertę naczyń w zlewie, całych przeżartych brudem i tłuszczem. Na ziemi walają się śmieci, rozwleczone przez szczury albo inne szkodniki. Pełno zgniecionych puszek i potłuczonego szkła. Jak ktokolwiek może żyć w takich warunkach?

– Dajcie mi chwilę, zaraz znajdę wam tę mapę. – Kozia bródka krząta się po kuchni, potykając się co chwilę o walające się po podłodze przedmioty. – A, sorry. Oferowałem przecież coś do picia. Krystian! – woła w stronę korytarza. – Krystian, mamy gości! Słyszysz?!

Dochodzi nas dźwięk z drugiego pokoju. Ktoś głośno charczy i dyszy, przedzierając się przez syf na korytarzu. W końcu w drzwiach kuchni staje ten grubszy w okrągłych okularach, od razu dominując przestrzeń swoją niemal zwierzęcą aparycją. Ma dziecięce rysy twarzy. Mały nos i duże odstające uszy.

Nie ma na sobie koszulki, fałdy tłuszczu zwisają mu niemal przy samych udach. Patrzy na nas zdziwionym wzrokiem. Razem z Szeryfem cofamy się pod ścianę.

– Kto to?! – Grubas krzyczy jak spanikowany. – Marcin, kto to?!

– Uspokój się, kurwa, debilu. Czego drzesz mordę? Wybaczcie – zwraca się do nas. – Brat jest lekko opóźniony. Większe serce niż mózg.

– Marcin?!

– Mówię ci, debilu, że to nasi goście. Daj im coś do picia.

Grubas zaczyna rozglądać się po kuchni, chyba nie bardzo wie, jak ma spełnić prośbę brata.

– Co się gapisz jak sroka w gnat? Wody im daj.

– Nie trzeba, naprawdę. – Wtrącam się w rozmowę. – My tylko...

– Odmawiasz gościny? – Kozia bródka nagle przerywa poszukiwania, świdrując mnie oszalałym wzrokiem. Mam wrażenie, że coś jest z nimi mocno nie tak. Strach sprawia, że cały sztywnieję. Zerkam na Szeryfa, ale on zdaje się kompletnie nieobecny. Ciągłe wodzi wzrokiem dookoła, jakby szukał jakichś śladów.

– Gość w dom, Bóg w dom. Nie słyszałeś o tym, mały?

– Ja tylko nie chciałem, żeby się pan trudził...

– A jaki to trud dać spragnionym podróżnikom szklankę wody?

– Po prostu nie chce nam się pić.

– A co ty jesteś, adwokat starego? Idziecie taki kawał z buta... Przecież widzę, że nie macie przy sobie wody. To, że twój młody organizm jakoś to znosi, nie znaczy, że ojczulkowi nie chce się pić. Ojca trzeba szanować, mały... Szanować... Jak nikogo innego.

– Z buta? My...

– Nie widziałem waszego auta. Pomyślałem, że mogliście zostawić je przy drodze, ale dlaczego mielibyście robić coś takiego, co?

– My tylko...

– Chyba że chcieliście się tu pokręcić tak, żebym nie usłyszał... Tylko znowu, po co mielibyście to robić?

Nie wiem, co odpowiedzieć. Coś w jego głosie paraliżuje mi struny głosowe. Wszystkie zmysły krzyczą, że mam do czynienia z kimś niezrównoważonym, nieprzewidywalnym. Człowiekiem-tykającą bombą, tylko czekającą, aż sprowokuje wybuch, mówiąc coś nieprzemyślanego.

– Należesz im tej pierdolonej wody czy sam mam to zrobić?!

Grubas wygląda na przestraszonego. Przedziera się do zlewu, taranując wszystko dookoła. Jego bliskość sprawia, że chce mi się wymiotować. Wytacza drażniący odór potu i niemytego tłuszczu zaległego w fałdach skóry.

Wyciąga ze sterty brudnych naczyń dwie szklanki i stawia pod kranem. W pierwszej chwili nic się nie dzieje, dopiero po kilku sekundach bateria zaczyna wydawać z siebie charczące dźwięki, by w końcu plunąć strumieniem rdzawej wody.

Obie szklanki lądują na stole przed nami. Obie ubrudzone tłuszczem i od dawna niemytą zawartością. Brudna woda przypomina kolorem whisky. Mam wrażenie, że w mojej coś pływa.

– Pijcie – rozkazuje kozia bródka. – A ja wam zaraz znajdę tę przeklętą mapę.

– Nie trzeba... Naprawdę.

Nagle w kuchni wybrzmiewa głuchy dźwięk. Piekielny odgłos, który wciąż słyszę, zamykając oczy, z czego nie zdawałem sobie aż do teraz nawet sprawy.

Dźwięk, którego nie zapomnę nigdy.

Ktoś uderza w rurę od kaloryfera...

Puste echo rozchodzi się wewnątrz kuchennej rury, wędrując w górę pomieszczenia. Udaje mi się wyłapać spojrzenie, jakim obdarowali się bracia. Ten karcący wzrok koziej bródki, rozkazujący bratu sprawdzić, co się dzieje. My z Szeryfem nawet nie musimy na siebie patrzeć. Ten dźwięk uruchamia w nas wspomnienia, nagle przestajemy mieć jakiegokolwiek wątpliwości.

Wiemy, z czym mamy do czynienia.

To tu.

– Mam! – Kozia bródka wyciąga zmiętą mapę z jednej z szuflad, po czym rozkłada ją na stole. – Jesteście tu, o. – Uderza palcem w śliski papier, niemal go rozrywając. – A najbliższe miasto macie, ooo, tu.

Rura znów wybrzmiewa. Kozia bródka zerka spod byka, sprawdzając naszą reakcję. Usiłuję nic po sobie nie pokazać, ale nie widzę grymasu na twarzy Szeryfa. Staram się nie zerkać w bok, udawać, że ten dźwięk to nic dziwnego.

– Nooo... Tak jak mówiłem. Chcecie się dostać tutaj. To najbliższe miasto. Mają hotel. Dość tani. Będziecie mogli spędzić tam noc. Podrzuciłbym was sam, ale mam trochę pracy, dopiero przyjechaliśmy, rozumiecie...

– Dziękujemy.

Znowu huknęło. Tym razem mocniej. Kozia bródka wzrokiem rozkazuje bratu zejść do piwnicy. Po chwili grubas wychodzi z kuchni.

– Pójdziemy już – rzucam, udając, że zapamiętuję nasze położenie na mapie. – Jeszcze raz dziękujemy za pomoc. Nie znamy okolicy, łatwo się tu zgubić...

– Tak... Bardzo łatwo. Wystarczy jeden zły skręt...

Kiwam w podziękowaniu głową, po czym razem z Szeryfem odwracamy się i ruszamy w stronę wyjścia.

– Nie tknęliście wody! – wybrzmiewa nam zza pleców.

– My...

– Nie lubię marnować zasobów naszej matki Ziemi. Wypijcie to, proszę. – Kiwa głową w stronę szklanek. – Woda kosztuje. Niezaspokojenie pragnienia w moim domu, gdy oferuję pomoc, to jak plunąć mi w twarz.

Patrzymy po sobie z Ryśkiem. Chcemy już tylko stąd wyjść. Wyjść, przegrupować siły i obmyślić jakiś plan. Czuję, że odmowa wywoła awanturę. Nie wiem, na ile nas

przejrzał, ale niewypicie tego błota sprawi, że opadną wszystkie maski. Zacznie się masakra, na którą nie jesteśmy gotowi.

O dziwo, Szeryf wykonuje pierwszy ruch. Chyba zrozumiał to samo, co ja. Chwyta za tę szklankę, w której coś pływa, jak anioł stróż, chcący nieco ułatwić mi cierpienia. Wypija do dna. Gdy patrzę na jego falującą grdykę, aż mnie cofa. Uderza szklanką o stół, po czym patrzy na mnie, jakby chciał pokazać mi, że dam radę. Zamykam oczy i wypijam całość.

– Dziękujemy – rzuca Szeryf. Chyba pierwsze słowo, od kiedy nakrył nas kozia bródka.

Ruszamy z powrotem. Gdy chwytam za klamkę drzwi wyjściowych, okazują się zamknięte. Kozia bródka staje nam za plecami. Czuję jego ciepły oddech na karku. Wzdłuż kręgosłupa przechodzą mnie ciarki.

– Chyba nie myśleliście, że pozwolę wam tak wyjść, co? – szepcze mi prosto do ucha.

Nie odwracam się. Powoli sięgam dłonią do wiszącej przy pasie pałki. Widzę, że Szeryf w tym ciasnym korytarzu nie ma miejsca, żeby z gracją dobyć noża z wewnętrznej kieszeni kurtki. Zresztą, nie wygląda nawet, jakby miał taki zamiar. Widzę, jak zamyka oczy i mówi coś pod nosem, ale nic nie słyszę...

Muszę wykonać pierwszy ruch...

– Nie wyjdziecie... Nie bez mapy.

Po chwili kozia bródka wciska mi kawałek zmiętej kartki do tylnej kieszeni dżinsów, trzymając swoją dłoń w środku wystarczająco długo, żebym poczuł, jak brudna woda cofa mi się do gardła. Zaraz potem otwiera nam drzwi.

Dzienne światło jest jak wybawienie, świeże powietrze na powrót uświadamia mi, jak w środku cuchnęło. Dziwne, jak szybko możemy przywyknąć nawet do najobrzydliwszego zapachu, zmysły po prostu przestają go zauważać, ułatwiając nam przetrwanie.

– No, lećcie już. Podobno jesteście zmęczeni.

Robi nam miejsce w drzwiach. Szeryf przechodzi pierwszy i staje na schodkach. Gdy próbuję ruszyć za nim, kozia bródka kładzie mi rękę na klatce piersiowej.

– Czy ja cię gdzieś wcześniej nie widziałem, mały? – Ogląda mnie jak eksponat na wystawie.

– Nie wydaje mi się.

– Mówisz? Bo ta blizna jest cholernie charakterystyczna. Chyba widziałem już gdzieś podobną...

Nie mam pewności, czy jego przećpany mózg nie wrzucił drugiego biegu i zaczyna rozpoznawać moją twarz i porównywać z tą, którą jeszcze kilka godzin temu widział

na parkingu przed siedzibą Sliders, czy chodzi mu o coś innego...

O kogoś, kogo zobaczył przez kamerkę pewnej nocy...

W Parku Świń.

– No dobra, skoro mówisz, że się nie znamy. – Zabiera dłoń i robi miejsce, pozwalając mi przejść.

Wypadamy na zewnątrz. Krew szumi mi w głowie tak mocno, że mam wrażenie, że zaraz eksploduje jak arbuz. Momentalnie przyspieszamy kroku, jakby sędzia dał wystrzałem sygnał do startu z bloków. Niemal potykam się na błotnistej ścieżce.

– Chodź, Karol, kurwa, chodźmy stąd – powtarza ciągle pod nosem Szeryf. – Szybko, chodźmy stąd.

Oglądam się za siebie pierwszy i ostatni raz. Kozia bródka cały czas nas obserwuje, stojąc w drzwiach domku. Napięcie stale rośnie, zamiast maleć. Nawet cisza dookoła zdaje się przyspieszać. Wciąż boję się, że za chwilę ruszy w naszą stronę, ale w końcu niknie za mgłą.

Wybiegamy na asfalt.

– Słyszałeś to? Prawda? – pytam, szarpiąc Szeryfa za rękaw. – Trzymają je na dole. Jak... Jak my...

– Słyszałem.

– Co teraz?

– Teraz już wiemy. Wiemy i możemy działać.

Docieramy do auta ukrytego w rowie. Po tym szybkim chodzie łydki palą mnie żywym ogniem. Żaden z nas nie postanowił biec, nie chcieliśmy sprowokować drapieżnika do pościgu.

Odgarniamy gałęzie, którymi zamaskowaliśmy samochód, Szeryf szybko wykopuje dokumenty i telefony z krzaków, po czym wrzuca je do skrytki i wsiada do środka, a ja pomagam mu wypchnąć auto z powrotem na drogę.

– Co robimy? – pytam, ciężko dysząc.

– Możemy wejść teraz, gdy są czujni...

– Albo?

– Albo zaczekać do nocy. Aż zasną.

Kiwam głową, chyba żaden z nas nie ma ochoty wracać tam od razu, więc rozumiemy się bez słów. W końcu mogę usiąść na siedzeniu pasażera, usłyszeć dźwięk przyspieszającej skody i poczuć, jak olbrzymi ciężar spada mi z pleców.

Gospodarstwo niknie we mgle za nami, ale myśli o tym, co może się tam teraz dziać, wręcz przeciwnie – zdają się z tej mgły wyłaniać. Obrazy są coraz ostrzejsze, kolory coraz żywsze.

Czy mają tam Natalkę?

* * *

Docieramy do miasteczka wskazanego nam przez kozią bródkę. Zaledwie trzydzieści minut jazdy od gospodarstwa. Ulice wydają się puste, wyludnione jak po wybuchu. Mam wrażenie, że nasz wjazd tutaj zdezelowaną skodą Szeryfa to dla tej zapomnianej przez Boga miejsciny jedno z głośniejszych wydarzeń ostatnich lat.

Parkujemy pod miejscem, które rzekomo miało być hotelem. Szary blok z wygasłym i miejscami wybrakowanym neonem „Hotel” nad wejściem. Szpetny i niski. Idealnie wkomponowuje się w deszczowo-wyblakły krajobraz miasta. Wygląda jak miejsce, do którego przychodzisz się powiesić. Tylko po to, żeby rodzina nie musiała sprzątać po tobie syfu...

Hotel jest bezimienny. Neon miał być pewnie jedyną wskazówką tego, co dzieje się w środku. Żadnego budowania marki, żadnej chwytliwej, kojarzącej się z wygodą nazwy. Jedynie prosty przekaz – płać, śpij i odejź.

– Poczekamy tam do nocy – rzuca Szeryf, gasząc silnik i odpalając papierosa. Przez chwilę przygląda się zabrudzonym szybom hotelu, jakby chciał dostrzec za nimi jakiś ruch i upewnić się, czy faktycznie da się tam wynająć pokój. – Ty spałeś podczas jazdy, ale ja już słaniam się na nogach. Ostatnio prawie nie sypiam...

Obserwuję, jak drżącymi dłońmi próbuje trafić płomieniem zapalniczki w trzymanego w ustach papierosa. Nie jest z nim dobrze. Upewniam się, że podjęliśmy dobrą decyzję, przyjeżdżając tutaj. Gdybyśmy spróbowali wrócić tam teraz, nie wyszlibyśmy z tego cało.

Tylko co, jeśli potem będzie już za późno?

– Nie myślę już jasno... – kontynuuje. – Tam... W tym ich domku, kompletnie mnie poskładało. Byłem gotów dać się im nawet zabić, wiesz? Żeby to szaleństwo tylko się już skończyło.

– To tylko przemęczenie.

– Może. Tak czy owak, gdy mieliśmy go już za plecami, jak podchodziliśmy do drzwi... Zamknąłem oczy i byłem gotów. Myślałem, że zaraz oberwę czymś w głowę i to będzie mój finał. Może tak by było lepiej...

– Wcale tak nie myślisz.

– Wiem, że jak zginę, to ona też. Tylko to mnie trzyma w pionie. Skurwiel mógł nas załatwić, gdy miał okazję. Teraz nasza kolej.

Patrzę na twarz Szeryfa. Cera przypominająca zaschniętą ziemię. Każda kolejna zmarszczka jest jak historia kolejnych krzywd i rozczarowań, jakich doświadczył w swoim życiu. Mam wrażenie, że przez ostatni tydzień sporo ich przybyło.

Szeryf sięga po portfel w schowku. Próbuje sięgnąć po swój, ale łapie mnie za rękę.

– Ja za wszystko płacę, młody. Nie martw się. Jesteś tu przeze mnie. Jeszcze tego brakowało, żebyś teraz wydawał kasę.

– Nie trzeba. Sam mogę za siebie płacić. Mam jeszcze z czego.

– Nalegam, młody. No już. Wyskakuj z auta.

Nie walczę dłużej, niż wymaga tego kurtuazja. Nie mam zamiaru nikogo oszukiwać, jestem spłukany. Zostawiam portfel w schowku i wysiadam na zewnątrz.

Wygląda na to, że słońce nie pofatygowało się, żeby dziś wstać. Ukryło się gdzieś głęboko za szarymi chmurami. Gdy patrzę w niebo, mam wrażenie, że obserwuję śnieżący przez słaby sygnał kanał w telewizji. Pojedyncze krople deszczu rozbijające się o maskę samochodu stanowią preludium do ulewy, która nadciąga nieubłaganie.

Szeryf wypala papierosa, gasi go o ścianę budynku i wchodzi do hotelu. Drzwi otwierają się przy akompaniamencie wiszących nad nimi dzwoneczków. Idę za nim.

Na recepcji nikt nas nie wita. Za obdartym biurkiem pusto. Jedynie ściana z tablicą, na której wiszą klucze z numerkami. Moglibyśmy sobie wziąć dowolny i przez nikogo nie niepokojeni udać się do pokoju. Nikt by nie zauważył.

Szeryf zagląda za ladę, jest tam niewielka wnęka, coś jak schowek na miotły. Dostrzegamy wystające stamtąd nogi.

– Ej! – krzyczy Szeryf. – Proszę pani?

Starsza siwowłosa kobieta zrywa się z postawionego w schowku fotela. Jest tak niska, że wydawała się wyższa, siedząc. Przez chwilę patrzy na nas jak na senne zjawy. Dwa wykończone życiem demony, nawiedzające ją podczas sennego paraliżu.

– Chcemy wynająć pokój.

Kobieta dalej wlepia w nas zdziwiony wzrok. Po chwili potrząsa głową, jakby strzepywała ze świadomości resztki snu, jak popiół z papierosa. Podchodzi do lady, nic nie mówi, jedynie sięga po wiszący na tablicy kluczyk, po czym uderza palcem w leżącą na ladzie kartkę z ceną i podsuwa szeryfowi terminal płatniczy.

– Czekaj... Co to w ogóle za pokój? Ma łazienkę?

Kobieta wciąż milczy. Ponownie puka w cenę na papierze i podsuwa terminal jeszcze bliżej. Mam wrażenie, że jest niema. Albo to, albo miała już do czynienia z obcokrajowcami i nie ma zamiaru tracić sił na próbę dogadania się. Nawet wtedy, gdy nasze języki są dość podobne. Sam Szeryf też należy do ludzi, którzy myślą, że jak powtórzy w obcym dla kogoś języku głośniejsze i wolniej, to ta druga osoba magicznie zacznie rozumieć. Raczej się nie dogadają, ale nie interweniują.

– Dobra, kurwa. Masz. – Szeryf rzuca na terminal zwitek euro, po czym zgarnia klucz z lady.

Kobieta z uśmiechem na ustach patrzy na leniwie rozwijające się banknoty, po czym, wciąż milcząco, odwraca się i wraca na fotel w składziku.

– Może to i dobrze, że o nic nie pytają i nie chcą dokumentów – rzuca Szeryf w drodze schodami na drugie piętro. – Nie zostawiamy tu żadnych śladów. Po tym, co stanie się dziś w nocy, musimy ulotnić się jak duchy.

– Kiedy zdążyłeś wymienić walutę?

– Zawsze wożę w portfelu trochę gotówki w różnej walucie. Mam też dolary.

– Po co?

– Na różne okazje. Niespodziewana wojna, kataklizmy... Konieczność ucieczki z kraju.

Docieramy na nasze piętro. Szeryf przez moment siłuje się z zamkiem w drzwiach, po czym wchodzimy do pokoju. Wnętrze wygląda obskurnie, ale ma to, czego nam potrzeba, czyli dwa łóżka i łazienkę. Od razu podchodzę do okna, bo zaduch panujący w środku przypomina mi to, co zastaliśmy w domku obok stodoły niecałą godzinę temu.

Zadziwia mnie cisza panująca na zewnątrz. W moim mieszkaniu zaraz zaatakowałyby mnie kakofonia dźwięków. Szum przejeżdżających samochodów, syreny toby się pojawiały, to milkły, zestrajając się z gwarem ulicy. Tutaj mam wrażenie, że do ciszy panującej w środku wpuściłem tylko jeszcze więcej ciszy.

– Luksusów nie ma, ale to chyba nawet dobrze – rzuca Szeryf, rozsiadając się na łóżku. Mam wrażenie, że we wszystkim stara się szukać pozytywów. – Kurwa, czułbym się winny, śpiąc w lepszych warunkach... Wiedząc, że być może Natałka jest dziś tam... U tych pierdolniętych świrów. Myślisz, że tam jest?

– Nie wiem. Wiem, że na pewno są tam te dwie dziewczyny. Rysiek, co zrobimy? Może to czas na policję?

– Żadnej policji, młody. Przynajmniej nie teraz... Jeśli mają moją córkę... Jeśli jest z nimi Natałka, to nie chcę tam policji. Musisz zrozumieć.

– Ale...

– Nie. Nie będzie żadnego „ale”.

– To jaki jest plan?

– Wróć tam w nocy. Punkt trzecia. Ulubiona godzina złodziei. Wtedy ludzie śpią najmocniej i nawet po przebudzeniu nie są w stanie szybko dojsć do siebie. To mi da początkową przewagę... O ile sam zdołam się do tego czasu trochę przespać.

– Włamiemy się?

– I tak, i nie. Tak w sensie włamania, nie w sensie „my”.

– Nie rozumiem.

– Nie pójdziesz tam ze mną, młody.

– Co? O czym ty...

– Zostaniesz tutaj i dasz mi trzy godziny. – Szeryf kiwa głową w stronę stojącego przy łóżku telefonu. – Jeśli po trzech godzinach to maleństwo nie zadzwoni, to wezwiesz te swoje gliny.

– Zapomnij! Idę z tobą. Jak mam cię niby z tym zostawić? Po tym wszystkim, co...

– Młody, uspokój się. Już postanowione. Zrozum mnie, OK? Wpakowałem cię w gówno, którego nigdy sobie nie wybaczę, a nie wiem, czy dziś w nocy nie szykuje się coś gorszego. Będzie nieprzyjemnie, tyle ci powiem.

– Przecież mówiłeś, że żadnej policji. Teraz mówisz, żebym dzwonił?

– Tak... Jak nie wrócę przez te trzy godziny, to uwierz, że będzie mi już wszystko jedno. Wtedy zadzwoń do nich, niech wywrócą ten ich pierdolony domek i stodołę do góry nogami i uratują moją córkę. Opowiedz też glinom wszystko, co się wydarzyło. Tylko nie mów, że byłeś u mnie... wtedy... Najlepiej powiedz, że po pijaku opowiadałem ci o tej sprawie z producentem i stąd to wszystko wiesz. Powiedz, że przyznałem się do poturbowania tego twojego kumpla i każdego grzechu, którego nie mają komu przypisać. Jeśli będą chcieli, to niech będzie nawet, że zastrzeliłem Kennedy'ego, rozumiesz? Zejdą ci wtedy z głowy. To najważniejsze.

– A tobie to będzie obojętne...

– Tak...

– Powinienem pójść z tobą.

– Wiem... I wiem, że byś poszedł. Dobry z ciebie dzieciak, Karol. Ale będę uzbrojony... Po zęby. Pamiętasz, co stało się ostatnio, gdy wyjąłem nóż?

– Aha, czyli o to chodzi. Nie o to, że nie chcesz mnie w to dalej pakować, tylko o to, że będę ciężarem?

– Nie mów tak, młody, wiesz, że to nieprawda.

Przez chwilę trwamy w ciszy. Nie chcę tego ciągnąć i jeśli mam być szczery, cieszę się, że dla mnie wszystko kończy się tutaj, w tym pokoju. Cel, dla którego w ogóle postanowiłem pomóc Szeryfowi, już dawno stał się czymś niewyraźnym. Jakąś ledwo dostrzegalną kropką na horyzoncie, przysłoniętą przez całe to gówno, którego doświadczyłem po drodze.

Przypominam sobie o wizytówce tego gliniarza wylegującej się w kieszeni. Jeśli licznik czasu dobiegnie końca, to właśnie do niego zadzwonię po pomoc.

– Jak chcesz to rozegrać? – pytam po chwili.

– Mam sprzęt. Łom, szcypce do metalu. Bez problemu zajmę się tą kłódką od stodoły. Z domem też nie będzie problemu. W razie gdyby się obudzili albo nie spali... Tak jak mówiłem, wezmę ze sobą nóż. Załatwię ich, jeśli będzie trzeba... Jest ich tam tylko dwóch, z czego jeden jest upośledzony, a drugi przeraźliwie chudy. Skurwiel musi coś brać, ludzie normalnie tak nie chudną.

Znowu nastaje krępująca cisza. Myślę o tym, jak wielkim błędem było zostawienie tego wszystkiego za sobą i ucieczka do hotelu. Staram się to sobie jakoś zrationalizować, tak jak Szeryf, ale nie potrafię. To była tylko ucieczka. Próba odroczenia tego, co ma nastąpić. Jesteśmy po prostu zbyt przerażeni.

Niby ma to sens, zakraść się tam pod osłoną nocy i niezauważenie przeszukać stodołę, ale wiem, że każda godzina, w której te kobiety zostają same w tamtym miejscu...

Wiem więcej od Szeryfa, więc cholernie się boję, że mogą nie dożyć trzeciej w nocy.

– Słuchaj... – rzuca po chwili Szeryf. – Nie chciałbyś czegoś zjeść, zanim się położymy? Umieram z głodu. Muszą tu mieć jakieś knajpy, ja stawiam.

Kiwam twierdząco głową.

– To chodźmy stąd, póki jeszcze mogę chodzić, i poszukajmy czegoś do żarcia. Potem walniemy się spać. Mam wrażenie, że kończyny mam z ołowiu.

Schodzimy na dół. Próbuję jeszcze raz nawiązać kontakt z recepcjonistką i zapytać o jakieś knajpy w pobliżu, ale skoro nie obudziły ją jeszcze odgłosy własnego chrapania, to nie obudzi jej mój podniesiony głos o dużo mniejszym natężeniu decybeli.

Wychodzimy z budynku. Przechadzamy się w deszczu, szukając jakiegoś baru, w którym moglibyśmy się posilić. Adrenalina nagromadzona w żyłach przez kilka ostatnich godzin zaczyna powoli odpuszczać, przez co czuję rozlewające się po ciele zmęczenie. Szeryf w ogóle przestał się już odzywać.

Mam wrażenie, że zrobiliśmy już pełne kółko po mieście. Najwyraźniej kultura jedzenia śniadań nie wykształciła się na takim zadupiu, co z trudem dociera do mojego mózgu wciąż pamiętającego czasy w korpo. Nikt tu nie słyszał o brunchach...

Zrezygnowani łądujemy w najbliższym sklepie. Szeryf wrzuca do wózka wszystko, co da się przegryźć bez gotowania. Na samym końcu do jogurtów i kabanosów w wózku dołącza też flaszka wódki.

Wracamy do hotelu. Kobieta za ladą zdążyła się już obudzić, ale ze snu przeszła w stan paraliżu, połączonego z oglądaniem jakiejś tureckiej telenoweli na małym telewizorku w kącie. Wydaje mi się, że nawet nie mruga.

W pokoju zdążyło się ochłodzić. Gdy siadam na łóżku, zauważam, że część pościeli zmokła mi od wpadającego przez uchylone okno deszczu, ale jestem zbyt zmęczony, by miało mi to w czymś przeszkadzać.

Szeryf podaje mi jogurt i plastikową łyżeczkę. Jem powoli, wsłuchując się w krople deszczu stukające o parapet. Myślę o Natalce i o tym, czy to naprawdę możliwe, że ją dziś zobaczę. Łapię się na tym, że wyczuwam lekkie podniecenie. Jakaś część mnie wierzy, że może się udać.

Wracam pamięcią do dnia, w którym zdjęła w końcu bandaż z twarzy. Gdy dała mi zobaczyć i dotknąć blizny. Była taka podobna do mojej...

Kiedy na drugi dzień pojawiła się w końcu w szkole, nikt się nie śmiał. Nikt nie szydził z niej tak jak ze mnie. Natałka była zbyt popularna. Gdy dwójka dzieciaków dokuczała mi na przerwie, po prostu stanęła obok i zapytała ich, czy pośmieją się też z niej. Nikt nie miał odwagi, nawet z tą blizną była niesamowicie piękna... Większość dzieciaków po prostu z dnia na dzień zmieniła nastawienie i zabczała jak stado owiec, że ta blizna to najfajniejsza rzecz, jaką w życiu widzieli.

Zostawili mnie w spokoju.

Wtedy poczułem tę niesamowitą więź, jaka nas połączyła. Gdy stała obok, w końcu byłem normalny. Pamiętam, że wtedy poczułem, że chciałbym, by już zawsze stała obok...

Coś uderza mnie w ramię, wrywając z zamyślenia. To Szeryf, machający mi przed oczami flaszką wódki. Biorę siarczystego łyka i oddaję ją z powrotem. Chyba obaj rozumiemy, że bez tego nie zaśniemy. Nie gdy wisi nad nami widmo tego, co ma wydarzyć się w nocy. To może być noc pełna radości, ale też pełna strachu.

– Zastanawiałeś się kiedyś, czemu wybrała tę drogę? – pytam.

– Hm?

– Natałka. Czemu... Po co to wszystko?

– Ojcowie nigdy nie rozumieją córek, młody. Kto wie, co jej się urodziło w tej głowie. Matkę miała porządną. Żadnych złych wzorców. Zresztą wiesz, dobrze ją znałeś.

Znałem. Fakt, była porządną. Aż za porządną. Życie z nią musiało być trudne. Pamiętam, że zabawa kończyła się zawsze, gdy wracała do domu. Już na godzinę przed jej planowanym powrotem z pracy Natałka dostawała paniki. Latała po całym domu, sprzątając wszelkie ślady naszej aktywności. Nigdy tego nie rozumiałem. Fakt, jej matka miała fioła na punkcie czystości, ale nigdy nie karała Natałki za zaniedbania w tym aspekcie.

A przynajmniej nigdy tego nie widziałem...

– Myślisz, że mogłeś jakoś temu zapobiec? – pytam, ponownie łapiąc za butelkę.

– Próbujesz wywołać we mnie poczucie winy czy o co ci chodzi?

– To tylko pytanie.

– Nie wiem. Pewnie tak. Tylko że sam nigdy się nie dowiem, jak miałbym to zrobić. Czy popełniłem błąd? Na pewno, i to całą masę. Czy wiem gdzie? Cholera, młody... Będziesz miał dzieci, to sam zrozumiesz.

– Co zrozumiesz?

– Że nikt nie wie, jak je wychowywać. To ciągle próbowanie różnych rzeczy na ślepo. Ładujesz do miski różne składniki, wydaje ci się, że powinien z nich wyjść biszkopt, a wychodzi chleb. Rozumiesz?

– Jak żyła z matką?

– W jakim sensie?

– Dogadywały się?

– Krysia była... Była, jaka była. Już jej nie ma, nie powinniśmy źle o niej mówić.

– Źle? Co masz na myśli? Masz do powiedzenia coś złego?

– Nie, po prostu. Czasem nie pozwalała Natalce być po prostu dzieckiem, a później nastolatką. Takie mam wrażenie. Wiecznie ganiła ją za jakieś głupoty. Staralem się w to za bardzo nie wtrącać, wiesz... Tak jak mówię, ojcowie nigdy nie rozumieją córek, więc starałem się za bardzo nie mieszać w jej wychowanie i zostawić to Krysi. Zawsze mówiła mi, że jak będziemy mieli syna, to zajmę się synem, ale Natalkę mam zostawić jej... Może mogłem się nie wycofywać... Też brać w tym udział... Sam nie wiem. Nie chcę dziś o tym myśleć, młody. Chcę się przespać.

Patrzę, jak dopija resztkę wódki, owija się kocem i kuli w kłębek, przytulając się do ściany. Wygląda bezbrinnie, jak pokonany starzec. Nie potrafię wyobrazić sobie, jak dziś w nocy chce wziąć sprawiedliwość we własne ręce.

– Jeśli popełniłem jakieś błędy, to je naprawię – rzuca nagle, będąc już chyba na granicy snu. Wódka zrobiła swoje.

– Śpij, Rysiek. Odpocznij. – Naciągam koc mocniej na jego plecy, po czym sam kładę się na swoim łóżku.

Krople deszczu uderzają o parapet w dziwnie rytmiczny sposób, przypominając mi dźwięk tykającego zegara. Chłodny wiatr hula po pokoju, wdzierając się do środka przez nieszczelne okna. Firanki falują, nie wiem, czy to też sprawa wiatru, czy helikoptera w głowie po wódce. Powieki mam ciężkie, jakby ktoś przyczepił do nich małe ciężarki. Sen przychodzi po cichu, jest jak pocałunek matki układającej cię do snu.

Nie pamiętam tylko, czy nastawiałem budzik, ale przecież do nocy jeszcze daleko, nie będziemy spali tak długo...

* * *

– Dlaczego? – pytam Natalkę, przetrzepującą szafki w kuchni. Żeby sięgnąć tych wyższych, musiała sobie podstawić taboret.

– Mógłbyś mi pomóc, zamiast gadać.

– Twoja mama niedługo wróci z pracy...

– Dlatego musimy się pospieszyć.

Sięga coraz wyżej. Ma na sobie śnieżnobiałą sukienkę sięgającą jej do kolan, ale gdy tak stoi, jestem w stanie dostrzec biel jej ud. Biel zakłóconą przez ropiejącą ranę. Po chwili dostrzegam, że jest ich więcej. Małe, okrągłe, szarawe rany, z których coś się sączy.

– Mam!

Zeskakuje z taboretu, zawijając to, co znalazła, w kuchenną szmatkę. Wie, że nie chce tego oglądać.

– Natałka, twoja noga...

– Co?

– Coś ci się stało?

– Nic mi nie jest – odpiera z wyrzutem. – Jaki masz problem?

– Ja tylko...

Patrzę, jak naciąga sukienkę tak nisko, jak to tylko możliwe. W oczach widzę wstyd.

– Chodźmy na górę – rzuca, ciągnąc mnie za rękaw. – No chodź, nie mamy czasu.

Zamykamy się w jej pokoju. Pachnie cukrem i truskawkami, dookoła mnóstwo różu. Natałka podchodzi do dużego stojącego lustra i dokładnie ogląda swoją twarz. Naciąga skórę pod oczami, uśmiecha się i marszczy czoło, jak aktorka rozgrzewająca się przed występem.

– Natałka, naprawdę nie powinniśmy...

– Będę taka jak ty, nie chcesz tego?

– Chcę, ale to chyba nie jest dobry...

– Och, zamknij się już. Lepiej powiedz mi, jak to zrobić.

Sięga po zawinięty w szmatkę przedmiot. Wystarczyło, żeby ostrze wyciągniętego noża mignęło mi przed oczami, żebym poczuł, że muszę usiąść. Siadam na łóżko i odwracam się plecami. Nie chcę na to patrzeć.

– Bolało? – pyta po chwili.

– Nie pamiętam.

– Spróbuj sobie przypomnieć. Bolało?

– Chyba piekło. Nie wiem...

– Piekło... Nie brzmi strasznie. Jeśli tylko trochę popiecze...

– Chyba naprawdę lepiej, żebyś nie...

Słyszę krzyk. Potworny okrzyk bólu. Wpijam się dłońmi w kołdrę, miętoszę ją w dłoniach z całych sił, gdy ona dalej krzyczy. W głowie przelatują mi potworne obrazy. Nie potrafię nie myśleć o tym, co robi. Myśli wracają do tamtej nocy...

Po chwili Natałka milknie. Słyszę tylko ciche pochlipywanie.

– Natałka?

Odwracam się. Widzę, jak kuca przed lustrem, chowając twarz w ścierkę. Czarny materiał szybko zrobił się mokry, bordowa plama metodycznie poszerza granice.

– Natałka?

Podchodzę bliżej i kładę jej dłoń na ramieniu. Patrzę, jak powoli odkleja szmatkę od twarzy i odwraca się od lustra w moją stronę.

– Jest źle? Karol?

Zawraca mi się w głowie.

– Karol? Powiedz coś. Zbladłeś. Karol?

Pocięta twarz Natałki niknie w tunelu. Robi się coraz ciemniej.

– Karol!

* * *

Przez kilka pierwszych sekund nie potrafię rozpoznać, czy to jawa, czy sen.

W pokoju jest ciemno, jedynie światło latarni wdzierające się zza okna rzuca poblask na wpatrującą się we mnie twarz.

Coś jak z koszmaru. Szeroki uśmiech. Krzywe próchniejące zęby i kozia bródka. Czuję ciepło na skórze i cuchnący oddech, jakby w żołądku tkwiło rozkładające się truchło.

Po chwili ból rozlewa mi się po twarzy, ciągnąc się od nosa po żuchwę. Krew tryska salwą na białą hotelową pościel. Z boku dociera mnie głos Szeryfa.

– Skurwysyny! – Głos milknie nagle jak przecięty gilotyną. Odwracam głowę. Szeryf klęczy na środku pokoju. Mam wrażenie, że wszystko, co widzę, jest pocięte, jak w teledysku. Do świadomości docierają tylko fragmenty wydarzeń.

Szeryf trzyma się za brzuch, ledwie łapiąc oddech. Stojący nad nim grubas rozmasowuje pięść. Dyszy, ale nie ze zmęczenia. Dyszy z podniecenia.

Ponownie patrzę przed siebie, tamując dłonią ciekący nos. Ciepła krew przelewa mi się przez palce, a twarz nade mną wciąż się uśmiecha.

– Mówiłem ci, Krystian! – krzyczy gość przede mną. – Mówiłem, że widziałem tę poharataną mordę wtedy na parkingu! To ta sama gęba! Ta sama, która oglądała audycję na żywo z dziwnej lokalizacji! Jechali za nami całą drogę! Sam widziałeś to auto na parkingu.

To nie sen. Koszmar dzieje się naprawdę.

Zrywam się z łóżka. Krzyczę. Krzyczę jak nigdy wcześniej. Próbuję dobiec do drzwi, ale w połowie drogi nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Stają się bezużyteczne, jak zabawki bez baterii. Coś mnie powaliło. Nie czuję bólu, może adrenalina go tłumi, jedynie odrętwienie.

Leżę na boku. Wzrok przesłaniają gęste czarne plamy. Patrzę na klęczącego Szeryfa. Grubas zakłada mu na twarz płócienny worek, mocno zaciskając przy szyi. Mam wrażenie, że zaraz go udusi. Szeryf wije się i charczy. Po chwili słyszę głucho huknięcie, a Szeryf pada na twarz. Kozia bródka stoi nad nim, wymachując kijem baseballowym jak rozgrzewający się pałkarz.

Próbuję krzyczeć, ale żaden dźwięk nie wydobywa się na zewnątrz. Wszystko niknie gdzieś w środku, rezonuje w płucach. Powietrze łapię małymi łydkami, mam wrażenie, że zaraz się uduszę.

– Co jest, mały? Chcesz mi coś powiedzieć? – Kozia bródka staje nade mną. Gładzi kij dłonią jak posłuszne zwierzę.

– Marcin! Uderzyłeś go w plecy! – Grubas targa brata za rękaw. – Nic nie powie... Zła... Zła... Złamałeś mu kręgosłup.

– Chuja mu złamałem, debilu. Możesz się tak nie drzeć? W hotelu są ludzie.

Kozia bródka kuca i przybliża się niemal jak do pocałunku. Znowu czuję ten paskudny oddech. Żalotne rżenie jest jedynym, co słyszę w ciemnym pokoju. Chwilę zajmuje mi zrozumienie, że te dźwięki wydobywają się ze mnie.

– Dostałeś w płuca, więc trochę będzie cię teraz blokować. – Klepie mnie po twarzy. – Jak nie możesz mówić, to mrugaj, OK?

Wpatruję się w oprawcę. Nie rozumiem ani słowa, skupiam się już tylko na oddechu. Mgła zachodzi mi na umysł, w uszach zaczyna pisać. Znam to uczucie aż za dobrze. Zaraz odpłynę.

– Zapytam tylko raz, mały. Kim wy, kurwa, jesteście i czego od nas chcecie?

Kolejne klepięcie w twarz wydobywa mnie z odmętów. Piekący ból zajmuje cały policzek.

– Gadałem z recepcjonistką ze Sliders... Tak się składa, że jej szef nie wywiązał się z kontraktu ze mną i przepadł jak kamień w wodę. Gdy ją trochę przycisnąłem, wyjawiała mi, jak wyglądał jego ostatni dzień pracy...

Mętym wzrokiem obserwuję jego przesuwającą się w lewo i w prawo szczękę, nie rozumiejąc z tego, co mówi, niemal ani słowa.

– Mówiła, że odwiedził go jakiś stary z jakimś młodym i że próbowali go zabić... Młody miał mieć poharataną mordę... Chcecie przejąć biznes? Mów, kurwa! Nie będę pytał znowu!

Nie odpowiadam. Zamykam oczy, czekając na najgorsze, ale klepięcie w policzek sprawia, że znowu je otwieram.

– Dobra, rozumiem... – Kozia bródka wstaje, stukając kijem o podłogę jak laską. – Do zobaczenia po drugiej stronie.

Kątem oka dostrzegam zamach.

Potem jest już tylko ciemność.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Zimno.

Chłód posadzki sprawia, że cały dygoczę, jakbym miał gorączkę. Panująca dookoła wilgoć jest wręcz namacalna. Mam wrażenie, że powietrze można zrolować i wykręcać jak mokry ręcznik.

Nie czuję ust. Wargi mam napuchnięte jak u instagramowej modelki. Język cały czas usilnie wciska się w dziury, w których do niedawna tkwiły jeszcze zęby, raz za razem serwując salwy szokującego bólu, gdy tylko dotknie rany.

Skrzepnięta krew musiała zespawać mi powieki. Otwarcie oczu przychodzi z trudem i okazuje się bezcelowe.

Bezcelowe... Bo dookoła tylko ciemność.

Okropny ból rusza wzdłuż kręgosłupa jak elektryczny impuls, gdy tylko próbuję poruszyć głowę. Nagle uświadamiam sobie, że zarówno ręce, jak i nogi mam czymś splecione. Jestem przypięty do ciemności, o którą się opieram. Nie mogę się wyswobodzić. Oddech przyspiesza, zaczynam panikować.

Kurwa mać...

Tutaj umrę?

Wydaję z siebie żalospny jęk, tylko na tyle mnie stać, choć nie sędzę, żeby ktoś mógł to usłyszeć. Wierzgam, starając się poluzować węzły. Zaczynam płakać. Leci mi z oczu, ust i nosa. Krew, ślina i łzy, wszystko miesza się ze sobą i kapie na zimną betonową podłogę.

– Obudził się? – Jakiś szept wydobywa się z mroku przede mną.

Zamieram w bezruchu. Nasłuchuję i skupiam wzrok, starając się wyłapać kolejne dźwięki. Wilgotne łzy wymyły z oczu zakrzepłą krew i teraz przynajmniej mogę mrugać.

Zastanawiam się, czy tylko mi się przesłyszało. Gdzieś przeczytałem, że aby lepiej widzieć w ciemności, trzeba próbować zerkać kątem oka, ale to gówno prawda. Dalej nic nie widzę. Próbuję jęknąć, dać znać, że tu jestem. Chcę, żeby głos wrócił.

– Ej, ty tam? – Kobięcy szept znów rozchodzi się po pomieszczeniu. – Nic ci nie jest? Widziałam, jak cię tu wnoszą. Światło wpadło tylko na chwilę, gdy otworzyli piwnicę, ale... Ciągnęli cię jak zwłoki. Bałam się, że... – Jej głos przechodzi w jeszcze większy szept. – Że siedzimy tu z jakimś trupem.

Piwnicę? Kurwa mać. Zamknęli mnie w piwnicy? Czy to to samo miejsce, w którym byliśmy z Szeryfem jeszcze dziś rano? Gdzie jest Szeryf? Siedzi tu ze mną?

Próbuję przypomnieć sobie wydarzenia z hotelowego pokoju, ale urywki scen przelatują mi przed oczami zbyt szybko. Głowa pęka, jak tylko usiłuję skupić na czymś myśli. Lepiej byłoby po prostu patrzeć w mrok. Poddać się i tylko patrzeć. Wtedy by nie bolało.

– Ej, powiedz coś. Słyszysz mnie?

– Słyszę... – odpowiadam, ale nie wiem, czy to, co wyszło z moich ust, w ogóle przypominało ludzką mowę. Każde słowo okrutnie boli. – Na... Natałka?

– Co? Co mówisz? Musisz głośniej, nic nie rozumiem.

– Natałka?

– Natałka? Jaka Natałka?

– Kim jesteś? – pytam, wyczuwając językiem, jak kiwa mi się jedyńka.

– Kim jestem? A ty kim jesteś?

To nie Natałka, nie rozpoznaję tego głosu. Ten Natałki był delikatny, niemal anielski. Kobieta przede mną brzmi, jakby kilka ostatnich lat hartowała gardło whisky i szlugami. To nie ona, na pewno...

Nie odpowiadam. Przez chwilę skupiam się na krępujących mnie węzłach. To nie kajdanki, jak u Szeryfa. To jakaś lina.

– Zresztą – odzywa się ponownie kobieta. – Wiesz co... mam w dupie, kim jesteś. Jesteś z nimi? Wiesz, czemu nas tu zamknęli?

– Ja...

– O co tu chodzi?! Miałam jechać kręcić film do domu jakiegoś producenta. Rozmawiałam na kamerce z jakąś dziewczyną, która już tu podobno była, mówiła, że dobrze płacą, a sceny są łatwe. Umówiła mnie na spotkanie... Podeszłam do tego ich auta i zobaczyłam tę Rosjankę śpiącą na tylnym siedzeniu. Wydało mi się to dziwne, że śpi. Pomyślałam, że dali jej pigułkę gwałtu czy coś... Powiedziałam, że nie, że za chuja tam z nimi nie wsiądę i że dzwonię po policję. Wtedy ten z kozią bródką kazał mi się uspokoić. Powiedział, że ta Ruska po prostu się upiła. Że mają alkohol, a że przed nami długa droga, to też mogę sobie gołnąć. Nie wiem, jakoś mu uwierzyłam, więc wsiadłam. W wozie dali mi drinka, zaraz poczułam się senna... Jak się obudziłam... Kurwa mać. Byłam taka głupia...

Głos dziewczyny złamał się jak zapałka. Zaczęła płakać. Zdaję sobie sprawę, że nic nie rozumiem z jej potoku słów, a jakakolwiek próba analizy sprowadza na mnie jedynie kolejne salwy bólu głowy.

Nagle słyszę głos drugiej kobiety. Jest tu ktoś jeszcze? Mówi coś po rosyjsku, ale to chyba tylko bełkot, jakby półprzytomna mówiła sama do siebie. Ile osób siedzi w tej

piwnicy?

– Ej! Ej! Znasz może rosyjski? – Poprzednia kobieta odzywa się ponownie. – Ta dziewczyna siedziała w aucie, gdy się przysiadłam. Może ona coś wie... Jeśli to jakiś pojebany wstęp do filmu, to przysięgam, że was wszystkich...

– Ile was tu jest?

– Tylko ja i ona. Co ty, ślepy jesteś?

– Prawie nic nie widzę.

– No tak... Też tak miałam na początku. Oczy się muszą przyzwyczać. To znasz rosyjski czy nie?

– Nie...

– Kurwa. Zresztą nieważne. Ona chyba jest naćpana, gównem by nam powiedziała. Mocno się z tymi typami szarpała i widziałam, jak wstrzykują jej coś w ramię. Szybko się po tym uspokoiła. Ja wiem, że w takich sytuacjach trzeba być grzecznym. Nie prowokować. Wybite zęby jeszcze nikomu nie pomogły wydostać się z potrzasku... Kurwa mać... Słyszysz, jak stukają mi kolana? Cała drzę... Boję się. Kurwa, boję się. Co oni robią? Czemu nas tu trzymają? Znasz ich?

Dociera do mnie, że dziewczyny nie mają najmniejszego pojęcia, co je czeka. Ten głos w ciemności chyba wciąż ma głęboką nadzieję, że to nie dzieje się naprawdę. Że to być może tylko wstęp do filmu... Nic nie wiedzą...

W przeciwieństwie do mnie.

Ja widziałem wideo. Widziałem, jak podobne im kończyły w szopie.

– Był tu ktoś jeszcze? – pytam, starając się artykułować słowa tak wyraźnie, jak tylko jestem w stanie. – Mężczyzna. Starszy.

– W sensie z tobą?

Jak głupi kiwam głową, jakby mogła to dostrzec w tych ciemnościach.

– Widziałam kogoś. Gdy otworzyli drzwi, żeby cię tu wrzucić. Stał tam jakiś facet z workiem na głowie. Kto to? Twój przyjaciel?

– Jesteście związane?

– Tak. Jakimś sznurem, przywiązali mnie do jakiegoś żelastwa w ścianie. Zdarłam sobie skórę z nadgarstków aż do mięsa. Chyba krwawią, ale nie widzę w tej ciemności.

– Była tu z wami... Natałka?

– Nie wiem. Nie wiem, jak się nazywała ta, co siedziała tu, zanim nas wrzucili. Potem ją zabrali. Ona... Ona chyba długo nie wraca.

Głos dziewczyny robi się apatyczny, jakby myślami odpływała gdzieś daleko. Wspomnienia kilku ostatnich godzin muszą uderzać z wielką siłą.

Nagle dociera do nas przerażający zgrzyt.

Stalowe drzwi się rozsuwają. Pasek pomarańczowego światła kładzie mi się na twarzy, co po chwili spędzonej w ciemnościach wywołuje fizyczny ból gałek ocznych. Mrużę powieki, starając się rozpoznać wyłaniający się z korytarza kształt. Serce zamiera mi w piersi.

Obwisła maska ze świńskiej skóry, pozszywana tak, żeby pasować do ludzkiej twarzy. Dwie dziury na oczy i kryjące się za nimi czarne jak smoła źrenice, jakby zamiast oczu tkwiły tam dwie zięjące otchłanie.

Przerażająca postać wpatruje się we mnie, ciężko dysząc. Z każdym oddechem nagie tłuste ciało pod rzeźnickim fartuchem faluje, spuchnięte barki to unoszą się, to opadają. Zamaskowany mężczyzna przyjmuje postawę, jakby był gotowy do szarży, a pierwszym, co napotkał, była moja, siedząca naprzeciwko wejścia, zakrwawiona twarz.

Podchodzi bliżej, jego kroki są szybkie. Bardzo agresywne, wręcz zwierzęce. Słyszę stąd jego oddech. Próbuje się wyrwać, ale liny, którymi przywiązali mnie do jakiejś rury w ścianie, są zbyt mocne. Wyszarpują kawałki skóry przy każdym większym zrywie.

Świńska twarz jest coraz bliżej. Nachyla się nade mną, jak zwierzę obwąchujące ofiarę. Staram się odwrócić głowę, ale wiąże się to z przeszywającym bólem. Czuję ciężar napierający mi na pęcherz. Ciepło rozlewające się po udach...

Wtedy dochodzi nas głos z głębi pomieszczenia. Jedna z dziewczyn zaczyna panicznie krzyczeć. Przerażający lament złamanej osoby. Świńska maska momentalnie odwraca głowę i rusza w stronę dźwięku. Łapie dziewczynę za włosy, rozcina liny szybkim cięciem noża i wywleka ją z piwnicy.

Drzwi się zamykają.

Masywna metalowa zasuwka opada ciężko, jak gilotyna.

Znowu nastaje cisza i mrok. Słyszę tylko ciche, paniczne pojękiwanie dziewczyny z głębi pomieszczenia. Biorę głębokie wdechy, zdając sobie sprawę, że cały czas wstrzymywałem oddech. Czuję się, jakbym kilka ostatnich minut spędził pod wodą.

Nie mam pojęcia, którą zabrał facet w masce, Polkę czy Rosjankę. Wygląda na to, że uratował mnie fakt, że któraś z nich spanikowała. O ile da się to nazwać ratunkiem. Wyczuwam wilgoć na spodniach. Zeszcząłem się, ale nie to jest teraz ważne. Przez chwilę w głowie mam całkowitą pustkę. Jak blisko śmierci byłem? Jak blisko jestem teraz?

Muszę się stąd jakoś wydostać. I to szybko.

– Ej! – Próbuje zawołać płaczącą dziewczynę. – Ej, słyszysz mnie? Kto tu został? Ty ze mną rozmawiałaś?

Nikt nie odpowiada. Jedynie żałosny płacz w ciemności.

- Ej! Słuchaj. Musimy się stąd wydostać, słyszysz?! To ty?!
- Ja... – odpowiada mrok, pociągając nosem. – To ja...
- Masz może przy sobie coś ostrego? Cokolwiek, co przetnie te węzły?
- Nic nie mam.
- Sprawdź kieszenie. Może nawet nie wiesz. Może jakiś pilniczek do paznokci, cokolwiek...
- Nie...
- Co nie?
- Jestem naga. – Wybuchła płaczem. – Zabrali mi wszystkie ubrania.
- Jezus Maria...

Wyobrażam sobie, jak musi się czuć, siedząc na tej betonowej posadzce od kilkunastu godzin. Nagle czuję się szczęściarzem... Jeśli nie zabije jej ten facet w masce, zrobi to zapalenie płuc...

Czas.

Teraz to czas jest kluczowy. Nie wiem, ile go mamy, zanim drzwi przede mną znowu się otworzą. Nawet jeśli i tym razem nie zostanę wylosowany, to w końcu i tak otworzą się tylko dla mnie...

Staram się nie myśleć o tym, co może dziać się teraz z kobietą, która spanikowała. Próbuję wymacać rurę, do której mnie przywiązali. Opuszkami zdrętwiałych palców wyszukuję jakichś nierówności, czegokolwiek, co pozwoli mi rozpruć te węzły. Podnoszę się, jęcząc z bólu. Chyba mam pęknięte żebra. Zdrętwiałe kolana są jak drewniane bale. Ból jest przepotworny, od razu spycha na dalszy plan każdą głębszą myśl, ale muszę się skupić. Dokładnie obmacuję rurę, przesuwając dłonie coraz wyżej i wyżej.

Jeszcze wyżej...

Jest.

Miejsce spawu. Metalowe zgrubienie.

Wystarczająco ostre, jeśli będę miał dość czasu...

Staję na palcach, przyciskam się barkiem do ściany i metodycznie podnoszę i opuszczam dłonie, starając się za każdym razem zahaczać liną o ostrą krawędź. Z każdym ruchem jęczę z bólu i, jeżeli mam być szczerzy, nie wiem, czy to zgrubienie naprawdę tam jest, czy tylko chcę, żeby tam było, a umysł płata mi figle, bo próbuje odwrócić uwagę od tego, co czyha za drzwiami.

Bo nawet jeśli się uwolnię, to co dalej?

- Co robisz? – pyta kobieta z mroku. – Coś się z tobą dzieje?
- Próbuję... Się... Uwolnić...
- Brzmi, jakby bardzo bolało.

– Bo boli.

– Jesteś aktorem?

Absurd tego pytania sprawia, że na chwilę przestaję piłować. Dopiero po kilkunastu sekundach dociera do mnie, jakiego rodzaju aktorstwo ma na myśli.

– Nie.

– Czemu nas tu zamknęli? Nie mam nic, czego mogliby chcieć. Nie mam rodziny... Nikt nie zapłaci okupu. Chcą mnie zgwałcić? Na Boga, przecież jechałam tu dobrowolnie, żeby nagrywać z nimi filmy... O co tu chodzi? Drętwieją mi ręce... Słyszysz mnie?

– Słyszę.

Myślę o Szeryfie. O tym, dlaczego nie wrzucili go tu razem ze mną.

– I co, dasz radę?

– Jest tu ostra krawędź. Ale to potrwa...

– Mogę ci jakoś pomóc?

– Mów, jeśli usłyszysz coś za drzwiami.

Może to irracjonalne, ale boję się, że jeśli znajdą mnie w tej pozycji, próbującego się uwolnić, to cokolwiek tam dla mnie przygotowali, będzie jeszcze bardziej przerażające. Wiem, że nie da się „umrzeć bardziej”, ale przeraża mnie sama perspektywa zadawanego bólu. W hotelu udowodnili, że za nic mają sobie nasze życie. Przecież te uderzenia pałką w głowę mogły nas zabić. Pewnie sami się zdziwili, ile mieli szczęścia, że żyjemy...

– To mój pierwszy miesiąc w branży...

– Co?

– Nagrałam tylko kilka filmów... Zarobiłam grosze.

Słowa dziewczyny niosą się po pustej piwnicy, ale mam wrażenie, że mnie omijają. Krew odpływa mi z rąk przez to całe trzymanie ich w górze. Zdrętwiałe kończyny wydają się obce. Wciąż mogę nimi ruszać, wijąc się niemal całym ciałem, ale czuję, jakby nie należały już do mnie. Oczy powoli przyzwyczajają się do ciemności, choć nie jestem w stanie powiedzieć, czy cała ta harówka przynosi jakiś efekt. Przypominam sobie o zwierzętach potrafiących odgryźć sobie łapy zatrzaśnięte w sidłach, aby tylko przetrwać...

Czy ja dałbym radę?

Sznur dźwięczy jak poluzowana struna basowa za każdym razem, gdy zahacza o krawędź.

W końcu pęka.

Padam na ziemię i uderzam plecami o betonowy mur. Przez moment nie wiem, co się dzieje. Fakt, że się udało, zadziwia mnie bardziej, niż myślałem. Oszołomienie

i panika każą mi się szybko obrócić w stronę drzwi i oczekiwać zagrożenia, ale stalowe wejście pozostaje nieruchome. Żadnych dźwięków.

Udało mi się?

– Udało ci się? – pyta dziewczyna, wyraźnie podekscytowana. – Co to było?

Nie odpowiadam. Przez moment wpatruję się w swoje bezużyteczne ramiona, czując się jak pierdolony manekin. No, dalej..., powtarzam w myślach, ale krążenie nie chce wrócić. Dopiero po chwili czuję mrowienie. Krew rozlewa się wewnątrz wycięczonych mięśni, jakby pękła tama. Znowu mogę poruszać palcami.

– Słyszysz mnie?

Niezgrabnymi, pospieszonymi ruchami rozwiązuję węzeł wokół kostek. Okazuje się to trudniejsze, niż myślałem. Ktokolwiek go zawiązywał, dysponował znacznie większą siłą niż ja w tym momencie.

Po chwili jestem wolny.

Wolny w zamkniętej piwnicy.

Cały obolały kuśtykam do dziewczyny, klękam i zaczynam rozwiązywać jej dłonie.

– Co dalej? – pyta. – Przecież nie wyjdziemy przez te drzwi.

Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć. Palce wciąż mam odrętwiałe. Mocuję się ze sznurem w strachu, że drzwi za mną zaraz się otworzą. Że cały ten wysiłek na nic. Ale w końcu czuję, jak węzeł się luzuje. Dziewczyna kręci nadgarstkami, starając się mi pomóc.

– Masz plan, tak? – pyta ponownie, z dziwną nutą nadziei w głosie, jakby myślała, że wiem, co robię.

– Nie.

– Co?

– Nie mamy jak uciec... Nie mamy gdzie się schować... Będziemy musieli... Będziemy musieli walczyć. Zaatakować go, gdy tylko wejdzie. We dwójkę może uda nam się...

– Walczyć? – Głos dziewczyny robi się piskliwy. Jest na granicy płaczu. – Przecież on nas pozabija, gdy tylko... Widziałeś go? On jest... On jest... Ja nie umiem walczyć.

Gdy dłonie ma już wolne, sama bierze się do rozwiązywania sznura wokół kostek. Nawet w ciemności jestem w stanie zobaczyć jej wychudzone nagie ciało. Zdejmuję z siebie bluzę i jej podaję.

– Włóż to.

Odwracając się twarzą do ściany, nakłada na siebie ubranie. Bluza jest na nią o wiele za duża, przez co leży niemal jak sukienka.

– Dzięki...

– Musimy mieć plan...

Nagle dziewczyna łapie mnie za barki i wpija się paznokciami aż do mięsa. Gdyby nie odrętwienie, prawdopodobnie zawyłbym z bólu. Widzę jej błyszczące kocie oczy wpatrujące się we mnie z ciemności.

– Co ty robisz?! – Próbuję się wyrwać, odginając jej palce, ale wbiła się naprawdę bardzo mocno. – Ej!

Wiję się, próbując ją z siebie zrzucić. Dopiero teraz dociera do mnie, jak bardzo jestem osłabiony, skoro tkwiąca tu kilkanaście godzin kobieta góruje nade mną fizycznie.

– Słyszysz? – odpowiada w końcu szeptem, wciąż ściskając mi barki.

– Co?

– Kroki na korytarzu... Boże!

– Wraca?

Zamek ponownie szczęka. Mam wrażenie, że tkwiące mi w barkach paznokcie dotykają już kości. Gwałtownie wstaję, odrywając dziewczynę od siebie. Ta najpierw uderza w ścianę, po czym staje za mną.

Drzwi się otwierają. Ze świńskiej maski nie biją żadne emocje, jakby gość za nią w ogóle nie zdziwił się, że udało nam się wyrwać. Jedynie dyszy, ciężko dyszy...

Najlepszą obroną jest atak, a w sytuacji zagrożenia uderz pierwszy.

Nagle przypominam sobie urywki widzianych lata temu filmów z samoobrony. Gdy patrzę na faceta przed sobą, w głowie krąży mi biblijna przypowieść o walce Dawida z Goliatem.

Wyprowadzam cios, celując prosto w szczękę, i czuję, jak elektryczny impuls przechodzi z nadgarstka aż do mózgu. Chyba go złamałem. Kurewsko boli. Maską z pozszywanych kawałków skóry jedynie lekko zafalowała.

Facet chwyta mnie za gardło i unosi jak szmacianą lalkę. Dłonie instynktownie podążają mi do palców zaciśniętych wokół mojej szyi. Dopływ krwi do mózgu odcina się jak za naciśnięciem przycisku. Wiję się i charczę. Kopię i błagam w myślach. Jedyne, co widzę, to coraz bardziej rozmazany świński ryj przede mną.

Dziewczyna próbuje chyba coś zrobić, uderza małymi piąstkami w falujące cielsko, ale to na nic.

Pragnienie wzięcia choćby małego oddechu jeszcze nigdy nie było tak silne. Mózg maluje mi w głowie obraz. Stoję na łące, pod jasnym zachmurzonym niebem. Trawa wokół mnie faluje, a ja wciążam przez nos rześkie powietrze. Klatka napełnia się nim jak balon, a ja czuję się jak spragniony wędrowiec na pustyni, który właśnie odnalazł oazę.

Po chwili świadomość wraca do brudnej i ciemnej piwnicy. Wciąż unoszę się kilkanaście centymetrów nad ziemią. Wciąż mam przed sobą tę twarz. Ale już nie

walczę. Muszę zaczerpnąć powietrza.

Oddałbym wszystko... Wszystko, co mam, za jeden... drobny...
...oddech.

ROZDZIAŁ SIEDEMNAŚCI

– Wstał?

Słyszę głosy. Docierają do mnie chyba z innego wymiaru, bo w ogóle nie czuję swojej obecności. Nie mam ciała. Jest tylko świadomość.

– Po chuj aż tak go przyduszałeś? A jakby zszedł?

– Trzymałem go... Trzy-trzymałem krótko. Jest słaby. Ja-ja nie wiedziałem...

– Potem by wyszło, że robię z gęby dupę... Już dałem kategorię do wyboru. Ludzie przelali pieniądze... Myśl, kurwa, czasem! OK?

– Do-do-dobrze, bracie.

– Dymałbyś potem trupa...

– Prze-przeprosiłem przecież.

– Zawsze przepraszasz. A potem i tak robisz coś, kurwa, głupiego.

Głosy stają się coraz wyraźniejsze. Jakaś nieznama siła nie pozwala mi po prostu odpłynąć. Wraz z powrotem cielesności wraca ból.

Otwieram oczy. Wpatruję się w swoje stopy, stojące na sianie i spróchniałych deskach. Kostki przewiązane sznurem. Gęste krople bordowej krwi kapią mi na palce. Głowa zwisa i opada na klatkę piersiową, jakby wszystkie podtrzymujące ją ścięgna po prostu zniknęły. Próbuję ją podnieść i spojrzeć na rozmawiające przede mną postaci, ale okazuje się to zbyt trudne.

– Włó-włączamy?

– Tak. Ustaw kamerkę. Stary w drugim pokoju już gotowy?

– T-tak. Czeka.

– Dobrze.

Z otoczenia wyłapuję jakiś szum. Ciągły. Najpierw wydaje mi się, że to odgłosy wiercącej wiertarki, ale to coś innego. Coś jak charczenie stada zwierząt. Do tego ciągle coś postukuje. Chwilę zajmuje mi zrozumienie, że to kości moich kolan, uderzające jedna o drugą. Cały dygocę. Ze strachu i z zimna.

– Jesteś z nami, mały?

Jakaś siła unosi mi głowę.

Przed sobą widzę kozią bródkę. Podtrzymuje mnie, trzymając dłonią za podbródek. Cały czas szeroko się uśmiecha. Wzrok mam nieco zamglony, ale wykorzystuję okazję, żeby rozejrzeć się po pomieszczeniu.

Facet w świńskiej masce ustawia kamerę na niewielkim stołku przede mną. Po prawej mam biurko i stojącego na nim laptopa podłączonego do dużego monitora. Na ławce przy wejściu leży związana dziewczyna. Nie wiem, czy żyje, czy jest po prostu nieprzytomna. Nigdy wcześniej jej nie widziałem, ale zdążyliśmy się już poznać. Wiem, kto to.

Ma moją bluzę.

– Na nią przyjdzie jeszcze kolej, mały – rzuca mi w twarz kozia bródka. Gdyby nie nos zatkany cieknącą krwią, zapewne porzygałbym się na tak silny haust jego kwaśnego oddechu. – Nie myśl teraz o tym. Dajmy jej pospać. Teraz to ty masz swoje pięć minut. Wykorzystaj je. – Zerka w bok na laptop. – Przecież patrzy już prawie pięćdziesiąt osób.

Wszystko, co do mnie mówi, dociera do mózgu jak przez sito. W głowie zostają tylko pojedyncze słowa. Z trudem unoszę wzrok, żeby spojrzeć na monitor.

Na ekranie widzę siebie. Siedzę na krześle, związany jakimś sznurem. Dłonie skrępowane za plecami.

Nagi. Wychudzony. Siny.

Zabawne...

Jestem tak obolały i odrętwiały, że gdyby nie kamera, nawet bym się nie zorientował, że mnie związali.

Przyglądam się bliżej mojej zakrwawionej i opuchniętej twarzy. Żałosny widok. Mimika niewyrażająca nawet cienia woli walki. Nie wiem, czy to, co widzę, to tylko wytwór mojej wyobraźni, jakiejś halucynacji będącej projekcją umęczonego umysłu, ale...

...ale na ekranie widzę, że nie siedzę tu sam.

Spoglądam w bok. Po mojej lewej, na takim samym krześle, siedzi kobieta, przywiązana w ten sam sposób, co ja. Rozebrana, posiniaczona i obdarta. Brudna. Jest przytomna, roztrzęsiona. Jej usta drgają lekko, jakby cały czas powtarzała sobie coś pod nosem, powtarzała jakąś mantrę albo modlitwę... W tym szumie nie jestem w stanie nic z tego wyłapać. To brzmi jak obcy język. Chyba rosyjski...

Kozia bródka siada przy biurku i obraca laptop w swoją stronę. Szybko wstukuje coś na klawiaturze. Przenoszę wzrok przed siebie, gdzie facet w masce ze skóry stoi jak posąg, wpatrując się we mnie tymi czarnymi dziurami. Pod fartuchem widzę, że ma erekcję.

Mimo że jest nieruchomy, sprawia wrażenie, jakby w każdej chwili mógł rzucić się do ataku i po prostu rozerwać na strzępy to, co ze mnie zostało. Każda chwila patrzenia w te dwie otchłania tkwiące tam, gdzie powinny być oczy, powoduje, że ulatuje ze mnie życie.

Odwracam wzrok na kozią bródkę, ten podnosi głowę znad klawiatury.

– Co jest, mały? Chcesz popatrzeć? – pyta, kiwając w stronę monitora, po czym odwraca go ponownie w moją stronę. – Co mi tam, patrz sobie.

Na ekranie wyświetla się plansza.

Plansza, którą już kiedyś widziałem...

Cztery prostokąty, każdy powoli wypełniający się kolorem i rosnącą liczbą procentów w środku każdego z nich.

Głosowanie.

Skupiam wzrok na prostokącie najbardziej wypełnionym kolorem. Przed oczami mam mgłę, wszystko zdaje się niewyraźne i rozmazane, ale wydaje mi się, że widzę, co jest na nim napisane.

„Lewa noga”.

Kozia bródka ponownie obraca monitor w swoją stronę. Facet w masce kiwa głową i wychodzi do drugiego pomieszczenia. Głowa znowu opada mi na klatkę piersiową. Widzę tylko czubki butów i opadającą na nie krwawą strużkę śliny. Chcę błagać, krzyczeć i prosić o łaskę, ale słowa klinują się w przełyku.

Krzuszę się krwią z wybitych zębów i jedyne, na co mogę się zdobyć, to płacz. Żałosny płacz. Jak dziecko, licząc na to, że ktoś się nim przejmie...

Drzwi od drugiego pomieszczenia znowu się otwierają. Słyszę trzask drewnianych desek. Zbliżające się ciężkie kroki. Niemal czuję uderzenia wiatru na nagiej skórze wywołane przez falujące pod fartuchem fałdy tłuszczu.

Podnoszę wzrok.

Świńska maska staje nade mną, demonstrując trzymany w dłoni przedmiot. W pierwszej chwili nie potrafię zrozumieć, co to jest. Zamroczony mózg słabo radzi sobie z wyodrębnieniem kształtów z tła.

Zrozumienie przychodzi wraz z falą mdłości i ciemnymi plamami przed oczami.

Ręczna piłka do metalu.

– Lewa noga! – krzyczy siedzący obok kozia bródka.

– Błagam... – zaczynam bełkotać, zalewając się śliną i krwią. Niemrawo próbuję wyswobodzić się z krępujących mnie węzłów. – Błagam, nie...

W tym momencie świńska maska rusza gwałtownie w moją stronę.

Zamykam oczy.

Po chwili przerażający wrzask rozrywa ciszę panującą w środku. Odwracam głowę w kierunku dźwięku i coś ciepłego strzela mi w twarz i oczy.

Krew z przecinanych tętnic tryska pulsującymi salwami, zalewając ciemnoczerwoną farbą wszystko dookoła. Kobieta drze się jak opętana, a świńska maska piłuje, jakby

przecinał drewnianą kłodę. Przez ten wrzask robi mi się niedobrze. Organy skręcają się i podchodzą do gardła. Coś we mnie umiera.

A on wciąż piłuje...

Kobieta krzyczy, ciągle krzyczy, a ja odwracam wzrok. Nie... Nie mogę na to patrzeć... Kurwa mać.

I piłuje...

Czemu nie mdleje?

Czemu ona nie mdleje?!

Widok piły jeżdżącej po poszarpanych kawałkach mięsa sprawia, że w uszach słyszę dobrze mi znany pisk. Przecinana kość wydaje dźwięk rodem z samego piekła. Krew cały czas strzela mi w twarz i włosy. Czuję jej metaliczny posmak na języku. Tracę przytomność... Przynajmniej ja...

Przynajmniej ja...

Czemu ona nie mdleje?

Przynajmniej ja...

* * *

Nadszedł dzień szkolnego balu. Umówiliśmy się, że pójdziemy tam razem.

Choć mogła pójść z każdym. Nie raz widziałem, jak zaczepiają ją w szkole. Adoratorów nie brakowało. Mimo to zdecydowała się iść ze mną. Patrzę na nią i zastanawiam się...

Zastanawiam się, czy to z litości.

Stoimy w jej pokoju. Ona ubrana w długą sukienkę, taką zasłaniającą każdy centymetr nagiej skóry. Zawsze ubierała się tak cnotliwie... Nigdy nie potrafiłem tego pojąć. Pozostałe siedemnastolatki wyglądały przy niej jak aspirujące gwiazdy porno. Z roku na rok stawały się coraz odważniejsze, coraz bardziej wyzywające. Zaczynały zdawać sobie sprawę ze swojej kobiecości i władzy, jaką dzięki niej dostają.

Ale nie ona. Nie Natałka.

Ona zawsze wyglądała tak jak teraz. I chyba to tak bardzo mi się w niej podobało.

Dla mnie wyglądała pięknie.

– Pomożesz mi zapiąć na plecach? – pyta, siłując się z zamkiem.

Wstaję i podchodzę do lustra. Zamek rusza w górę bez problemu. Przez chwilę patrzymy na siebie w lustrze. Eleganccy, odstrojeni. Ona i ja.

Piękna i bestia.

Ale w jej oczach dostrzegam coś bardzo smutnego. Widzę, jak stale przygląda się bliźnie, która zdobi jej twarz. Widzę, że nigdy jej nie zaakceptowała. W tej chwili chcę ją już tylko jakoś pocieszyć.

– Mam coś dla ciebie... – rzucam słabym głosem.

– Co? Coś dla mnie?

Wyciągam z kieszeni parę srebrnych kolczyków. Dwa małe serca. Puste w środku.

– To... Należały do twojej matki, prawda?

Należały. Minęły dwa miesiące, odkąd upuściłem garść żwiru na wieko jej trumny. Te kolczyki to chyba jedyne, co mi po niej pozostało. Zostałem sam. Całkiem sam.

– Są piękne, Karol.

Chcę jej pomóc je włożyć. Odgarniam długie włosy, próbując odsłonić drobne uszy. Włoski na jej skórze stają dęba.

I wtedy to dostrzegam.

Czerwono-siny ślad ciągnący się wokół szyi. Widzę, że z przodu maskował go puder i podkład, ale z tyłu... Z tyłu dostrzegam go wyraźnie.

Natalka wyrywa się i odpycha mnie na bok.

– Co ty robisz?!

– Ja... Chciałem pomóc ci je założyć.

– Myślisz, że sama sobie nie poradzę?! Co jest z tobą nie tak, do cholery?!

– Przepraszam... Ja... Co to jest? Na twojej szyi.

– Nic. To ślad od golfa. Możemy się już zbierać do wyjścia?

– To nie wygląda jak...

– Możemy już iść?!

Patrzę w jej zapłakane oczy. Patrzę, jak w pośpiechu wkłada otrzymane ode mnie kolczyki.

Patrzę. I o nic więcej nie pytam.

* * *

– Ej, mały. Co to było?

Nie jestem pewien, co sprowadziło mnie z powrotem. Trudno opisać uczucie towarzyszące ponownemu otwarciu oczu.

Jakby minęły lata, a jednak wiem, że minęła tylko chwila. To, co czuję, to nie jest zwykły strach.

Nie... To coś innego.

Coś pomiędzy stresem a podnieceniem. Coś wychodzącego głęboko z samych trzewi. I mam wrażenie, że to coś rozsadza mnie od środka.

Gdy otwieram oczy, kozia bródka serwuje mi swój firmowy uśmieszek. Zauważam, że kątem oka cały czas zerka w dół, więc podążam za jego wzrokiem.

Dyndająca strzykawka.

Olbrzymia igła wbita w sam środek mojego uda. Zrywam się jak uwiązany przy budzie buldog na widok intruza, próbując zerwać więzy, ale to na nic.

Ten pies ma za krótki łańcuch...

– Spokojnie, mały. Bo jeszcze sobie coś naciągniesz. To epinefryna. – Strzela palcem w strzykawkę. – Trochę cię pobudzi. Ciesz się tym...

Nie mam pojęcia, co mi zrobili, ale w normalnych okolicznościach na widok tej igły znowu bym zszedł. Jest ostra i tkwi w samym środku uda... Chyba czuję, jak ociera mi się o kość... Kurwa mać...

Czuję, jak wibrują mi mięśnie.

– Nie przejmuj się. Daliśmy ci końską dawkę, żebyś nie odpłynął tak jak przed chwilą. Jesteś młody, masz mocne serce. Sam zastrzyk krzywdy ci nie robi... Ale ten... Przegapiłeś niezły show. Świniak sobie trochę použíwał na naszej niemrawej już koleżance.

Nic nie mówię. Cały roztrzęsiony spoglądam w lewo. Kobieta zwisa na krześle, omal z niego nie spadając, blada, zgięta w pół.

Lewa noga ucięta w połowie uda.

Poszarpany kikut przewiązany jest gumą, a ja zauważam, że pod stopami chlupocze mi krew. Jest jej tyle, że drewniane deski podłogowe zaczynają puchnąć.

Kobieta jest wciąż przytomna, co przeraża mnie chyba najbardziej.

Cały czas była przytomna...

Kurwa mać.

Rosjanka mamrocze pod nosem, co jakiś czas wybuchając krótką salwą wymęczonego śmiechu. Jej nafaszerowane dragami ciało zostało tu z nami, ale umysł musi być daleko stąd.

Mam nadzieję, że w lepszym miejscu.

– Ona ma teraz chwilę przerwy, mały – odzywa się po chwili kozia bródka. – Wykonała kawał dobrej roboty. Wznowimy transmisję, jak dobijemy do wyznaczonej kwoty. Świniak też potrzebuje odpoczynku... Cała ta krew i mięso, to strasznie go nakręca, ale nawet on musi się naładować po wystrzale, chyba rozumiesz... Tym bardziej że wcześniej zabawiał się z dziadkiem.

Wodząc wzrokiem za oczami koziej bródki, zerkam na monitor. Widzę wypełniający się powoli pasek z jakąś sumą. Dużo zer. Obok wyświetla się okno czatu. Kolejne wiadomości strzelają krótkimi piknięciami, sprawiając, że na sam ich dźwięk przewracają mi się wnętrzności.

– Trzeba umieć tym zarządzać, wiesz... Jestem trochę jak reżyser. Właściwie to nawet nie trochę. Muszę przestać bać się to mówić... Jestem reżyserem! To ja decyduję, co i jak im pokażę. Operuję na emocjach i pragnieniach. Im lepiej to

rozegram, tym więcej zarobię. Najważniejsze to cały czas podsycać ich oczekiwania. Są jak takie pieski, które widzą, że pan złapał miskę i zaczął ją czymś wypełniać. Wyobrażają sobie nie wiadomo co, a ja muszę im to dostarczyć. Spełniać oczekiwania. Dawać coś, czego do tej pory nie widzieli. Uwierz mi, że eksploatacja ludzkiego ciała to jedyny biznes na tym świecie, w którym można jeszcze czymkolwiek ludzi zaskoczyć. Wciąż można zrobić rzeczy, których do tej pory nie widzieli...

Bródka odpływa na chwilę myślami, po czym siada do laptopa i wstukuje coś na klawiaturze. Po chwili obrócony w moją stronę monitor się zaciemnia. Odpala się druga kamera. Przestaję już widzieć swoje wymizerowane ciało i ociekającą krwią kobietę. W pierwszym momencie myślę, że to dalej ja, tylko z innego kąta.

Ale to nie ja... Ciało jest zbyt stare... Pomarszczone, obwisłe...

To Szeryf.

Cała moja nadzieja pęka jak upuszczona szklanka. Myślałem, że skoro nie było go ze mną w piwnicy, to może zdołał się jakoś wyrwać. Ta nikła wiara, że posiłki są już w drodze, to już przeszłość.

Mają go...

Ratunek nie nadejdzie w ostatniej chwili.

Facet w masce świni przechadza się dookoła Szeryfa, jakby grał w gorące krzesła i tylko czekał, aż muzyka ucichnie.

Wymizerowany starzec w centrum kamery jest taki sam jak ja. Tak samo wystraszony i zapłakany. Nie chce cierpieć... Nie wie, co robić... Nie ma planu ani umiejętności, żeby wygrać w tę grę...

Ktoś, kogo miałem za silniejszego ode mnie, okazuje się tak samo słaby.

Czuję, jak coś we mnie pęka.

Wykonuję gwałtowny zryw. Staram się zerwać węzły, którymi mnie skrupowano, ale to na nic. Spadam z krzesła prosto w kałużę krwi na podłodze. Wciąż jest ciepła... Grzeje moją wyziębioną skórę.

– Dasz wiarę, że znaleźli się zboczeńcy skłonni zapłacić za tego dziada? – rzuca kozia bródka, jakby kompletnie ignorując moje próby wyswobodzenia się. – Niewielu co prawda... Zarobię na nim gorsze. Ale hej! Darowanemu koniowi się przecież w zęby nie zagląda, co nie? Ty i twój ojczulek spadliście mi z nieba. Jeden współpracownik nie wywiązał się z kontraktu, zostawił mnie na lodzie bez towaru... Musiałem improwizować. Zawsze myślałem, że klienci wolą kobiety... W cenie są też dzieci. Nie sądziłem, że kogokolwiek zainteresuje dwóch dorosłych facetów, ale widzę, że gust ludziom ewoluuje. Ciągle chcą nowości.

Charczę, próbując oddychać z nosem zanurzonym we krwi. Serce narzuca opętańczy rytm. Mam wrażenie, że ciśnienie zaraz rozsadzi je od środka.

Przekręcą się i resztką sił czołgam się do wyjścia.

Może mi pozwolą?

Może dam radę stąd uciec?

Coś rozrywa mnie w środku, czuję, jak to gówno, które mi wstrzyknęli, krąży gdzieś po żyłach. Serce zaraz wystrzelił spomiędzy żeber.

– Spokojnie, mały, bo padniesz na zawał. To tylko adrenalina... Kurwa, może ta dawka faktycznie była za wysoka... – Kozia bródka wstaje zza biurka i powolnym, znudzonym krokiem rusza w moją stronę.

Może pozwolą mi wyjść. Wystarczy doczołgać się do wyjścia i spróbować pchnąć drzwi. Może ich nie zamknęli...

Nagle coś mnie blokuje. Odwracam się. Kozia bródka staje mi na zawiązanych stopach, miażdżąc kostki. Krzyczę z bólu, a on schyla się i łapiąc za sznur, zaczyna mnie ciągnąć z powrotem.

– Błagam... – powtarzam, zdzierając sobie skórę z pleców na zbutwiałych podłogowych deskach.

– Co tam gadasz, nic nie słyszysz? – pyta, taszcząc mnie i dysząc ze zmęczenia. Moje wątłe ciało to i tak zdecydowanie za dużo na jego siły. – Kurwa mać, ile ty ważysz?

– Pozwólcie nam odejść...

– Wybacz, mały, ale karta do głosowania nie przewiduje takiej opcji.

Kozia bródka z trudem sadza mnie z powrotem na krzesło, po czym wraca za biurko. Ciężko dyszy, jakby podniesienie mnie stanowiło jakiś nadludzki wysiłek. Potrzebuje chwili na wyrównanie oddechu, po czym znowu odwraca monitor w moją stronę i stuka w niego palcem, starając się przyciągnąć moją uwagę.

Na ekranie znowu wyświetlają się słupki statystyk. Kategoria: „Posiłek”. Cztery opcje do wyboru:

A) Nos

B) Kutas

C) Język

D) Ucho.

– Błagam... Nie...

– Ciiii, zaczynają głosować. – Kozia bródka rozsiada się wygodnie, zarzucając dłonie na kark, a ja mrużę oczy, starając się nadążyć za tym, co widzę.

Opcje wyboru przeskakują po ekranie z góry na dół, wypychając się wzajemnie w drodze do pierwszego miejsca, a ja zdaję sobie sprawę z tego, co właśnie robię...

Modłę się, żeby wybrali ucho.

Na drugim ekranie widzę, jak świńska maska zbliża się do Szeryfa. Nagle kozia bródka odwraca monitor w swoją stronę. Nie zdążyłem zobaczyć, co wygrało.

– Dość tego dobrego, mały. Ta zabawa wkręca, co? Trudno oderwać wzrok od ekranu. Człowiek niby się brzydzi, ale oczu nie zamknie. No, co tak patrzysz, jak zbity pies? Chciałbyś sobie pooglądać? Bez urazy, mały, ale nie. Też jesteś częścią zabawy, ale nie w ten sposób. Patrzą ci, co płacą, OK?

Bródka nachyla się mocniej w stronę ekranu. Na jego wychudzonej twarzy kiełkuje szpetny uśmiech. Po chwili okrutny krzyk jest już wszystkim, co słyszę.

Szeryf wyje z bólu jak opętany. Na ten dźwięk wszystko się we mnie przewraca.

– Skurwysyny! – krzyczę ostatkiem sił, ale mój głos niknie w eterze zaraz po tym, jak opuszcza płuca. – Jezu Chryste, zostawcie go! Słyszysz?! Zabiję cię, skurwysynu! Przysięgam, że cię zabiję... Błagam! Zostaw go!

– Nie strasz, nie strasz, mały... – Bródka wstaje i podchodzi do drzwi prowadzących do pomieszczenia, w którym trzymają Szeryfa. – Zaknebluj go, kurwa, bo słyhać was aż na drodze! – rozkazuje bratu, starając się wybić spod tych wrzasków. Po chwili głos Szeryfa cichnie, stłumiony zapewne kawałkiem szmaty w ustach.

Siedząca obok kobieta zaczyna rozpaczliwie szlochać, a ja zdaję sobie sprawę, że nie ma już odwrotu. Że wszyscy naprawdę skończymy jako pokarm i spotkamy się ponownie w żołądku którejś ze świń.

Być może spotkamy tam też Natalkę...

Cisza nastaje nagle i uderza mocniej niż najgłośniejszy krzyk, a ja nie wiem, co przeraża mnie bardziej. Pełne cierpienia wycie bliskiej mi osoby czy cisza zwiastująca moją kolej...

– Skurwysyn, ale darł ryja. – Kozia bródka wraca do laptopa. – Chwilowo zszedł, ale spokojnie, dla niego też mamy zastrzyk... To co, mały? Czas na ciebie czy budzimy tę z ławeczki? – Zerka na kobietę w mojej bluzie, potem na zegarek. – Chociaż planowałem zostawić ją sobie na koniec. Młoda dziewczyna zawsze przyciąga najwięcej widzów... Klasyka zawsze sprzedaje się najlepiej. Nic na to nie poradzisz, brachu. Nawet dewianci mają swoje szlagiery... No dobra, to lecimy z tobą. – Strzela knykciami, po czym wstukuje coś na klawiaturze.

– Błagam... – Zaczynam się panicznie trząść. – Nic nie powiem. Przysięgam, że nikomu nie powiem... Tylko nas wypuście!

– Co tam beczysz? Mam pozwolić wam odejść? Wy nam nie daliście takiej możliwości...

Przez chwilę staram się zrozumieć, co tak właściwie usłyszałem.

– Co się tak gapisz? Nie wiesz, o czym mówię? Przecież już ci mówiłem, że widziałem twoją zabliznioną gębę, mały. I tam na parkingu, i tamtej nocy... Przez kamerkę... Po chuj za nami jechaliście taki kawał, co? Skąd miałeś zaproszenie wysłane na telefon gościa ze Sliders?

– Błagam... – powtarzam półprzytomny, choć wydaje się to bezcelowe. Chcę móc stąd tylko wyjść. Wrócić do swojego życia, którego czasem tak nienawidziłem. Nie potrafię zrozumieć, jak do tego doszło. Jak się tu znalazłem... W głowie zaczynam obwiniać Szeryfa, a nawet Natalkę. Ale prawda jest inna.

Jestem tu, bo chciałem...

– Mów, kurwa! – Kozia bródka traci cierpliwość.

– Ja...

– Czemu za nami jechaliście?!

Nic nie mówię, w głowie totalna pustka. Nagle otwierają się drzwi od drugiego pomieszczenia. Świńska maska jest cały we krwi, wyciera resztkę czerwonej posoki z wojskowego noża o brudny fartuch. Nie potrafię sobie przypomnieć, czy wyglądał już tak wcześniej, czy cała ta krew na nim należy do Szeryfa...

Skurwysyny...

– Nie chcesz gadać, OK. Rozumiem. Gotowy na kolejnego, braciszku?

Facet w masce wydaje z siebie tylko jakieś charczące odgłosy. Zupełnie jakby przywdziewając maskę, pozbywał się resztek człowieczeństwa.

Kozia bródka wstaje zza biurka, chwytą mnie za podbródek i obraca jak muzealny eksponat.

– Chyba odkryłem tajemnicę jego brzydoty – rzuca do brata, patrząc mi prosto w oczy.

– Proszę...

– No bo czym charakteryzują się piękni ludzie, co? I mówię tu o naprawdę pięknych, w sensie jak gwiazdy Hollywood, a nie jakaś tam pierwsza lepsza pani z warzywniaka... Wiesz może, braciszku?

Świńska maska nie odpowiada. Charczy. Widzę, jak ślina ścieka mu po brodzie, po szyi, po czym wsiąka w fartuch.

– Oni wszyscy mają bardzo symetryczne twarze... Zauważyłeś to? – Znowu kieruje się do brata, mimo że cały czas trzyma moją twarz w dłoniach i patrzy mi prosto w oczy, wierząc dziurę w mózgu. – Symetryczne... Hmm... Zobaczmy, co na to ludzie z czatu.

Klepie mnie po policzku, po czym pospiesznie wraca za biurko i wklepuje na klawiaturze kolejne znaki.

– Zobaczmy, co myślą...

Czat pika jak oszalały, a ja zerkam w lewo. Widzę, że kobieta cały czas wpatruje się we mnie spod posklejanych potem i krwią włosów. Jej wzrok jest zamglony, pełen obłądu. Cały czas porusza ustami, jakby chciała mi coś powiedzieć. W końcu wydobywa z siebie tylko jedno zdanie. Po polsku.

– Zabij... mnie...

Dociera do mnie, że ona z tego już nie wyjdzie.

– No! Czat jest ze mną zgodny, mały. – Kozia bródka ponownie wstaje zza biurka i staje naprzeciwko mnie. – Brak symetrii to twój największy problem. Wszyscy tak twierdzą. Pomyślałbyś?

– Ona... – rzucam słabym głosem. – Ona potrzebuje lekarza...

– Serio? – Kozia bródka wybucha śmiechem. – Kobieta ci teraz w głowie?! Nie wolisz poczekać, mały? Poczekać, aż będziesz piękniejszy? Nie boisz się, że jak podbijesz do niej z taką szpetną mordą, to odrzuci twoje zaloty?

– Wykrwawi się...

– A ten dalej o kobiecie, patrzcie go! – Odwraca się do brata i chwyta się za krocze.

– Młodzi chłopcy to chodzące bomby hormonów. Nawet w takim stanie... Nawet w takim stanie jedyne, o czym myślą, to... A dobra! – Klaszcze w dłonie. – Co mi tam! Załatwię wam schadzkę! Tylko tak jak mówię, żeby się nie skończyło na złamanym sercu. Pozwól, że najpierw wyszukujemy cię jak królewicza! Symetria, pamiętasz? Symetria to piękno.

Kozia bródka odsuwa się i daje znać głową bratu, żeby podszedł bliżej. Sam chwyta za kamerę i niemal wciska mi ją do ust.

– No, braciszku. Postaraj się. Zrób tak, żeby było symetrycznie!

Świńska maska nachyla się nade mną i chwyta mnie za włosy jedną ze swoich tłustych dłoni. Na początku nawet nie dostrzegam noża. Czuję ból, zmysły wyją w agonii, a krew zalewa mi usta i nos. W głowie pojawiają się przedziwne obrazy. Halucynacje. Mojżesz przechodzący przez Morze Czerwone. Wielka woda rozdzierająca się na dwie części. Krzyczę, ale to nie przynosi ukojenia. Rozwarstwiana skóra pali żywym ogniem.

W końcu mnie puszcza, wycierając zakrwawiony nóż o fartuch obrzydliwym gestem. Kapie ze mnie na podłogę. Mam wrażenie, że mój lewy policzek po prostu zwisa ze szczęki jak jakiś ochłap mięsa.

– No, od razu lepiej! – krzyczy kozia bródka, klepiąc brata po ramieniu.

Ciężko dyszę, starając się wypluć napływającą mi do ust krew. Smak metalu. Kurwa mać. Chcę zemdleć. Nie musieć świadomie przechodzić przez to wszystko...

Dlaczego nie mogę, do kurwy nędzy, zemdleć?!

– Symetria! Piękny jak Brad Pitt! O to nam chodziło, mały! Teraz koleżanka obok na pewno z chęcią ci obciągnie! Co ty na to?!

Spuszczam głowę niemal między kolana. Zaczynam chcieć, żeby po prostu to skończyli. Szybko, bez dalszych tortur. Chcę umrzeć. Tak bardzo chcę umrzeć...

Ktoś chwyta mnie za włosy i ciągnie do góry. Po chwili patrzę we własne odbicie w lustrze. Twarz zalana krwią. Policzek rozplątany na pół. Wypełniająca się krwią rana przypomina koryto rzeki podczas powodzi.

Symetria...

– Teraz oba policzki wyglądają tak samo. Ładnie, prawda? – pyta kozia bródka, odsuwając mi od twarzy lustro. – Jak w Hollywood... Ej, co jest? Płaczesz? Dlaczego płaczesz, przecież ci pomogliśmy? Widzisz, jak koleżanka na ciebie patrzy? Jest zachwycona. Cała mokra, przez tę całą krew nawet dużo bardziej niż... Tak czy owak, scenariusz waszej randki będzie taki. Słuchaj uważnie. Weźmiesz to, co z niej zostało, i...

Wszystko dookoła zlewa się w niewyraźny szum.

Zalewam się łzami. Moja twarz już w ogóle nie przypomina człowieka. Obrazy wszystkiego, przez co musiałem przechodzić w dzieciństwie, wracają ze zdwojoną siłą. Widzę ojca wbijającego mi nóż w policzek. Słyszę śmiech dzieci w szkole, słyszę przezwiska i ksywy... Czuję, jak stara blizna otwiera się jak świeża rana.

Rana, która krwawi po dziś.

Gdy zamykam oczy, widzę Natalkę.

Piękną, mimo blizny.

Uśmiecha się, a ja zaczynam się uśmiechać razem z nią. Jest tak wyraźna. Jakby stała tuż obok. Zaczyna się śmiać, a ja śmieję się razem z nią. Szloch przechodzi w płacz. Płacz w uśmiech, uśmiech w głośny rechot.

– Patrz na niego. – Kozia bródka kieruje się do brata. – Zwariował. Co się tak śmiejesz, mały? Powiedziałem coś zabawnego?

– Śmieję się... – Strzelam krwawą plwociną wprost pod buty koziej bródki. Mam wrażenie, że mój głos przypomina gulgotanie tonącego. – Śmieję się, bo macie przejebane... Nie macie pojęcia, jak bardzo macie przejebane...

– Co ty tam gadasz? Odkleiłeś się już kompletnie? Kurwa, to się zdarza coraz częściej. Ludzie po prostu w pewnym momencie wariują. Schodzą z tego świata jako świry...

– Zaraz będzie tu gęsto od policji...

– Policji? Co ty tam pierdolisz, mały? Gorzej ci?

– Moi ludzie są już w drodze... Nie macie szans...

Kozia bródka wybucha śmiechem. Podnoszę głowę i patrzę mu prosto w oczy, wypluwając krew.

– Pytałeś, czemu jechaliśmy aż tutaj? – pytam. – Czemu widziałeś moją twarz na parkingu?

– O czym ty mówisz?

– Co ci powiedziała sekretarka w Sliders, co? Łysy rozpląnął się w powietrzu dzień po naszej wizycie? Program ochrony świadków coś ci mówi? Myślisz, że skąd miałem link do waszej transmisji, co? Sam mi go dał... Wsypał was... Wsypał was wszystkich...

– Co ty...

– Sprawdź sobie sam, skurwielu. Moja prawa kieszeń. – Kiwam w stronę hałdy ubrań rzuconej pod ścianę. – Sam zobacz. No, dalej!

Kozia bródka rzuca mi niepewne spojrzenie, po czym zerka na brata, jakby w tych świńskich pustych oczach szukał jakichś wskazówek i wyjaśnień. Po chwili niepewnie sięga dłonią do moich brudnych dżinsów, grzebie w kieszeni i wyciąga z niej niewielki kartonik.

Wizytówkę.

– Jasny chuj...

Patrzy na imię i nazwisko policjanta, który nawiedził mnie w mieszkaniu nie tak dawno temu. Po raz pierwszy widzę, jak się miota. Nie wie, co o tym myśleć.

– I co to ma niby być? – pyta. – To twoja?

– A jak myślisz?

– Taki gówniarz glina? Mam w to uwierzyć? Zresztą nawet jeśli... Nawet, kurwa, jeśli... To... To nic nie zmienia.

– Ty wiesz lepiej. – Kolejny raz pluję krwią.

– To nic nie zmienia... Nikt po ciebie nie jedzie, mały. Już by tu było niebiesko.

– Planowaliśmy akcję na czwartą rano... Nasza wcześniejsza wizyta... To był... To był rekonesans. Może i moi ludzie nie wiedzą, czemu zniknęliśmy z hotelu... Ale jak myślisz, dokąd pojedą najpierw? Gdzie będą nas szukać?

Kozia bródka zerka na noszony na nadgarstku zegarek. Ruchy gałek ocznych są bardzo szybkie. Panikuje.

– Pilnuj go – rzuca do brata, po czym przyspieszonym krokiem rusza w stronę drzwi.

Świńska maska nie wydaje się przejmować moim blefem. Cały czas mnie obserwuje. Cienka strużka śliny kapie mu z ust, połyskując w słabym świetle. Widać, że chce tylko jednego...

Po dłuższej chwili kozia bródka wraca do środka. Przez moment milczy, patrząc to na mnie, to na brata.

– Nie słyhać syren – rzuca niepewnym głosem. – W ogóle nic nie słyhać.

Śmieję się pod nosem. Nie wiem czemu, ale naprawdę zaczyna mnie to śmieszyć. Kozia bródka zdaje się to irytować. Wymierza mi prawego sierpowego prosto w ucho, po czym łapie się z bólu za nadgarstek, jakby skruszył sobie knykcie. Omal nie spadam

z krzesła. Przez chwilę ciemnieje mi w oczach i dzwoni w uszach, ale przy tym, co spotkało mnie do tej pory, nie mogę powiedzieć, że bolało.

– Idź po starego – rozkazuje nagle bratu.

Świńska maska nie reaguje. Patrzy się tylko, ciężko dysząc.

– Głuchy jesteś?! Przyrowadź starego! Co się tak gapisz?! Sam widziałeś go wtedy na parkingu! Od razu powinieneś na to wpaść, debilu! Nie przeszło ci przez myśl, że to mogą być gliny? Może ściemnia... Ale przedstawienie i tak już na siebie zarobiło. Chcesz ryzykować dla tych paru groszy, to proszę bardzo, ale ja nie zamierzam... Wywieziemy ich nad rzekę i tam załatwimy. Jak najdalej stąd. Wyjedziemy... Jak wpadną tu ich kumple... Nic nie znajdą.

– A tata? – Świniak wypowiada pierwsze słowa przypominające ludzką mowę.

– Nasz tata pojedzie z nami... Wyciągniemy go z łóżka i położymy w bagażniku. Powinien... Powinien przetrwać podróż. Tak, rzuci się go do bagażnika... Tylko trzeba pozabierać filmy... Ale najpierw idź po starego! Ile razy mam ci, do kurwy nędzy, powtarzać?! Tylko nie zabijaj. Niech sami z nami pójdą, nie będziemy ich targać, załatwimy to nad rzeką.

Echo poprzedniego ciosu wciąż dźwięczy mi w głowie. Nie jestem pewien, ale chyba słyszałem, jak wspominali coś o jakimś tacie. O czym, do cholery, oni mówią?

Nagle świniak wychodzi z pomieszczenia i idzie tam, gdzie trzymają Szeryfa, a kozia bródka zaczyna przyglądać się siedzącej obok mnie kobiecie. Po chwili chwytą za oparty o zagrodę kij baseballowy i jednym uderzeniem odsyła ją na tamten świat. Okropny dźwięk trafiającego ciosu, chlupocący i głuchy jednocześnie. Odłamki skóry i mięcha strzelają mi w twarz i po raz kolejny ląduję na podłodze, panicznie czołgając się w stronę wyjścia. Tarzam się w śliskiej krwi jak zwierzę.

– Nie czas na te zabawy, mały, do kurwy nędzy! Siedź, jak siedzisz! Nie mam teraz czasu się z tobą ganiać!

Pręc do przodu, zerkam za siebie, widząc, jak kozia bródka za mną taszczy ciało kobiety prosto do zagrody, po czym siłuje się, próbując przerzucić ją na drugą stronę. Świnie ogarnia ogólne poruszenie, wydają się zagłodzone niemal na śmierć. Po chwili kobieta wpada w falę żarłocznych istot, jak wrzucona do morza.

I tonie bardzo szybko.

Odgłosy jedzących ludzkie ciało zwierząt na moment mnie paraliżują, w tym czasie świńska maska przechodzi przez drzwi, ciągnąc za sobą półprzytomnego Szeryfa. Jego twarz ocieka krwią z jednej strony i szybko rozumiem, jaka opcja wygrała głosowanie. Przez krótką chwilę cieszę się na jego widok.

Cieszę się, że żyje.

Kozia bródka ciężko dyszy. Zgięty wpół, opiera ręce o kolana.

– Jebana, nawet bez nogi była ciężka... Zabieramy ich do auta! – rzuca w stronę brata. – Świnie nie zjedzą całej czwórki w tak krótkim czasie, tym bardziej że już jadły! Musimy się ich pozbyć!

Próbuję nawiązać kontakt wzrokowy z Szeryfem, ale widzę, że od niego ucieka. Jakby ze wstydu... Kupiłem nam trochę czasu, jedyne, czego potrzebujemy, to jakiś plan. Musi być coś, co możemy zrobić...

– Tę nieprzytomną też zabierz! – krzyczy kozia bródka, wskazując palcem w stronę kobiety w mojej bluzie. Ta wciąż smacznie śpi, rozciągnięta na ławce.

Leżę na podłodze, skrzępowany jak larwa w kokonie. Świniak omija mnie, ciągnąc ze sobą Szeryfa, wyglądającego jak skuty kajdanami więzień z celi śmierci. Widzę, że każdy krok sprawia mu olbrzymi ból. Szura stopami, starając się nie wywrócić przez ciasną zawiązaną wokół kostek linę, i rzuca mi tylko jedno przelotne spojrzenie.

Pełne smutku i niewypowiedzianego żalu.

Jakby przeproszał...

Po chwili mnie mija. Widzę bród i krew zalewającą mu tylną część ud, ściekającą po łydkach aż do kostek. Znika za drzwiami. Sylwetka niknąca w mroku nocy. Człowiek idący spotkać się ze Stwórcą.

W tym tempie podróż do auta zajmie im wieki.

Zostajemy z kocią bródką sami. Ten, wciąż dysząc, podchodzi do mnie i próbuje przeciągnąć w stronę drzwi, do auta, ale po chwili przestaje. Musiałem okazać się za ciężki.

– Pierdołę, niech ten grubas sam was targa...

Podchodzi do kobiety, zostawiając mnie na podłodze, i próbuje ją cucić.

– Pobudka! – Szarpie nią jak szmacianą lalką. – Słyszysz?! Wstawaj i idź do auta! Już po filmie.

Dziewczyna odpowiada niezrozumiałym bełkotem. Rozbudza się.

Wiję się po podłodze, wyginam ciało w łuk. Nie patrzy...

W ogóle na mnie nie patrzy.

– Wstawaj, dziwko! – Rozwiązuje jej węzły. Najwyraźniej chce, żeby szła sama.

Przysuwam kostki jak najbliższe związanych za plecami dłoni. Tak blisko, że dosięgam sznura palcami.

– Gdzie ja jestem? – odpowiada słabym głosem kobieta.

– Wstawaj, musimy iść do auta!

– Ja... Ja nic nie pamiętam...

Sznur jest poluzowany, po tym, jak mój oprawca ciągnął mnie po podłodze. Zdrętwiałe palce przestają być przeszkodą, ból wygiętego do granic możliwości ciała da się znieść... Myślę o zwierzętach odgryzających sobie kończyny.

Mogę to zrobić.

– Budź się, do cholery, nie mamy czasu! – Kozia bródka trzęsie naćpaną dziewczyną tak mocno, że boję się, że zaraz złamie jej kark.

Węzeł wokół kostek puszcza. Wyginam się jeszcze mocniej, staram się wcisnąć stopę w linę wokół nadgarstków. Prę z całej siły, chcąc ją poluzować.

Ale to na nic.

Jest zawiązana zbyt mocno, udaje się tylko trochę.

– Chodź tu, świńska mordo! – krzyczy do brata, wciąż machając dziewczyną. – Pomóż mi ich przenieść do auta!

Wciąż skupia się na niej, kompletnie ignorując wszystko dookoła. Wciąż na mnie nie patrzy. Sięgam ramionami jak najniżej, do zgięć kolan, przesuwając węzeł wzdłuż tylnej części ud, i przerzucam nogi między ramionami. Obie naraz.

Teraz związane ręce mam tuż przed sobą. Z trudem podnoszę się z podłogi. Całe ciało wyje z bólu, ale nie wydaję z siebie nawet mruknięcia. Podchodzę za plecy koziej bródki, jak ponury zniwiarz szykujący się do ostatecznego cięcia. Przez chwilę obserwuję, jak raz po raz policzkuje półprzytomną kobietę.

Reszta toczy się już poza pełnym zasięgiem świadomości, jakbym patrzył na to z boku.

I patrzę z obrzydzeniem.

Wściekłość rozsadza mi żyły na skroniach. Zęby zaciśnięte mam jak imadło. Przerzucam związane ręce przez głowę koziej bródki i zaciskam mu węzeł wokół krtani. Napinam grubą linę, która wpija się w miękką tkanę, miażdżąc tchawicę. Kozia bródka walczy. Charczy, pluje na czerwono, jakby przegryzł sobie język, i miota się we wszystkie strony, aż lądujemy na podłodze. Ja na plecach, on na mnie. Uderzenie płucami o ziemię sprawia, że mnie zatyka. Walczę o oddech.

Ale wciąż trzymam chwyt.

Patrzę w sufit i ciągnę z całej siły. Napięta lina jest jak obosieczny miecz. Wbija mi się w nadgarstki tak mocno, że już nigdy nie pozbędę się z nich wisielczych bruzd. Fioletowe, spuchnięte dłonie już dawno straciły dopływ krwi. W ogóle nie czuję, że je mam. Ciągnę już tylko tym, co zaczyna się od łokcia w górę.

Ale ciągnę dalej.

Miotamy się po podłodze, jeżdżąc wkoło jak wskazówki zegara. Pławimy się w morzu lepkiej krwi. Kozia bródka kopie, młóci rękoma, stara się sięgnąć paznokciami mojej twarzy. Wydłubać mi oczy.

Ale nie puszczam.

Wbijam mu kolana pod pachy, odchylam kark i napinam linę. Ślizgamy się na wymieszanych ze sobą płynach ustrojowych. Na krwi Rosjanki, krwi lejącej się z ust

koziej bródki i moich nadgarstków. Mam wrażenie, że charczy coraz rzadziej, jakby już nawet na to nie miał sił.

Opór słabnie. Przebierające dotąd chaotycznie nogi nieruchomieją, a ja czuję się, jakbym zrzucił z pleców olbrzymi krzyż.

Ciałem wstrząsają ostatnie przedśmiertne drgawki. Najpierw jedno. Zaraz drugie.

Potem zastyga.

Po wszystkim przetaczam go na bok, twarzą do podłogi. Nie chcę więcej na niego patrzeć. Leżę tak jeszcze przez chwilę, zamykając oczy i powtarzając sobie, że dam radę. Że tak było trzeba. Patrzę w sufit.

W końcu wstaję i ciężko dysząc, rozglądam się dookoła. Świńska maska wciąż nie wrócił. Dziewczyna w mojej bluzie patrzy się na mnie jak na potwora. Jej oczy gotowe są wystrzelić z orbit, a plecy przebić ścianę, o którą się opiera. Wykonuję krok w jej stronę, ale to tylko sprawia, że krzyczy, więc się wycofuję.

Podchodzę do krzesła, na którym jeszcze przed chwilą kroili mi twarz, i patrzę na leżący na stoliku obok nóż. Wystarczy usiąść, wcisnąć go sobie między uda i przeciąć węzły krępujące nadgarstki. Brzmi prosto. Kurewsko prosto...

Wciąż pchany do przodu pompowaną do żył adrenaliną, biorę go w dłoń, cały się przy tym trzęsąc. Zamykam oczy.

Dasz radę, Karol, powtarzam, krztusząc się krwią. Dasz radę...

Zaczynam ciąć. Wszystko inne przestaje mieć teraz znaczenie. Uciec stąd jak najdalej. Tylko to się liczy.

Zamknięte powieki niewiele pomagają. Świat kręci się przed zamkniętymi oczami. Czuję, jak robi mi się coraz słabiej, jakbym odpływał.

Nie mogę przestać myśleć o ostrzu tańczącym mi między nadgarstkami, choć to gówno, które mi wstrzyknęli, nie pozwoli mi zemdleć, mimo iż mózg bardzo by tego chciał. Jestem jak trup, przywoływany do życia raz za razem kolejnymi impulsami defibrylatora.

I wtedy węzeł pęka, a w pomieszczeniu rozlega się przeraźliwy krzyk. Pełen bólu i cierpienia. Jak ryk zwierzęcia złapanego w sidła.

Otwieram oczy. Świńska maska trzyma się za głowę, patrząc na zwłoki brata rzucone na podłogę jak brudna ściera. Dziewczyna rzuca się do ucieczki, wprost za moje plecy, ciągnąc za sobą wzrok zamaskowanego psychopaty.

Kierując go wprost na mnie.

Jak dziecko nierozumiejące, czego jest świadkiem, świńska maska spogląda raz na mnie, raz na brata. Najbardziej przeraża mnie ten dysonans. Ta wściekłość i rozpacz bijące z mowy ciała zestawione z nieruchomą maską posklejaną ze świńskiej skóry. Mam tu do czynienia z czymś nieludzkim.

Jestem kompletnie wyczerpany. Wiem, że w bezpośrednim starciu nie mam żadnych szans. Gdy widzę, że świńska maska szykuje się do szarży, staram się zacisnąć dłonie na rękojeści noża, lecz mam wrażenie, że w każdej chwili może mi wypaść z odrętwiałych rąk. Kompletnie straciłem czucie.

Świniak rusza w moją stronę. Bije z niego zwierzęca agresja.

– Czekał... – wykrztuszam ledwie słyszalnym głosem.

Ale słowa to nie mur. Nikogo nie zatrzymają.

Świńska maska zrzuca mnie z krzesła, przygwożdżając do podłogi całym ciałem. Nóż wylatuje z odrętwiałych dłoni i uderza o deski z głuchym stukiem. Fala mięsa zalewa mnie jak lawina. Kątem oka widzę okrążającą nas dziewczynę. Przez chwilę mam nadzieję, że chwyci za leżący na ziemi nóż, ale nic takiego nie ma miejsca.

Chyba stąd ucieka. A ja nie mogę jej winić.

Świńska maska szuka mnie pod sobą swoimi krótkimi, tłustymi rękoma. Szuka krtani. Gardła, na którym mógłby je zacisnąć.

Wiję się jak robal, próbując wyslizgnąć się spod góry spoconego, nagiego, przepasanego jedynie fartuchem mięsa nade mną. Jestem śliski od krwi. Udaje mi się wyrwać. Przygniecione zostają tylko nogi, które świńska maska obejmuje teraz i zgniata jak imadło. Robię, co mogę, uderzam na oślep tym, co zostało mi z dłoni, w ogóle nie czując, że rozbijam nimi głowę oprawcy. Świńska skóra, którą nosi na twarzy, faluje jak guma przy każdym uderzeniu. Wciskam palce w te dwie czarne otchłanie, którymi na mnie patrzy, licząc na to, że choć trochę poluzuje uścisk i uda mi się wyciągnąć nogi.

Ale nie odpuszcza.

Złączone ze sobą kolana zaczynają się skręcać. Czuję, że jeszcze chwila i delikatne kości zaczną pękać. Rzepki rozkruszą się jak kreda. Tracę siły. Obaj tylko charczymy, widzę, że mu też jest ciężko. Nikt z taką nadwagą nie może być w dobrej kondycji.

Widząc, że odpuszczam, zaczyna się po mnie wspinać. Ciągłe ściskając mi nogi, wchodzi na mnie coraz dalej. Swoim ciężarem miażdży mi brzuch i żebra. Gdybym mógł, darłbym się jak opętany, ale ledwie łapię oddech. Staram się wyrwać, ale mięśnie odmawiają współpracy, łapią mnie koszmarnie skurcze. Teraz walczę już tylko o powietrze, a on podchodzi coraz wyżej.

Obserwuję latającą mi przed oczami dłoń, całą umazaną we krwi. Wciąż obejmuje mnie jedną ręką, drugą starając się zacisnąć na krtani.

Uderzam, pcham i dźgam, ale żaden mój ruch nie ma już mocy. Nie robi na tej świńskiej skórze najmniejszego wrażenia.

W końcu mnie dosięga. Czuję, jakby olbrzymie szczypce miażdżyły mi krtań. Zanim się orientuję, mam już na gardle obie dłonie. Tłuste palce wbijają się głęboko. Przez

chwilę słyszę żałosny jęk – ostatni dźwięk opuszczający moje płuca.

Dookoła tylko dyszenie i charczenie, ale odgłosy szybko nikną, jakby ktoś stale zmniejszał głośność w telewizorze. Szybko ciemnieje mi przed oczami.

Dwie nieskończone czarne otchłanie wpatrują się we mnie. Maski nie wyraża żadnych emocji. Nie ma tam strachu ani wątpliwości. Nie ma nienawiści i wściekłości. Nic nie mogę z niej wyczytać. Umieram i nawet nie potrafię powiedzieć czemu...

Wszystko się zamazuje, a ja marzę o oddechu.

Jednym krótkim hańcie powietrza.

Potem mógłbym umrzeć.

Jeden...

...oddech.

* * *

Staję na wprost matki. Pnie się przede mną, wysoka jak wieża. Wskazówki zegara wiszącego na ścianie za nią powoli zbliżają się do dziewiętnastej. Czuję duszący zapach perfum i lakieru do włosów. Sygnał docierający do mózgu jest prosty. Prosty i przerażający.

Wychodzi.

Nocna zmiana.

Dziś zostajemy sami z ojcem. Matka tłumaczy, co robić. Proste instrukcje, które za nic nie chcą mi wejść do głowy. Próbuję się skupić, ale słyszę tylko szum. Zegar wiszący na ścianie wydaje się coraz większy, gigantyczny. Czasem myślę, że jeśli będę bardzo mocno chciał, to wpatrując się w niego, uda mi się go zatrzymać.

Nie chcę, żeby wychodziła.

Patrzę na jej kolczyki błyszczące w słabym świetle – dwa srebrne serca. Puste w środku.

– Dobranocka do dziewiętnastej trzydzieści. Potem zęby i do łóżka. Możesz poczytać komiksy, ale o dwudziestej pierwszej masz spać, jasne?

Potakuję głową, widząc, że coś mówi, ale oczy wciąż wlepiam w zegar. Wystarczy się tylko mocno skupić...

Pocałunek w czoło jest jak klaps kończący ujęcie.

Wyszła.

Wyszła, a ja byłem bezsilny.

Odwracam się. Korytarz, przed chwilą ciasny i krótki, teraz zdaje się ciągnąć w nieskończoność. Bez niej dom zawsze wydaje się dużo większy. Wrogie terytorium, z którego nie można uciec. Boję się zrobić choćby krok.

Przemykam cicho, chcę być jak duch. Bezszelestnie dostać się do pokoju na górze, ale gdy tylko mijam salon, przywołuje mnie głos ojca.

– Karol? – woła ze swojego fotela. – Karol, podejdź tu.

Zamieram w bezruchu jak przerażone zwierzę, licząc na to, że pomyśli, że tylko mu się przesłyszało. Że wcale nie słyszał mnie na korytarzu.

– Karol?

Wchodzę do salonu i staję pod fotelem. Ojciec patrzy na mnie z uśmiechem.

– Matka już wyszła?

Kiwam twierdząco głową.

– To leć już spać, dobra?

Zerkam w stronę telewizora. Rozumiem, że dziś wieczór nici z bajek.

– Będziesz dziś krzyczał? – pytam cicho.

– Co? Jak krzyczał? – Ojciec patrzy pytająco. – O czym ty mówisz?

– Bez mamy nie dam rady.

– O czym ty... Czego nie dasz rady?

– Dać ci leków.

– O to się martwisz? – Kładzie mi dłonie na barkach. – Karol, nikt nie będzie krzyczał. Idź już do siebie, dobra?

– Boję się.

– Boisz? A co, czy ja kiedykolwiek zrobiłem ci krzywdę?

– Nie, ale...

– To nie gadaj głupot, dobra? Nigdy ci, kurwa, krzywdy nie zrobiłem, a ty zawsze, gdy wychodzi matka, zachowujesz się, jakby tu się działo nie wiadomo co. Myślałem, że z tego wyrośniesz. Chcesz, to sobie śpij u Makowskich. I tak spędzasz tam więcej czasu niż we własnym domu... Znalazł se rodzinę zastępczą...

Nic nie mówię. Stoję tylko sztywny ze strachu.

– Idź do pokoju. Co się gapisz?

Wychodzę równie cicho, co wszedłem. Zamykam się w pokoju i od razu biegnę do okna, ale Natalki nie widać. Pewnie je kolację. Ale się pojawi...

Zawsze się pojawia.

Chcąc zabić czas, kładę się na łóżku i sięgam po komiks z Kaczorem Donaldem, którego nie dokończyłem, bo mama zawołała mnie na dół. Staram się czytać, ale historia nie zatrzymuje się w głowie, wpada jednym okiem i wypada drugim. Cały czas, w strachu, nasłuchuję dźwięków z dołu. Każdy, nawet najmniejszy szelest będzie dla mnie jak wskazówka.

Ale choć minęła już godzina, nic nie słyszę. Co kilka chwil podchodzę do okna, zastanawiając się, czemu jeszcze jej nie ma. Sprawdzam leżącą na parapecie latarkę.

Niedawno wymieniałem baterie. Świeci mocno i pewnie.

To skakanie od łóżka do okna, potem do drzwi, żeby nasłuchiwać dźwięków z domu, trochę trwa. Przypomina niekończące się szaleństwo.

Ale teraz, gdy podchodzę do drzwi, nie ma już ciszy.

Są kroki.

Wstrzymuję oddech.

Spodziewam się nacisku na klamkę, ale nie nadchodzi. Kroki kierują się w głąb korytarza. Przez moment jest bardzo cicho. Z wydobywających się dźwięków nie potrafię żadnego rozpoznać.

Po chwili kroki wracają. Tym razem zmierzają prosto do mnie. Drzwi otwierają się tak gwałtownie, że gdybym stał obok, niewiele by ze mnie zostało.

Ojciec jest cały zapłakany. Stoi w korytarzu. W dłoni trzyma zakrwawiony nóż.

– Karol! – krzyczy, choć ciężko jest cokolwiek zrozumieć. – Kurwa, Karol! Oblazły mnie... O-one mnie całego... Ja musiałem... Miałem je w brzuchu... Zagnieździły się w brzuchu. Ja... Ja musiałem je...

Dopiero teraz dostrzegam czerwień. Leje się ojcu z podbrzusza jak z wodospadu.

Nie mogę się ruszyć. Jestem jak wydmuszka zalana betonem. Obserwuję górującego nade mną ojca. Jego sylwetka zasłania całe światło wpadające z korytarza.

Zostaje sama ciemność.

Ojciec klęka przede mną, szlochając coraz żałośniej. Chcę uciec, ale się boję.

– Teraz są już w tobie... Boże, Karol. Teraz są już w tobie... Muszę... Muszę... Nie ruszaj się, proszę... Ja... Boże... Masz je pod skórą. Boże, Karol. Chodzą ci pod twarzą...

Ból jest potworny. Ostrze noża przecina mój siedmioletni policzek jak masło. Czuję ciepło rozlewające się po twarzy, ściekające na szyję i pod koszulkę. Ojciec płacze coraz mocniej, wodospad łez i krwi zalewa pokój.

Wyrywam się, zatraskuję drzwi, zostawiając ojca w korytarzu, i przekręcam klucz. Szukam czegoś do obrony. Ciepło dociera do spodenek. Podłoga robi się śliska. Potykam się i gdy próbuję się podnieść, widzę snop światła uderzający w moje okno. Krótkie przerywane sygnały nadawane latarką.

To Natalka.

Wzywa mnie alfabetem Morse'a.

Wstaję i podbiegam do okna. Przez chwilę patrzymy sobie w oczy. Natalka krzyczy. Jej krzyk sprawia, że bolą mnie uszy.

Czemu tak krzyczy?

Ojciec wali do drzwi.

– Karol! Karol! Przepraszam! Otwórz, synku! Karol, proszę!

Refleksy w oknie są dziwne. Widzę, że moja twarz jest ciemna. Szybko podbiegam do stojącego na szafce lustro.

Płat mięsa zwisający mi z policzka obija się o żuchwę. Od szyi w dół przesiąkam krwią.

Nagle czuję, jak coś mnie zatyka. Kolejne oddechy nie działają tak jak zwykle. Mam wrażenie, że ktoś zasłonił lampę ciemnym kloszem. Nogi uginają się pode mną i padam na szafę.

Wszystko się rozmazuje i zaciemnia. Nie rozumiem, co się ze mną dzieje.

Dlaczego tak ciężko mi oddychać?

Oddałbym wszystko, żeby oddychać tak jak zawsze...

* * *

Mówią: proście, a będzie wam dane.

Jak tonący, którego fale uniosły na moment ponad tafłę wody, nabieram powietrza. W uszach wciąż martwa cisza, jedyne, co widzę, to sufit szopy nade mną.

Ale nie widzę już otchłani w ciemnych oczach świńskiej maski. Tylko sufit.

Spoglądam w bok. Widzę turlającą się po ziemi kupę mięsa. Wszystko zalane jest krwią. Przez moment migają mi jego rozplątane plecy, których próbuje dosięgnąć swoimi krótkimi rękoma. Rana ciągnie się od karku aż po samą dupę.

Ślizgając się na krwi, przesuвам się na bok. Dłonie instynktownie wędrują do niemal zmiążdżonego gardła. Nie jestem w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

Panicznie rozglądam się dookoła. Widzę Szeryfa. Stoi nade mną jak anioł śmierci, w dłoni trzyma zapaskudzony nóż. Ten sam, którym odcięto mu ucho. Ten sam, który oszpecił mi twarz.

Pomaga mi wstać.

– Żyjesz? – pyta.

Nie odpowiadam, jedynie kiwam głową, wciąż masując obolałą krtań. Widzę jego puste spojrzenie skierowane w turlającego się po podłodze faceta.

Mężczyzna wyje z bólu, wydając z siebie nieludzkie dźwięki. Za wszelką cenę stara się dosięgnąć rany idącej mu wzdłuż pleców, jakby panicznie starał się na powrót połączyć dwa kawały rozplątanego mięsa i zatamować krwotok.

Żałosny widok.

W końcu daje za wygraną. Kładzie się na plecach i ciężko dysząc, spogląda prosto na nas.

Po chwili ściąga z twarzy maskę.

Ciężko mi opisać ten widok. Przerazająca świńska skóra zamieniona na tę niemal dziecięcą twarz dorosłego człowieka. Duże odstające uszy i miniaturowy nos...

Przerażone spojrzenie, którym nas obdarowuje, sprawia, że czuję się dziwnie.

Jakbyśmy to my byli potworami, nie on.

– Proszę, nie – rzuca po chwili łagodnym głosem, zupełnie nieprzypominającym tego zwierzęcego charczenia, jakie wydobywało mu się z ust do tej pory. – Jestem tylko... Ty-tylko człowiekiem... Wi-widzicie? – Odrzuca maskę na bok. – Nie... Nie róbcie mi krzy-krzywdy. To-to była tylko za-zabawa. W uda-udawanie.

Szeryf zaciska dłoń mocniej na rękojeści noża. Nachyla się nad krwawiącym mężczyzną.

– M-mój brat... Je-je jest cały? Proszę, pomóżcie mu...

– Milcz, skurwielu... – rzuca Szeryf.

– Ta-tata. Kto zajmie się tatą?

Szeryf siada mu na brzuchu okrakiem, zupełnie jakby dosiadał konia. Cięcie, które wykonuje, jest bezdźwięczne, delikatne jak pociągnięcie smyczkiem po strunach skrzypiec.

Przecięte gardło przypomina wodospad. Świńska maska próbuje złapać oddech, ale tylko kilka razy. Po chwili przestaje się ruszać, jego zatłuszczonym ciałem targa parę ostatnich drgawek i jest już po wszystkim.

W otwartych, wybałuszonych oczach dostrzegam strach. Nie wiem, co zobaczył na końcu drogi, ale na pewno nie było to nic przyjemnego.

Szeryf wyciera nóż o fartuch zarżniętego mężczyzny, po czym, przewracając się, wstaje i przygląda mi się przez chwilę. Dopiero teraz patrzę na zionącą dziurę w czaszce, w miejscu, w którym wcześniej miał ucho.

– Skurwysyny... – rzuca drżącym głosem. – Młody, to, co ci zrobili... Ja... Ja...

– Dziewczyna? – pytam głosem nałogowego palacza po operacji krtani.

– Znalazła mnie na zewnątrz... Pod samochodem. Chciała chyba pobiec dalej, ale przekonałem ją, żeby mnie rozwiązała. Nie wiem, gdzie jest... Pobiegła...

Milczę. Po chwili odwracam się i podchodzę do ciała koziej bródki. Trącam je stopą, upewniając się, że skurwiel na pewno jest martwy.

– Ty to zrobiłeś? – pyta Szeryf. Czuję, jak drga mi dolna warga. Mam ochotę zalać się łzami, ale brakuje mi już chyba na to sił.

– Już dobrze, młody. Tak trzeba było. Rozumiesz?

Kopię w ciało koziej bródki, jakbym kopał w worek śmieci. Kolejne uderzenia rzucają nim po podłodze jak szmacianą lalką. Kopałbym dalej, ale Szeryf mnie odciąga.

Przestaję, ciężko dysząc. W stodole nastaje cisza, słychać jedynie pochrumkiwanie uczujących za nami świń. Nie musimy nawet nic mówić, myśli wymieniają się same podczas krótkiego spojrzenia. Wiemy, co robić.

Ubieramy się w leżące na stercie ubrania. Jest ich tak dużo. Te, z których nas odarto, znajdują się na wierzchu, ale pod nimi są też takie, które nie należą do nas, co sprawia, że żołądek zaciska mi się w supeł, a do oczu napływają łzy. Podnoszę z ziemi grube różowe rajstopy i przyglądam się im przez chwilę. Ich rozmiar pasowałby tylko na dziecko.

– Chodź. – Słyszę głos Szeryfa za plecami. – Zostaw to.

Chwytny kozią bródkę za ręce i nogi, po czym mozolnie przesuwamy się w stronę zagrody. Staram się o niczym nie myśleć, tylko jak najszybciej wynieść się z tego przeklętego miejsca.

Nic po sobie nie zostawić.

Ciało chudzielca łąduje za furtką, zapewniając świniom jedzenie na kolejne kilka dni. Fala podniecenia wśród zwierząt wydaje się jakby nieco mniejsza, niż gdy kozia bródka wrzucał do nich tę Rosjanę.

Najwyraźniej już się najadły.

Z jego bratem idzie już znacznie ciężiej. Nie udaje się nam go przerzucić, otwieramy więc furtkę i przeciągamy ciało do środka, licząc na to, że świnie nas nie zagryzą.

Obserwuję, jak zwierzęta badają ciała, stojąc wśród nich, jakby wyrzeźbili mnie w kamieniu. Ogarnia mnie coraz większe odrętwienie.

– Chodź stąd, młody. – Rysiek ciągnie mnie za ramię. – Lepiej się tu nie wywalić.

Zamykamy za sobą furtkę. Odgłosy jedzących świń będą mnie prześladować w najgorszych koszmarach do końca moich dni. Wiercą mi czaszkę, sprawiając potworny ból. Muszę wybiec. Wybiec jak najszybciej.

Docieram do drzwi i wypadam na zewnątrz, po czym rzucam się na trawę i wymiotuję. Głównie krwią.

Noc jest chłodna. Dla mojej gorącej, opuchniętej twarzy to jak Gwiazdka. Zimny wiatr chłodzi mi policzki, działając jak balsam. Po chwili słyszę trzeszczące drzwi. Szeryf staje mi za plecami.

– Myślisz, że mają tam w środku jakąś apteczkę? – pyta, kiwając głową w stronę domku. Jedną dłonią cały czas tamuje wyciekającą mu z rany krew. – Wstawaj, młody. – Klepie mnie w ramię. – Musimy iść.

Podnoszę się z kolan i wspierając się na Szeryfie, powoli człapię w kierunku ganku. Nagle, parę metrów przed nami, drzwi od domku się otwierają. Rysiek odpycha mnie na bok, w dłoni kurczowo ściska nóż.

Ze środka wyłania się kontur postaci. Wszystko dookoła owiewa martwa cisza. Postać patrzy się na nas przez moment, po czym siada na schodkach. Słyszę dźwięk odpalanej zapalniczki, po chwili widać żarzącą się końcówkę papierosa i gęsty dym unoszący się obłokiem do ciemnego nieba. Ostrożnie podchodzimy bliżej.

– Z tamtymi w środku to już koniec? – pyta postać. Z bliska zauważam, że to kobieta nosząca moją bluzę. Wciąż wydaje się trochę przymulona i przez to dziwnie spokojna, zważywszy na okoliczności. To przez te leki, którymi ją nafaszerowali. Wyciąga ku nam paczkę papierosów. Ja odmawiam, ale Szeryf bierze jednego. – Źle wyglądasz, mały – rzuca po chwili zachrypniętym głosem. – Jakbyś się zaraz miał przewrócić.

– Widziałas może w środku apteczkę? – pytam.

– Chyba mają coś w łazience. Ale nie chcecie tam wchodzić...

– Co masz na myśli?

Lustruje nas zamglonym wzrokiem, niespiesznie paląc papierosa.

– Są gówna, których z głowy nie wyrzucisz – rzuca po chwili. – Wasza sprawa. Ja stąd spierdałam. Złapię na ulicy jakiegoś stopa. – Dziewczyna wstaje i otrzepuje pośladki, po czym schodzi na dół. Zauważam, że jest już w pełni ubrana w jakieś za duże na nią ciuchy. Musiała znaleźć coś w szafach w środku. – Ale jak już musicie, to łazienka jest na piętrze po lewej.

– Dzięki – odpowiadam, po czym razem z Szeryfem podchodzimy do drzwi. Już chwytam za klamkę, gdy kobieta odzywa się ponownie.

– Jeszcze jedno...

Odwracamy głowy.

– Tam w piwnicy... Ciągle wspominałeś o jakiejś Natalce. Jak byłeś nieprzytomny, też coś o niej majaczyłeś. Znaleźliście ją? Była tu?

Odpowiadamy wymowną ciszą.

– Też grała w filmach? Czemu jej szukacie? Nie wyglądacie na zazdrosnych chłopaków. Bardziej jak ojciec i syn. To jakaś wasza rodzina?

– Jego córka – odpowiadam, wskazując głową w stronę Szeryfa.

– Może... – Wyraźnie posmutniała. – Może jej tu nie było?

– Może...

Dziewczyna przez moment mierzy mnie wzrokiem, dopalając papierosa. Widzę, że myślami odlatuje gdzieś daleko i że gdziekolwiek się teraz znajduje, nie jest to przyjemne miejsce.

– Wszystko gra? – pytam.

– Co? Nie, nic... Jak tak na ciebie patrzę... Ktoś mi się przypomniał. Jedna taka... To przez tę bliznę. – Przejechała palcem po policzku.

Papieros Szeryfa delikatnie upada na podłogę. Wydaje mi się, że wszystko na moment zamiera.

– Miała na imię Nataalka?

– Kto? Ta dziewczyna?

– Tak.

– A skąd mam wiedzieć? Przedstawiła się pseudonimem. W tej branży raczej unikamy podawania personaliów. Ale spokojnie, to nie o nią wam chodzi. Jej na pewno nikt w piwnicy nie zamknął.

– SCARlet?

– Skąd wiesz?

– To jej szukamy! Wiesz, gdzie jest? Gdzie ją widziałaś? Jeśli wiesz, to...

– Serio gadasz? Ruda? Z blizną? To jej szukacie?

– Tak! Gdzie ona jest?

– Uspokój się, mały. – Dziewczyna wyciąga kolejnego papierosa i znowu częstuje Szeryfa. Po chwili piekący dym uderza mnie w oczy. – Mówisz, że to twoja córka, staruszkule?

Szeryf nie odpowiada.

– Ładna latorośl ci wyrosła, nie ma co. Musisz być dumny.

– Wiesz, gdzie jest, czy nie? – interweniuję, zanim Szeryf zrobi z tym nożem coś głupiego.

– Wiem... To przez nią się tu dziś znalazłam.

– Co?

– To ta kurwa mnie tu zrekrutowała.

Ostatnie zdanie zdało się zawisnąć w powietrzu. Na moment nastąpiła głucha cisza.

– O czym ty...

– Mówię wam, że to ta kurwa mnie zrekrutowała.

– Nazwij ją tak jeszcze raz, a... – Szeryf zrywa się jak wściekły pies. Staję pomiędzy nim a dziewczyną.

– Zrekrutowała? – pytam. – O czym ty mówisz?

– Odpowiedziałam na pewne ogłoszenie w internecie. Bardzo dobrze płatne. To wtedy ją poznałam. To w Czechach nagrałam swój pierwszy film. Ona mi wszystko załatwiła. Dojazd, zakwaterowanie i w ogóle. Zarobiłam ładną sumkę i wróciłam do Polski. Potem odezwała się do mnie znowu... Co za kurwa...

– Możesz jaśniej?

– To rekruterka. Ta cała wasza SCARlet. Ktoś, kto ma stanowić dla ciebie takie zabezpieczenie... Wiesz, upewnić cię, że nie trafisz w ręce jakichś pojebów. Ktoś, kto sam nagrywa z nimi filmy i może zapewnić cię, że jest bezpiecznie. Kurwa... Nie wierzę, że mogła mi zrobić coś takiego... Pierdolona szmata... Zaufałam jej po pierwszym zleceniu. Myślałam, że i tym razem załatwi mi coś podobnego... Ale jak widać... Tym razem załatwiła mi to.

– Dość! – Szeryf odpycha mnie na bok i łapie dziewczynę za kołnier, mocno ściskając. Nie wiem, czy to przez to, co jej wstrzyknęli, ale wydaje się, że nie robi to na niej najmniejszego wrażenia, przez co Szeryf szybko się opamiętuje i odpuszcza.

– Rozumiem, że niełatwo słuchać takich rzeczy o własnej córce... – rzuca kobieta, rozprostowując ubranie. – Ale hej! To, co słyszałeś do tej pory, staruszk, chyba też nie było zbyt chwalebne, co?

– Gdzie jej szukać? – pytam, odciągając Szeryfa.

– Jest tu. W Czechach.

– Serio?

– No mówię przecież. A przynajmniej była miesiąc temu. Ma tu mieszkanie...

– Wiesz, gdzie dokładnie?

Kiwa głową. Wyciągam z tylnej kieszeni spodni zmiętą mapę i zapalam niewielką lampkę na ganku. Dziewczyna wskazuje miejsce palcem, tłumacząc nam, jak dojechać, a ja każę się jej skupić i potwierdzić jeszcze kilka razy, że to na pewno tam.

– Uznajcie tę informację za zapłatę. Coś mi mówi, że gdybym nie trafiła w to gówno akurat z waszą dwójką, to nie wyszłabym z tego żywa. No! To czas na mnie. Zmywam się, zanim wpadnie tu policja. Nie chcę mieć z wami ani z tym, co się tu stało, nic wspólnego. Wam też radzę uciekać.

– Musimy opatrzyć rany.

– Ja żałuję, że tam weszłam... – Patrzy przez chwilę na drzwi. Widzę, jak drga jej dolna warga. – Obym was więcej nie spotkała.

Dziewczyna znika w mroku i znów nastaje cisza. Przez chwilę pozostajemy na ganku, czekając, aż Szeryf dopali papierosa. Noc dochodzi już chyba do punktu znanego z powiedzenia – jest najciemniejsza tuż przed świtem.

Mam wrażenie, że ganek, na którym stoimy, jest jedynym fizycznym obiektem w tej pochłaniającej nas powoli czarnej dziurze.

– Chodź, młody. – Szeryf rzuca peta na posadzkę i przydeptuje go stopą. – Też powinniśmy się wynosić.

– Myślisz, że Natalka naprawdę tam będzie? Pod tym adresem?

– Nie wiem. Ale wątpię.

– Ale chcesz to sprawdzić, prawda? Nie poddamy się teraz?

– Tak. Chodźmy już.

Wchodzimy do środka. Zaduch, smród i ciemność. Pstrykam przełącznikiem, zapalając słabą żarówkę w korytarzu. Teraz przynajmniej widać schody.

– Mówiła, że łazienka jest na górze – rzuca Szeryf.

Drewniane schody trzeszczą jak zarzynane, ale udaje nam się dotrzeć na górę. Nie jestem w stanie wymacać przełącznika, więc na czuja badamy kolejne klamki.

Tutaj, na górze, śmierdzi dużo bardziej. To chyba oznacza bliskość toalety.

We właściwym pomieszczeniu niemal od razu mnie cofa. Zapalam światło, wydobywając z mroku obrzydliwy widok porzuczonej wanny, kibla i zlewu. Kafelki na podłodze są brudne, usmarowane czymś zaschniętym lata temu. Wolę nie myśleć czym. Chyba zaczynam rozumieć, co miała na myśli dziewczyna, mówiąc, że są rzeczy, których z głowy się nie wyrzuci.

Dopadamy do stojącej na półce kosmetyczki. W środku przewala się jakaś woda utleniona i stare bandaże. Niewiele, ale żaden z nas nie wybrzydza. Szeryf syczy z bólu, gdy polewam mu ucho. Zakrzepła krew spływa po szyi, odsłaniając paskudną ranę.

– Będziemy musieli znaleźć lekarza – rzucam.

– Ta, i co mu powiemy?

Nagle ciszę w środku przerywa jakiś dźwięk. Dźwięk uruchamiający we mnie odruch Pawłowa. Chcę stąd uciec, wybiec na zewnątrz i biec jak najdalej. Jak najdalej od...

...tego dźwięku.

Ktoś uderza w rurę.

– Kurwa mać, młody. Słyszysz to?

– Może ktoś został w piwnicy. Trzymali mnie tam z tymi dwiema kobietami. Musi tam być ktoś jeszcze! Musimy sprawdzić!

Wypadamy na korytarz, oświetlony teraz światłem padającym z łazienki, i wtedy dźwięk znów wybrzmiewa. Dociera do nas, że wcale nie dochodzi z dołu. To musi być na tym piętrze. Przez chwilę wymieniamy się z Szeryfem spojrzeniami i w milczeniu nasłuchujemy kolejnych stuknięć.

To pokój na końcu korytarza.

Szeryf chwyta za nóż i choć wiem, że to właściwa reakcja, to po cichu proszę go, żeby go schował. Substancja, którą podał mi tamten skurwiel, zaczyna odpuszczać. Strach znów przybiera swoje stare dobre formy. Już nie działa motywująco, tylko paraliżująco.

Rysiek przykrywa nóż pod kurtką i ostrożnie, stawiając krok za krokiem, ruszamy w stronę drzwi. Na nic nasze skradanie, gdy anonsowani jesteśmy przez skrzypiące podłogowe deski. Trzymam się z tyłu. Szeryf naciska klamkę i pierwszy zagląda do środka.

– Kurwa jebana mać! – krzyczy, odskakując od drzwi i przykrywając nos kawałkiem kurtki. Z pokoju wylewa się odrażający smród.

– Co? Co tam jest?!

– Nie wiem, kurwa. – Kaszle. – Chyba trup!

– Trupy nie stukają w rurę! – Próbuję sam zajrzeć do środka, ale Szeryf mnie powstrzymuje, po czym sam podejmuje kolejną próbę i już po chwili znika w pokoju.

– Kurwa mać! – krzyczy ponownie.

Wbiegam do środka. Widzę Szeryfa siłującego się z oknem i próbującego je otworzyć. Pokój oświetlony jest luną światła z włączonego telewizora. Niemal całą przestrzeń wypełnia stalowa rama łóżka.

Łóżka, do którego ktoś przykuł kajdankami zwłoki.

Wychudzone ciało starego mężczyzny przypomina mumię. Cienka, zasuszona skóra okalająca kości, zapadnięta klatka piersiowa, długie włosy i paznokcie. Nadgarstki i kostki przywiązane do stalowej ramy łańcuchami.

Nagle przeciąg z otwartego gwałtownie okna wdziera się do środka, porozrzucone wszędzie dookoła śmieci po jakimś niezdrowym żarciu wirują jak tornado. Mój wzrok pada na włączony telewizor.

– Boże! Ten smród! Młody, co tak stoisz?!

Film na ekranie przypomina mi rodzinne wideo nagrywane starą kamerą. Akcja dzieje się chyba w ogródku. W oddali widzę dwóch małych chłopców bawiących się na zewnątrz. Jeden bardzo szczupły, drugi wręcz przeciwnie. Są uśmiechnięci, ale uśmiechy schodzą im z twarzy tym mocniej, im bliżej podchodzi do nich kamerzysta. Ręka dzierżąca urządzenie drży. Stare wideo skacze i faluje.

Zbliżenie na ich twarze sprawia, że czuję się dziwnie, jakby byli mi znani... Jak jacyś dawno zapomnieni koledzy z dzieciństwa. W ich twarzach jest coś znajomego. W tej podłużnej twarzy chudego, w tych odstających uszach i małym nosie grubszego. W jego okrągłych okularach przywodzących mi na myśl... Harry'ego Pottera.

Chłopcy mają smutne spojrzenia. Mam wrażenie, że wiedzą coś więcej niż ja.

Nagle kamerzysta chwyta szczuplejszego za ramię i ciągnie za sobą, a grubszy podąża za nimi... Wydaje mi się, że poznaję to podwórko. Trawy jest więcej, jest bardziej zadbana, ale tak...

Znam to miejsce.

Cała trójka wchodzi razem do stodoły. Kamerzysta odkłada kamerę na jakiś stołek i dołącza w kadrze do chłopaków. Obaj się od niego odsuwają, widzę, jak musi nimi szarpać. Dorosły mężczyzna wskazuje palcem w obiektyw i mówi coś chłopcom na ucho. Chudszy kręci przecząco głową, przez co dostaje w nią otwartą dłoń. Grubszy patrzy się tępo w obiektyw kamery, gdy mężczyzna zdejmuje z niego koszulkę.

– To ten tutaj – rzuca szeptem Szeryf, wskazując palcem mężczyznę na ekranie. – To ten sam facet, którego trup leży w łóżku...

Wyłączam telewizor.

Zerkam na półkę pod ekranem. Pełna jest starych kaset VHS. Każda podpisana jest samą datą. Biorę jedną do ręki.

– Włącz... – wybrzmiewa słaby, starczy głos zza pleców. – Włącz...

– Kurwa mać! – Szeryf odskakuje pod ścianę, wyciągając przed siebie nóż. – Skurwiel żyje!

– Włącz... – Mężczyzna porusza się lekko, uderzając łańcuchami w stalowe ramy łóżka.

– Chodźmy stąd, Rysiek...

– A co z nim? Chcesz go tu tak zostawić?! Kurwa mać!

Mężczyzna zaczyna obrzydliwie kaszleć.

Patrzę na otwarte okno. Na zasłony targane mroźnym wiatrem. Potem na przykrytego kocem starca przywiązanego do łóżka. Odkładam kasetę z powrotem na półkę, po czym zrywam z mężczyzny koc, odsłaniając kościste nagie ciało. Wygląda, jakby zaczynało rozkładać się już za życia. Klatka piersiowa zapada się niemal do samego materaca. Mężczyzna zaczyna kaszleć coraz mocniej, cały się trzęsie. W pokoju robi się zimno jak w chłodni, ale nie przykrywam go z powrotem i zabieram koc ze sobą.

– Chodźmy – powtarzam, po czym wychodzę z pokoju.

Szeryf patrzy na starca jeszcze przez moment i po chwili dołącza do mnie na korytarzu.

– Myślisz, że to...? – pyta drżącym głosem.

– Nie chcę już o tym myśleć, Rysiek.

Chwyta mnie pod bark, pomagając zejść ze schodów. Wychodzimy.

Ciche „Włącz...” dobiega do nas po raz ostatni, gdy jesteśmy już na schodach.

Wychodzimy...

Wychodzimy, choć wiem, że część mnie zostanie tu już na zawsze.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Jakbym patrzył na kogoś obcego.

Twarz, na którą spoglądam w lustrze tego przydrożnego kibla, zdaje się dziwnie nieruchoma. Obojętna. Im dłużej gapię się w te podkrążone, niemal czarne oczy, tym bardziej mam wrażenie, że to już nie ja.

Ktoś inny.

Macham sobie dłonią przed posklejaną plastrami twarzą, gdy z jednej z kabin dociera do mnie plusk spuszczonej wody. Szeryf wychodzi umyć ręce.

– Pierdolę, jaki syf... Mają tu chociaż bieżącą wodę? – pyta, odpychając mnie delikatnie od zlewu. – Ty nie korzystasz?

Jak przebudzony z transu rozglądam się dookoła. Dostrzegam popękane, uświnione pisuary, wyłamane drzwi kabiny i pisane mazakiem graffiti na usmarowanych kafelkach.

– Przeszła mi ochota – odpowiadam.

– Jak sobie chcesz, ale jak zechce ci się w trasie, to będziesz lał do butelki. – Szeryf strząsa nadmiar wody z dłoni. – To chodźmy. Już niedaleko. Chciałbym dojechać, zanim się ściemni.

Szeryf wychodzi na zewnątrz, zostawiając mnie znowu sam na sam ze swoim odbiciem. Ale po chwili ja też wychodzę. Nic tu po mnie.

Zapach świeżego powietrza wypiera drażniący odór moczu. Zasnute chmurami niebo zdaje się wisieć bardzo nisko. Tu, ze wzgórze, widok jest naprawdę niepokojący. Opieram się o barierkę i patrzę na las malujący się w oddali, na drzewa szarpane wiatrem. Gdzieś tam, niedaleko, być może jest też ona.

– Będzie lało – rzuca Szeryf, odpalając papierosa.

Patrzę, jak nonszalancko opiera się o maskę swojego auta. Zdezelowany wóz u kresu swej drogi. Ale da radę. Dowiezie nas do końca.

Mój biały koń.

Mam tylko wrażenie, że rycerska zbroja rozpadła się i zgubiła gdzieś po drodze.

Ostatnie kilka dni spędziliśmy zamknięci w hotelowym pokoju, starając się poskładać do kupy zdemolowane ciała. Zapłatę zostawialiśmy przed drzwiami, nocami wymykając się do sklepu, jak upiory z twarzami zasłoniętymi kapturami, oby tylko nikt nie zobaczył nas w tym stanie. Ktoś mógłby zawiadomić policję. I choć rany zaczynały się zaskorupiać, krwiaki z fioletu przechodzić w żółć, a ból stał się czymś

stałym, do czego można było przywyknąć, to mam wrażenie, że wyglądamy coraz gorzej. Że powoli umieramy.

Prawie w ogóle nie rozmawiamy o Natalce, choć w teorii to właśnie do niej teraz jedziemy. Sam staram się unikać tematu jak ognia. Wydaje mi się, że obaj pogrzebaliśmy ją w tamtej stodole, kilka dni temu. Myślenie o tym, że naprawdę mogłaby mieszkać pod wskazanym przez dziewczynę adresem, wznieca nadzieję. Wiemy, jak mocno zaboli, jeśli jej tam nie spotkamy, a obaj wolimy unikać dodatkowego bólu.

Pierwsze krople deszczu uderzają o maskę. Szeryf, zrezygnowany, wbija wzrok w niebo, wzdycha i wyrzuca papierosa na parking przed toaletą.

– Wsiadasz? – pyta, siedząc już w środku.

Kolejne godziny jazdy mijają w ciszy. Kilometry niemal pustej drogi wiją się przed naszymi oczami połykane pod kołami wysłużonego samochodu, prowadząc do następnego wyludnionego miasteczka, takiego samego jak wszystkie inne mijane po drodze. Pytamy miejscowych o drogę. Szeryf mówi głośno i powoli, wciskając palec w punkt na mapie, a ja nie ingeruję.

Domek, którego szukamy, jest położony gdzieś za miastem. Zaczynam tracić nadzieję, że takie miejsce w ogóle istnieje. Podejrzewam, że dziewczyna nie myślała zbyt trzeźwo po tym świństwie, które jej wstrzyknęli. Być może też zwyczajnie nas oszukała. Bo niby czemu miałyby tego nie zrobić?

Ale w końcu go dostrzegamy. Niewielki parterowy budynek, otoczony drzewami jak jakimś naturalnym murem. Robi się już ciemno, więc ganek oświetla blada pomarańczowa poświata, wokół której sennie latają małe czarne punkty. Szeryf podjeżdża dosyć blisko, po czym gasi silnik i reflektory. Przez jakiś czas w ciszy wpatrujemy się w rozświetlone wejście.

– Co dalej? – pytam po chwili.

– Nie ma jej tam.

– Co? Czemu tak myślisz?

– Nie wiem, chyba bym poczuł, gdyby tu była... Sam nie wiem. Myślę, że powinniśmy po prostu wracać do domu.

– Skoro przejechaliśmy taki kawał, to powinniśmy chociaż sprawdzić.

– To sobie idź i sprawdź.

– Chcesz, żebyśmy poszedł tam pierwszy?

– Bez różnicy. Nie ma jej tam.

Wychodzę z auta, zostawiając Szeryfa w chmurze dymu ze świeżo odpalonego papierosa. Nie wiem czemu, ale z samochodu ścieżka wydawała się krótsza, a okazuje się, że do przejścia mam jeszcze spory kawałek. Z okien widać mnie jak na dłoni, ale

to dobrze. Nie przyszedłem się zakraść. Chcę tylko zadać kilka pytań temu komuś, kto otworzy drzwi, i odejść.

Próbuję przywołać w pamięci jej obraz, zastanawiając się, czy rozpoznam ją, nawet jeśli rzeczywiście tam jest. Minęło tyle lat. Kobieta z plakatów w niczym nie przypominała tej roześmianej rudej nastolatki, z którą siedziałem w jednej ławce. Wiem, że muszę skupić się na oczach. Cała reszta mogła zostać dorobiona sztucznie, nawet bliźnie nie mogę ufać, ale oczy... Oczy muszą być te same.

Zastanawiam się, co powiem. Czy wystarczy jej, że pamiętaliśmy? Że myśleliśmy o niej cały ten czas i chcemy ją z powrotem? Czy zapłakana rzuci mi się w ramiona, tłumacząc, jak bardzo tęskniła? Czy zjemy we trójkę zrobioną przez nią kolację, a rano zapakujemy się do auta i wrócimy do domu? Czy takie zakończenie jest jeszcze w ogóle możliwe?

Zanim zdaję sobie sprawę, że nie wiem, jakie będą moje pierwsze słowa, stoję już na ganku. Oświetlony jak choinka w Boże Narodzenie. Powoli podnoszę rękę, by zapukać, gdy uświadamiam sobie, że nie mam na to siły. Ramię nie współpracuje.

Wyrycza mnie pies szczekający w środku. Musiał usłyszeć, że wokół domu ktoś się krząta. Jestem w stanie usłyszeć uspokajający go, przytłumiony kobiecy głos. Gdy pies cichnie, zdobywam się w końcu na to, by zapukać. Czuję, że po drugiej stronie drzwi ktoś mnie obserwuje.

- Kto tam? – pyta ostro kobiecy głos.
- Natałka?
- Słucham? Kto tam?
- Karol. Karol Szczygieł. Ja...

Słyszę szczekający zamek. Drzwi się lekko uchylają i pierwszym, co widzę, jest czarny nos psa wyściubiającego pysk przez szparę. Mały, czarny. Więcej hałasu niż materii. Pies wybiega na ganek i ochoczo merda ogonem, przebiegając mi między nogami.

- Karol?

Podnoszę wzrok. Oczu nie da się zmienić. Kształtują się całe życie. Dochodzą nowe elementy, nowe radości i smutki, ale stare wciąż są widoczne jak na dłoni. To spojrzenie... Tak, oczy są te same. Za to cała reszta...

To już nie ona. Do tego ta blizna... Blizna się zmieniła. Nie jest już naturalnie poszarpana i krzywa. Teraz wygląda pięknie, jak efekt celowego zabiegu... Musiała ją poprawić... Na pewno ją poprawiła.

- Karol, co ty tu... Co jest?
- Cześć, Natałka – odzywam się w końcu, głaszcząc łaszącego się do mnie psa.
- Cerber, zostaw go! No już!

Pies wraca do środka, a ja patrzę w jej oczy i nie mam pojęcia, co powiedzieć.

– Miło... – Zdobywam się w końcu na odrobinę sztucznej uprzejmości. – Miło cię widzieć.

– Miło mnie widzieć?! Co ty tu robisz?!

– Przyjechaliśmy, że-żeby...

– Przyjechaliście? – Wygląda mi znad ramienia na drogę za mną. Dostrzega samochód. Tak dobrze jej znane auto. – Co, do kurwy... To, to auto mojego...?

– Twój ojciec przyjechał ze mną.

– Pojechało was?!

Nie bardzo wiem, jak zareagować. Czuję, że mój uśmiech robi się coraz dziwniejszy. Jak u małego zakłopotanego chłopca, który zaraz się rozpłaczę.

– Serio pytam. O co z tym wszystkim chodzi?!

Po chwili na ganek wychodzi mężczyzna. Jest bez koszulki, w samych szortach. Jego klatka piersiowa przypomina brudnopis, cała pokryta przez niezbyt subtelne tatuaże. Mężczyzna ścina mnie wzrokiem.

– Co jest, skarbie? – rzuca, nie odrywając ode mnie wzroku. – Co to za gość?

– To... To kolega – odpowiada Natałka.

– Kolega?

– Karol... Były sąsiad.

– I co on tu robi? – pyta ją, ale mam wrażenie, że jego słowa skierowane są do mnie.

Natałka chyba dostrzega moje zakłopotanie, więc prosi chłopaka, żeby poczekał w środku. Ten niechętnie, ale dostosowuje się do prośby.

– Karol, pytam ostatni raz. Co tu robisz?

– Przyjechaliśmy... My przyjechaliśmy zabrać cię do domu.

Natałka wybucha dziwnym śmiechem. Jakąś dziwną mieszanką paniki i pogardy.

– Zabrać do domu?! Niby czemu mielibyście chcieć zrobić coś tak głupiego? W ogóle co się z tobą stało? Wyglądasz, jakbyś wpadł pod samochód.

– To już nieważne. Ważne, że tu jestem.

– Karol, mam wrażenie, że jesteś naćpany. Mówisz poważnie? Czy to wszystko jakiś głupi żart?

– Tak. Szeryf... Znaczący Rysiek...

– Mój ojciec. Co? Co z nim?

– Widział twoje filmy...

– Jezus Maria...

– Przyjechaliśmy ci pomóc. My...

– Pomóc?! A kto, do kurwy, powiedział, że potrzebuję pomocy?!

– Chcemy cię zabrać do domu. Posłuchaj mnie...

- A kto twierdzi, że chcę tam wrócić, co?!
- Natałka... To nie jest życie, jakiego...
- To moje życie! Kto daje ci, kurwa, prawo oceniać, co jest życiem, a co nie?!

Na ganek znowu wychodzi ten gość bez koszulki. Wygląda na gotowego, żeby wyperswadować mi siłą tę wizytę. Nie miałbym z nim szans, więc modłę się, żeby i tym razem Natałka po prostu go wygoniła.

- Dasz nam pogadać?! - Zwraca się w jego kierunku i obrzuca wzrokiem pełnym złości. - Co, ty też myślisz, że potrzebuję pomocy?!

- Skarbie, słyszę, że krzyczysz. Zastanawiam się po prostu, czy wszystko w...
- Powiedziała, żebyś czekał w środku!

Pan goła klata znów łąduje w mieszkaniu, prawdopodobnie z uchem przyklejonym do drzwi.

- Wciąż je nosisz... - rzucam po chwili.
- Co?
- Kolczyki, które ci podarowałem. Wciąż je nosisz.
- Kolczyki? O czym ty, do cholery... Te serca? - Chwyta za małżowiny, demonstrując biżuterię. Dwa małe, puste, srebrne serca.
- Należały do mojej matki... Dałem ci je, gdy...
- I co, chcesz je z powrotem czy o co ci chodzi?
- Nie... Ja tylko...
- To nie są te same kolczyki.
- Jak to? Przecież pamiętam, jak wyglądały.
- Te kupiłam na jakimś bazarze. Lubiłam je, więc chciałam podobne... Tanie podróby, ciągle mi wypadają...
- A co stało się z tymi mojej mamy?
- Sprzedałam.

Natałka spuszcza wzrok i chwyta się za łokieć. Pamiętam, że podobnie robiła w dawnych czasach zawsze, gdy czuła się głupio.

- Słuchaj, Karol - rzuca po chwili. - Zjawiasz się tu totalnie z dupy, po latach i wydaje ci się, że co? Że wpadnę ci w ramiona i podziękuję za ratunek od życia, które sama wybrałam? A potem co? Wsiądziemy do gruchota mojego ojca i pojedziemy na lody?

- On bardzo ciężko to wszystko znosi...
- Co ciężko znosi?
- Przecież wiesz... Te filmy...
- Ja pierdolę, przecież nikt nie kazał mu ich oglądać. To chore!
- Przyprawdzą go tu, może będzie lepiej, jeśli ty i on...

- Pójdź po niego, a przysięgam, że każę Sebastianowi powybić wam zęby.
- Natałka...
- Masz jakieś urojenia, Karol. Powinieneś się leczyć. Nie wiem, na co liczyłeś, przyjeżdżając z moim jebniętym ojcem aż tutaj, ale... Musisz się leczyć.
- A ty musisz przestać to robić.
- Co robić?
- Dalej nagrywać. Musisz przestać, bo...
- Bo co? Bo ty weźmiesz mnie do siebie i będziesz utrzymywał? Jak jakąś pierdoloną sekslalkę, hm? Tego chcesz?!
- Nie mów tak...
- Może naoglądałeś się tych filmów i przez to ci odbiło, co? Chciałbyś mieć SCARlet u siebie w domu, co? Tylko dla siebie. Pierdolony zbok... Do twojej wiadomości, nie dość, że nie mam zamiaru nigdzie wracać, to tu też długo nie zabawię. Wylatuję do Stanów. Sebastian załatwił mi pracę dla naprawdę topowej wytwórni. Uwierz mi, że dopiero się rozkręcam, więc będziesz miał całą maaasę filmów do oglądania! Zadowolony?!
- O co ci chodzi?! W ogóle cię nie poznaję! Co się z tobą, do cholery, stało?! Jechałem tu, myśląc, że potrzebujesz pomocy, a wychodzi na to, że to innych trzeba ratować przed tobą!
- Ratować przede mną? O czym ty w ogóle...
- Nie masz pojęcia, przez co przeszedłem, żeby się tu dostać. Widzisz moją twarz?!
- Odwijam bandaż, demonstrując bliznę na drugim policzku. - Widzisz to?! Widzisz, co mi zrobił?!
- O czym ty...
- Rekrutowałaś dla tych pojebów... Nie mogę uwierzyć, że naprawdę to robiłaś...
- Co? Rekrutowałam...
- Znalazłem jedną z kobiet, które w to wciągnęłaś. W pierdolonej piwnicy! O mało nie poćwiartowali nas ku uciesze jakiejś bandy pierdolonych zboków w internecie! Jak możesz robić coś tak obrzydliwego? Powiedz mi, kurwa, bo nie rozumiem... Jak...
- Gównu ci do tego, jak zarabiam na życie. Nie mam z tym nic...
- Widziałem film... Ciebie też skrzywdzili... Ten facet w masce świni. Jak mogłaś pozwolić, żeby innym robili to samo?
- O czym ty mówisz... On... On nigdy mnie nie dotknął... Ja... Ja nie pamiętam, żeby...
- Byłaś, kurwa, zbyt naćpana, by pamiętać! Nawet nie widziałaś wszystkiego, co krąży w necie z twoim udziałem!
- Dość! Przestań!

– Żałuję, że w ogóle przeszło mi przez myśl, że ty i ja moglibyśmy...

– Moglibyśmy co?

– Nieważne. To już nie ty. Brzydzę się tobą... Nawet wyglądasz inaczej. Wszystko jest, kurwa, inaczej. Nie oszczędziłaś nawet blizny. Musiałaś zmienić w sobie jedyny element, który sprawiał, że jesteś wyjątkowa? To, co masz na twarzy, już nawet nie wygląda jak blizna...

– Co cię obchodzi moja blizna?

– Zapomniałaś już, skąd ją masz?! Pocięłaś się, widząc, jak ojciec oszpecił mi twarz! Nie chciałaś, żebym był z tym osamotniony! Żeby śmiali się ze mnie w szkole! Dzięki tobie... Dzięki tobie znów czułem się normalny... Gdzie jest tamta osoba?! Myślałem, że więź, która nas łączy, będzie po czymś takim jak stalowa lina, ale widzę, że...

– Naprawdę tak myślałeś?

– Co...? – Ściszam ton. – Tak... Myślałem, że jesteśmy dla siebie kimś wyjątkowym...

– Nie o tym mówię. Mówię o bliźnie. Naprawdę myślałeś, że zrobiłam to dla ciebie? Że pocięłam się, żebyś nie czuł się osamotniony?

– O czym ty...

– Ty... Ty tak mało rozumiesz... Zrobiłam to, bo chciałam zwrócić na siebie uwagę ojca. Ojca, rozumiesz? Po tym, jak twój nienormalny stary poharatał ci głowę, stałeś się jego oczkiem w głowie! Całą uwagę poświęcał tobie, mnie miał w dupie! Wychowanie zostawił matce, a uwierz mi, że robiąc to, wrzucił mnie prosto do samego jebanego piekła! Nienawidziłam cię za to! Nie byłeś jego synem, ale ciągle się zachowywałeś, jakbyś był! Odebrałaś mi go! Jak myślisz, co taka gówniara jak ja mogła wtedy pomyśleć? Na jaki pomysł mogła wpaść, żeby ojciec znów zwrócił na nią uwagę? Oczywiście, że się pocięłam! Chciałam dostać choć ułamek troski, jaką dawał tobie, skurwielu!

– Natałka... Ja...

– Milcz! Nic o mnie nie wiesz. Nie wiesz, jak to było dorastać w mojej skórze... Być przypalaną papierosem w udo, gdy spódniczka, którą założyłam, okazywała się za krótka na standardy mojej pojebanej matki! Z tak wstrętną blizną nie chciało się już więcej pokazywać nóg, oj nie... Nie wiesz też, co musiałam zrobić, gdy przyłapała mnie na masturbacji... Co kazała mi w siebie włożyć, żeby już na resztę życia wybić mi to z głowy... Nic, kurwa, o mnie nie wiesz! Jak myślisz, gdzie szukało ratunku dziecko bite do sianej skóry za nieposprzątany pokój, co?! Gdy jeden z rodziców był potworem spod łóżka... Jak myślisz, gdzie tamta dziewczyna chciała szukać ratunku, jak nie u ojca? Ojca, który zawsze chciał mieć syna...

– Natałka...

Widzę zmianę w jej oczach. Przerazenie malujące się na twarzy. Zerka mi nad ramieniem, gdzieś w stronę drogi. Po chwili zaczyna krzyczeć:

- Zostań tam! – Natałka wskazuje palcem na zmierzającego w naszą stronę Szeryfa.
- Zostań tam, gdzie stoisz, skurwielu! Nie podchodź! Słyszysz?!
- Natałka, córeczko... – Szeryf zawodzi cichutko, wyciągając przed siebie ręce jak zombie. Cały zalany jest łzami.
- Zostań tam! Seba! Seba, pomocy!
- Natałka, jedźmy stąd. Córeczko...

Goła klata wypada na ganek, po czym szybkim pchnięciem zrzuca mnie ze schodów. Natalia krzyczy, żeby wziął się za jej ojca. Widzę, jak Szeryf dostaje kilka ciosów w szczękę, po czym pada na ziemię. Doczołguję się do niego, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

- Żebyś tu więcej nie widział, pojeby! – rzuca chłopak Natałki, plując z pogardą na piasek, wyraźnie dumny z tego, jak nas załatwił.

Drzwi zamykają się z trzaskiem. Podnoszę obolałe ciało, po czym pomagam wstać Szeryfowi. Z trudem dochodzimy do auta.

- Nic... Nic nie rozumiem... – rzuca po chwili Szeryf, cały we łzach. – Dlaczego tak reaguje?

- To nie Natałka... Chodźmy stąd. To nie Natałka.
- Co?
- To już nie ona.
- Musimy zabrać ją do domu. Nie możemy pozwolić, żeby... Żeby...
- Ona nie chce wrócić.
- Nie ma nic do gadania. Jestem jej ojcem... Muszę...
- Nie rozumiesz? Ona doskonale wie, co robi! Dostarczała ludzi dla tamtych pojebów tylko po to, żeby mogli ich posiekać na wizji! To już nie jest twoja córka!
- Zabieramy ją do domu, Karol. Chodź.

Szeryf dopada do bagażnika, niemal się przy tym przewracając. Otwiera torbę i wyciąga z niej wojskowy nóż.

- Wraca do domu... Nie pozwolę jej dalej... Nie będzie więcej niszczyć mi życia.
- Nie rozumiesz, że nie chce wrócić?! Wybrała takie życie! Wie, co robi!
- Chodź. Pomożesz mi zająć się tym fagasem. Jak nie będzie siedział grzecznie, to go zdejmujemy i zabieramy Natalkę.
- Zdejmujemy?! Zdajesz sobie sprawę z tego, co wygadujesz?! Co się z nami stało?! Od kiedy to kogoś „zdejmujemy”?!
 - Skurwiel pewnie trzyma ją tam siłą. Założę się, że sam nagrywa filmy...
 - Rysiek!

– Chodź, młody. Idziemy.

– Nie!

– Co?

– Słyszałeś mnie! Zostawmy ją! Wracajmy już, kurwa, do domu! Proszę, Rysiek...

Mdli mnie na widok wyciągniętego noża. Łapię Szeryfa za rękaw, starając się powstrzymać go przed ruszeniem w stronę domku, ale on wyrywa rękę, po czym przyciska mnie do maski samochodu, w dłoni ciągle dzierżąc nóż.

– Jesteś albo ze mną, albo przeciwko mnie... – szepcze przez zaciśnięte zęby, przystawiając mi ostrze do gardła. Widzę żyły pulsujące mu na czole. Dziaśła przesiakają krwią.

– Rysiek... Dusisz mnie...

Po chwili luzuje uścisk. Wygląda, jakby wracały mu zmysły. Jakby zdał sobie sprawę z tego, kim się stał. Biorę wielki haust powietrza, po czym odbiegam jak najdalej.

– Karol...

– Jesteś chory! Jesteś chory, skurwielu!

– Ja tylko chcę, żeby wróciła... Dokąd idziesz? Karol?

Odchodzę, przyspieszając kroku. Muszę znaleźć się gdzie indziej. Szybko. Z dala od Szeryfa i jego córki. Z dala od wszystkiego, co zaprowadziło mnie do tego punktu.

Łzy zalewają mi oczy. Potrzebuję zaczerpnąć oddechu. Muszę oddychać. Gdy zerkam przez ramię, widzę, że Szeryf padł na kolana.

– Karol?! Dokąd idziesz?! Karol! Karol, proszę! Błagam! – Słyszę, jak krzyk przeradza się w żałosny szloch, ale biegnę dalej.

Biegnę tak długo, aż nie słyszę już nic więcej. Nic poza szumem wiatru i śpiewem ptaków.

Jakbym zrzucił z klatki olbrzymi ciężar.

W końcu mogę zaczerpnąć powietrza.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kierowca nie mówi po polsku. Tkwię na tylnym siedzeniu, licząc, że dobrze wytłumaczyłem i wysadzi mnie dokładnie tam, gdzie nocowaliśmy z Szeryfem.

Rysiek nie ruszył za mną, więc niewiele myśląc, zacząłem łąpać stopa. Udało się za trzecią próbą, co i tak uznaję za dobry wynik, biorąc pod uwagę, jak aktualnie musi wyglądać moja gęba.

Czterdziestolatek wygląda na zmęczonego całym dniem. Zakładam, że dojeżdża do pracy do jakiegoś większego miasta, a teraz czym prędzej wraca do domu, żeby się przespać i jutro jechać tam znowu. Patrzy się tępo w przednią szybę, co jakiś czas zerkając we wsteczne lusterko, jakby upewniał się, że nic nie kombinuję.

Zatrzymujemy się na wjeździe do jakiegoś miasteczka. Czy to to samo, w którym nocowaliśmy? Nie mam bladego pojęcia. Facet odwraca się w moją stronę i stuka palcem w otwartą dłoń. Niektóre gesty z łatwością potrafią przebić barierę językową. Niestety mój portfel, resztki pieniędzy i dokumenty zostały w schowku w aucie Szeryfa.

– Nie mam kasy – powtarzam, kiwając przecząco głową, ale facet nie odpuszcza, tylko natarczywie wciąż stuka palcem. – Gdybym miał pieniądze, wzywałbym taksówkę, a nie łąpał stopa.

Łapię za klamkę, ale drzwi okazują się zamknięte. Facet zaczyna coś krzyczeć, łapie mnie za rękaw.

– Puszczaj! Słyszysz, kurwa?! Puszczaj! – Wymierzam kierowcy cios drugą ręką, prosto w ucho. W końcu puszcza, ale jednocześnie rzuca mi pełne wyrzutu spojrzenie. Jakbym skrzywdził mu matkę, a to on pierwszy przeszedł do rękoczynów. Patrzymy tak na siebie przez chwilę, po czym słyszę puszczające zamki w drzwiach. Wypadam na zewnątrz.

Facet nie odjeżdża, tylko gapi się na mnie przez szybę. Ignoruję go i idę dalej. Staram się rozejrzeć nieco po okolicy, poszukać tego hotelu, w którym spaliśmy i w którym spędziliśmy kilka ostatnich dni, śpiąc i lecząc rany. Kobieta na recepcji cały czas obdarowywała nas tym swoim dziwnym spojrzeniem... Jakby była zdziwiona, że wróciliśmy. Cały czas miałem wrażenie, że współpracowała ze skurwielami... Ale liczę na to, że pozwoli mi się przespać. Wytłumaczę jej, że Szeryf zapłaci rano. Muszę tylko znaleźć ten pieprzony hotel.

Tułam się po mieście już chyba od godziny, krążąc w kółko. Wróciłem do miejsca, w którym wysadził mnie ten wariat, ale samochodu już nie ma. Zaczynam żałować, że zachowałem się jak dzieciak i uciekłem, ale to wszystko było po prostu zbyt przytłaczające. Natałka... To jej spojrzenie...

Gdziekolwiek wysadził mnie ten facet, nie jest to to samo miasto, w którym spaliśmy. Szukałem jakiegokolwiek noclegowni, ale tu nic nie ma. Ulice są puste i ciemne, niemal wyludnione. Pojedyncze osoby przemykają jak cienie. Staram się zaczepiać ludzi na ulicy, ale na mój widok tylko przyspieszają kroku.

Chłód przychodzi wraz z wiatrem. Czuję, jak powoli kostnieją mi palce. Z nosa cieknie jak z kranu. Muszę zejść z ulicy, ale nie wiem dokąd. W okolicy nie ma nawet żadnych barów czy sklepów. Zwyczajnie nie ma dokąd iść.

Dostrzegam kobietę zbliżającą się do klatki schodowej jakiegoś bloku. Siadam na ławce, czekając, aż wpisze właściwą kombinację cyfr na klawiaturze domofonu, po czym w ostatniej chwili wstaję i łapię zamykające się drzwi, wślizgując się za nią do środka.

Tu przynajmniej nie wieje.

Przez chwilę spaceruję po pustej klatce, licząc sam już nie wiem na co. Chyba na to, że jakiś dobry samarytanin otworzy drzwi i zaoferuje mi nocleg z ciepłą kolacją przed snem, ale nic takiego się nie dzieje.

Słyszę przytłumione odgłosy dobywające się z mieszkań, czując się tu jak wyrzutek. Po chwili nieprawdopodobne zmęczenie ogarnia moje ciało. Obiecuję sobie, że przycupnę w kącie tylko na moment, odpocznę i ruszę dalej, ale kończyny odmawiają posłuszeństwa, robią się coraz cięższe, jak zalane ołowiem.

Kulę się we wnęce prowadzącej do zsypu na śmieci. Zapach jest tu nieprzyjemny, a podłoga lepka, ale przynajmniej nie czuję się obserwowany. Mam tylko nadzieję, że nie wystraszę nikogo idącego wyrzucić śmieci o tak późnej porze.

Zamknę oczy tylko na chwilę. Potrzebuję kilku godzin, aż znów nastanie świt. Wtedy łatwiej będzie ruszyć w dalszą drogę.

* * *

Budzi mnie nagłe szturchnięcie. Zrywam się i przywieram plecami do ściany. Jakaś starsza kobieta popycha mnie nogą, krzycząc coś po czesku. Przekręcam się na drugi bok, każąc jej się odpierdolić, ale to na nic. Kolejne kopnięcia zmuszają mnie do wstania. Przepraszam i wychodzę na zewnątrz.

Jest już jasno i znacznie cieplej, choć trudno mi stwierdzić, która może być godzina. Idę przed siebie główną drogą, aż docieram poza miasto. Postanawiam, że znowu spróbuję złapać stopa, ale droga jest całkowicie pusta. Albo przespałem moment,

w którym mieszkańcy jadą do pracy w innych miastach, albo jest na to jeszcze zbyt wcześnie.

Potworny głód i pragnienie zaczynają dawać mi się we znaki. Mam wrażenie, że żołądek robi się twardy, jakby ktoś zalał go betonem. Robię sobie przerwę wśród pobliskich drzew. Usta zwilżam poranną rosą, co przynosi chwilową ulgę. Słyszę przejeżdżającego tira, więc wybiegam na jezdnię, machając rękoma jak oszalały. Kierowca ani myśli zwolnić, trąbi jeszcze długo po tym, jak mnie minął.

Ruszam dalej, snując się po drodze jak zombie. Udaje mi się zatrzymać jakąś kobietę, ale ta odjeżdża po zerknięciu na mnie. Zdaję sobie sprawę z tego, że ubrania wciąż noszą ślady tamtych wydarzeń w stodole, mimo wysiłku, jaki włożyłem z Szeryfem w ich ręczne upranie. Dwudniowa tułaczka musi sprawiać, że śmierdzą jak ostatni menel, a poharatana twarz nie wzbudza zaufania. Nie wiem, czy mogę winić ją za to, że odjechała.

Obserwuję powoli przesuwające się po horyzoncie słońce, mając nadzieję, że dogadałem się z jednym kierowcą co do kierunku, w którym muszę iść, żeby znaleźć się przy polskiej granicy. Nikt nie chce mi pomóc, więc postanawiam, że będę szedł tak długo, jak będę w stanie.

Przerwy w cieniu przydrożnych drzew robią się coraz częstsze. Podczas ostatniej zasypiam, nie wiem na jak długo, ale słońce zdążyło przebyć w tym czasie daleką drogę. Powoli zmierzcha.

W końcu trafiam na ludzi. Dwie stojące przy drodze prostytutki, ubrane w minispódniczki i wysokie kozaki. Obie wyglądają na śmiertelnie znudzone, kopią przydrożne kamienie, jakby grały w piłkę. Gdy z daleka dostrzegają moją sylwetkę, wskazują na mnie palcem. Nie chcę, żeby uciekły, ale nie wiem, jak pokazać, że nie stanowią zagrożenia, więc po prostu idę dalej. W ten sam sposób, w tym samym tempie.

Dziewczyny schodzą z drogi, nieco głębiej w rozpościerający się za nimi las. Dwie pary bacznie obserwujących mnie oczu, sprawdzających, czy je minę, czy będę robił problemy. Postanawiam po prostu iść dalej. Nie niepokoić nikogo na mojej drodze. Zresztą nawet nie wiem, jak mogłyby mi pomóc. Jedyne, co może mi pomóc, to podwózka, a nie widzę, żeby miały auto.

– Ej! – krzyczy nagle jedna z prostytutek w znanym mi języku. – Mały?!

Na początku mam wrażenie, że mi się przesłyszało, więc idę dalej. Reaguję dopiero, gdy głos zaczyna się powtarzać.

– Co ty tu robisz?!

Patrzę na kobietę przede mną. Jak nieumiejętnie wybiega z pobocza, starając się nie przewrócić przez te wysokie obcasy. Nagle dociera do mnie, że już się spotkaliśmy...

To kobieta, która miała moją bluzę.

– Mały? Wszystko w porządku? Gdzie twój ojciec?

– Nie wiem. Rozdzieliliśmy się jakiś czas temu...

– Co? Czemu?

– To nie był mój ojciec...

– Och...

– Wiesz może, czy idę w stronę granicy? Chcę wrócić do kraju.

– Co? W stronę granicy? Kurwa, mały... Nie wyglądasz za dobrze.

– A ty co tu robisz?

– Jak to co? Pracuję... Na szczęście mam trochę przyjaciółek, które się mną zajęły.

Po tym, co... Po tym, co zaszło. Nie poszliście na policję?

– Nie.

– Ja o tym myślałam, ale perspektywa bycia ciąganą po przesłuchaniach... Ten...

Udało wam się ją znaleźć? Córkę tego starego?

Kiwam przecząco głową.

– Może to i lepiej... Może lepiej niech nie szuka.

– Nie macie tu może samochodu? – pytam po chwili.

– Nie... Transport przyjedzie po nas dopiero późno w nocy...

– No to chyba lepiej, żebym szedł dalej.

Pozdrawiam kobietę skinieniem głowy, po czym ruszam, krokiem przypominającym agonalny marsz idącego na ścięcie. Po kilku metrach słyszę, jak dziewczyna mnie woła. Odwracam się. Łapie mnie za ramię, po czym wciska mi w dłoń kilka zmiętych banknotów.

– Weź trochę – szepcze. – Jak będziesz szedł cały czas prosto, to trafisz na taką stację benzynową. To jeszcze kawał drogi, ale... Mają tam stoliki i odgrzewają hamburgery. Jeśli poczekaś tam na nas jakoś do pierwszej w nocy, to przyjedziemy cię zabrać. Pogadam z chłopakami, żeby zawieźli cię pod granicę, OK?

Kiwam głową.

– Tylko kup coś sobie i zjedz. Kiepsko wyglądasz.

Ruszam dalej zgodnie z instrukcją. Cały czas prosto, jedyną drogą w okolicy. Gdy docieram w pobliże stacji, dookoła jest już ciemno. Olbrzymi neon wzywa mnie do siebie jak bezmyślną ćmę. Nogi szurają po asfalcie, sam nie wiem, czym jeszcze pchane do przodu. Mam wrażenie, że podeszwy butów przepaliły mi się niemal do skarpet.

Już chwytam za klamkę i niemal wtaczam się do środka, gdy kątem oka dostrzegam jedyne stojące na parkingu auto.

Mojego białego konia.

Ruszam na parking, podchodzę bliżej i zaglądam przez szybę, ale w środku nikogo nie ma. Wchodzę więc na stację i wtedy go dostrzegam...

Szeryf.

Siedzi samotnie przy olbrzymim oknie, popijając kawę z parującego kubka. Przez moment zastanawiam się, czy po prostu nie wyjść. Zamknąć drzwi i ruszyć dalej w drogę, ale coś każe mi zostać.

Przechodzę przez salę, ciągnąc stopy po kafelkach na podłodze. Staję mu nad głową, ale wydaje się kompletnie nieobecny, cały czas wpatruje się w swój kubek kawy. Dosiadam się. Przez szybę doskonale widać jego auto, ale nie wiem, czy zauważył, że ktoś kręcił się w pobliżu.

– Karol?! – krzyczy z entuzjazmem, niemal nie rozlewając kawy. Chwyta za kubek w ostatniej chwili. – Kurwa mać, młody. Tak się martwiłem. Szukałem cię w hotelu. Co tu robisz?

– Przyszedłem – odpowiadam, przesuwając kubek z kawą w swoją stronę.

– Ale jak, na piechotę? Boże, Karol... Dlaczego uciekłeś? Przeze mnie? Ja... Ja przepraszam. Tam wtedy... Trochę mnie poniosło i...

– Zapomnij.

– Co robiłeś przez cały ten czas? Czemu nie złapałeś stopa do miasta?

– Złapałem. Ale nie do tego, co trzeba.

– Kurwa mać. Młody... Kiedy to wszystko tak się pojechało?

Kelnerka staje nad nami z notesem w ręku. Nic nie mówi, po prostu się gapi. Zamawiam po angielsku dwa burgery i kolejną kawę. Dziewczyna kiwa głową i po chwili znów zostajemy sami.

– Natalka... Rozmawiałaś z nią? – pytam.

– Odjechałem... – Szeryf wbija wzrok w stolik. – Nie chciała mnie widzieć, więc odjechałem...

– I co dalej? Będziesz mógł żyć z tym, co robi?

Moje pytanie sprawia, że łzy napływają mu do oczu. Próbuje odwracać twarz, żebym tego nie zauważył, ale to na nic.

– A mam wyjście? – odpowiada po chwili. – Słuchaj, młody. Muszę iść do kibla. Zaopiekuj się burgerami, jak przyjdą, co? Zjemy i wrócimy do domu.

– Dom brzmi dobrze.

– Cieszę się, że się znaleźliśmy, Karol.

Szeryf znika w korytarzu, a po chwili na stół trafiają dwa olbrzymie parujące burgery. Mam ochotę od razu wgryźć się w swojego, ale kelnerka prosi o zapłatę. Patrzę na zmięty banknot w dłoni. Pieniądzy starczyłoby raptem na jednego. Zerkam na kluczyki od auta Szeryfa na stole i przypominam sobie o moim portfelu w schowku.

Trochę po angielsku, trochę na migi tłumaczę dziewczynie, że zaraz jej zapłacę, tylko skoczę po portfel do samochodu.

Wychodzę na zewnątrz i dopiero teraz, gdy posiedziałem chwilę w ciepłe, uderza mnie to, jak jest zimno. Czym prędzej dopadam do auta i otwieram drzwi.

I wtedy czuję, jak moje serce staje w piersi.

Zapach to najsilniejszy nośnik wspomnień. Również tych złych. Przez chwilę mam wrażenie, że coś sobie wkręcam, że wcale tego nie czuję, ale każdy kolejny wdech utwierdza mnie w przekonaniu, że to dzieje się naprawdę.

A przecież wszystko już wywietrzało. Jak to możliwe, że ten zapach znowu jest tak silny? Jakby ktoś rozlał na tapicerkę całą butelkę tego specyfiku...

Środek do czyszczenia.

Sycylijskie cytryny.

Odór najsilniej dobiega z bagażnika. Biorę kluczyki i wysiadam z auta, obchodzę je dookoła i otwieram klapę. Żrący zapach cytrynowego środka świdruje mi nozdrza. Dotykam tapicerki, z tyłu jest wciąż lekko wilgotna.

Gdy tak macam wyszorowaną wykładzinę, spód mojej dłoni natrafia na coś kłującego. Cofam rękę, by po chwili znowu sięgnąć po niewielki przedmiot.

Świat staje w miejscu.

Przez chwilę ciężko mi złapać oddech. Ściskam przedmiot w dłoni, po czym podnoszę wzrok i zerkam w szybę stacji, zauważając, że Szeryf wrócił do stolika. Właśnie miał wgryzać się w burgera, gdy dostrzegł, że stoję przy otwartym bagażniku.

Trudno mi opisać, co stało się z jego twarzą. Lekki uśmiech natychmiast z niej zszedł, jakby wszystkie mięśnie stopiły się w jedną bezkształtną masę. Martwe oczy spowił upiorny mrok, jakby zapadły się do środka. Nie potrafię nic w nich dostrzec. Przez chwilę patrzymy się na siebie, całkowicie nieruchomi, jak dwa posągi.

Wie, że wiem.

Zamykam bagażnik, wciąż patrząc Szeryfowi w oczy, rzucam kluczyki na ziemię, po czym odwracam się i ruszam z powrotem na drogę. Po chwili przyspieszam kroku. Biegnę. Biegnę ile sił w nogach. Nikt mnie nie dogoni.

Po raz ostatni rozwieram dłoń i patrzę na trzymany w niej przedmiot.

Kolczyk. Puste srebrne serce.

Wyrzucam go w krzaki i kulejąc, odbiegam jak najdalej. Ostatni raz oglądam się przez ramię, sprawdzając, czy Szeryf za mną nie wybiegł, ale parking w oddali jest martwy, nie ma nawet wiatru.

Tu, na drodze, którą podążam, nie ma już ani jednej latarni. Wydaje mi się, że każdy kolejny krok sprawia, że staczam się coraz mocniej w ciemność. Otacza mnie, pochłania całe ciało, wlewa się do gardła i wypełnia płuca.

Po chwili nie ma już nic poza nią, ale to dobrze. Każdy kolejny błysk światła tylko drażniłby mi oczy. Powodowałby ból. Dobrze, że jest ciemno...

Tak nie boli.

Tak jest lepiej.

Warszawa, 6 marca 2023

JEŻELI SPODOBAŁA CI SIĘ POWIEŚĆ,
TO BĘDZIEMY WDZIĘCZNI, JEŚLI PODZIELISZ SIĘ
OPINIĄ NA JEJ TEMAT ZE ZNAJOMYMI
ZA POŚREDNICTWEM MEDIÓW SPOŁECZNOŚCIOWYCH
LUB W JAKIKOLWIEK INNY SPOSÓB.
DZIĘKUJEMY!



Wydawnictwo INITIUM
ISBN 978-83-67545-53-2

www.initium.pl
e-mail: initium@initium.pl
facebook.com/wydawnictwo.initium